

Ordynat Michorowski



HELENA MNISZKÓWNA

Ordynat Michorowski

I

Płomień rósł, potężniał. Jaskrawe języki, wymykając się zdradziecko z szarych mas budowli, strzelały w górę śmiałym pędem. Jak zmije kurczą się i prostują swe śliskie cielska do skoku, tak rozżarte bicze ognia, skotłowane w kłębek, rozwijały się gwałtownie i parły z wściekłą zjadłością coraz wyżej do szczytów.

Warkot i świst złowrogi brała w siebie moc marcowa; szare masy fabryczne, spiętrzone kominy — rysowały się nikle¹ w czarnych przestworzach. Teraz otaczał je u dołu krwawy wieniec, niby z krzewów koralii, ale ruchomy, szarpiący się w żądy niszczenia. Straszliwe zygzaki pelzły węzowym skrótem, przeżyły się, buchając grzywą purpury i złota. I rosły jak tytany, i szalonym tańcem rozchichotanych demonów goniły za sobą, łącząc w piekielnych uściskach rozwielenione, żarłoczne cielska.

Już nie krzewy koralii, lecz rozpasane fontanny ognia otaczały budowle. Zapaliło się niebo, różowe płachty na chmurach wchłaniały czerwień. Pożoga nabrała rozpędu, waliła w czelusz nocy hukiem, przerażającym gwizdem ognistych batów;niosła w czerwone obłoki olbrzymy dymów. Rozjaśniła się okolica, morelowy odbłask lunął na śniegi. Pożar sypał potokami iskier. Deszcz z gwiazd purpurowych i złotych, ciskanych z żywiołową furią zarażał inne dachy, opalał drzewa. Wulkan wybuchał za wulkanem. Kilka ich ziało potężnie, rozlewając się w bezierny ocean fal.

Sadza dymów rosła w bór, zbity, huczący, ziemia wydała głuchy jęk, szedł po niej grzmot, niby dreszcze przerażenia.

Żywioł szalał. Ostre gwizdki sygnałów umilkły, mrowisko ludzkie cofnęło się w popłochu. Wielki dzwon alarmowy wydawał krótki, urywany krzyk.

Gore! Gore!

Kaski strażaków migwały w tłumie jak pochodnie. Wiły się nad głowami przerażonych ludzi grube węże sikawek, warczały cienkie tasiemki wody, ginąc w otchłaniach ognistych.

Trzask tryskających pomp zagłuszały ryczące kłębowiska szatanów. Okropność beziernia ogarnęła ludzi. Szalony strach skuwał ich na miejscu. Palily się niebo i ziemia.

I coraz słabiej, ciszej, boleśniej wołał dzwon resztkami sił. Gore! Gore!

Nagle niebem, powietrzem, ziemią szarpnął gwałtownie straszliwy huk. Ludziom zdawało się, że ziemię wysadzono dynamitem.

Ze środka rozpalonego muru wielkiego budynku wybuchnął niebieskofioletowy słup ognia, znów się skurczył, rozwalil mur i jak lava z wulkanu runął po stoku góry niebieską rzeką palącego się spirytusu.

Pękł zbiornik w gorzelni.

Pożar przy błękitnej szarfie płynącego alkoholu stał się żółty i jakby zmalął. Wykwitły z pożogi bukiet płomieni odmiennej barwy zaćmił go na chwilę. Lecz nie zmniejszył — żądza zniszczenia rwała z siłą naprzód.

Tłum ogarnęła panika. Ludzie z wrzaskiem uciekali przed pędzącą rzeką spirytusu. Szalał zawładnął żywiołem i ludźmi. Potop, zawieja ognia do oblędu doprowadziły umysły. Tłumy darły się, przewracały, biegnąc na oślep i wpadając na siebie. Szloch, krzyk ludzki zmniejszały się chwilami i wówczas słycać było pojedyncze głosy, tu i tam rozsiane, głosy

¹nikle a. nikto — niewyraźnie, słabo. [przypis edytorski]

stanowcze, fanatyczne. Czasem, pod wpływem mówców, kilkadziesiąt pięści wznosiło się ponad głowami, wyrażając strażakom. Inni z przekleństwem grozili w przeciwną stronę pożogi. A pojedyncze głosy w przerwach łomotu, trzasku, świstu płomieni, dominowały ciągle.

- Zabiją nas — szeptali strażacy.
 - Ratować! — brzmiała komenda dowódcy.
 - Nie uratujemy.
- Pożar huczał jak tysiące trąb powietrznych.

II

— Romny palą się! Gorzelnia ordynacka płonie! Parowe młyny! — rozlegały się po okolicy przerażone głosy.

W jaskrawym świetle pożogi białaly w oddali mury bliższych folwarków. Jasność, żar piekący rozdzielał noc na daleką przestrzeń.

Śniegi leżące blisko ognia stały w brudnych kałużach, odbijając gorące łuny. Rozżarzone głownie, warkocze iskier z sykiem grzęzły w błocie, buchając resztkami ognia jak zmęczone bestie pianą. Zdawało się, że słońce spadło na ziemię, rozprysło się i skłębia, ciska w górę, rzucając dokoła swe zabójcze pasma niby macki potwora.

Wyniosłe baszty i wieżycy ordynackiej siedziby rozblęły w świetle.

Róż wsiąknął w mury; krwawo świeciły szyby okien.

Z wielkiej bramy sklepionej wypadł ostrym galopem mały orszak konnych i gnał do pożaru fantastyczny, jak hufiec upiórów. Na czele biegł koń czarny, zziąjany, z rozwianą gęstwą ogona i grzywy. Pożar grał mu w żrenicach; nozdrza niosły pochodnie. Cwałował naprzód, świecąc marmurową piersią. Unosił na grzbiecie smukłą sylwetkę jeźdźca w rozniesionej przez pęd burce, spiętej tylko na ramionach.

Już dopadali pożaru, gdy zastąpił im drogę inny jeździec bez czapki, z osmoloną czupryną i okopconą twarzą. Konie, wstrzymane gwałtownie, stanęły dęba. Zapytania i odpowiedzi skrzyżowały się:

- Jaki powód?
- Podpalone... wszystkie rogi zajęte. Obcy ludzie... dowodzą agitatorzy!
- Wszystkie straże są?
- Tak, panie ordynacie².
- Ratować domy robotników i służby; od fabryk odstąpić. Żywo!
- Młyny zgorzały. Ale spirytus, panie ordynacie!...
- Słuchać komendy! Ludzie ważniejsi. Na miejsce, Badowicz!

Głos brzmiał spokojnie, ale stanowczo.

W tej chwili właśnie pękł zbiornik alkoholu. Oślepiająca rakietą, piorunowym grzmo-tem cisnęła się pod różowy strop nieba i potoczyła z góry, warcząc przeraźliwie, wprost na ordynata.

Olbrzymi strzelec i dwaj inni gwałtownie odciągnęli karego wierzchowca daleko na stronę. Oniemieli z przestachu, bladzi, wydali okropny okrzyk zgrozy.

— Panie ordynacie... dalej... dalej! Tu ogień dosięgnie!

— Dziękuję wam. Brunon i Jur do pożaru; ratować mieszkania! Pan do naczelnika straży na pomoc.

Łowczy Urbański skłonił się.

— Ale, panie ordynacie, samemu niebezpiecznie... obcy ludzie... bunt.

— Proszę być spokojnym.

Ordynat został sam. Silnie trzymał rozgorączkowanego konia, lecz Apollo walił kopytami, bryzając błotem. Chrapał wściekle, przysiadł na tylnych nogach, z nozdrzy ział ogniem.

Spod czarnej czapki ordynata szare oczy błyszczaly łuną pożaru. Brwi miał zmarszczone w gęsty łuk. Smągła, szczupła twarz zabarwiła się ogniście. Patrzył w rozpętaną przemoc ognia spokojniej od Apolla, tylko nozdrza grały mu prędko, podniecone wewnętrzzną gorączką i śwędem spaleniźny.

²ordynat — właściciel ordynacji, tj. kompleksu majątków rodowych. [przypis edytorski]

„Co ja im zrobiłem?... Czy to zemsta? Za co?... — myślał poruszony. — Agitatorstwo... bunt... Więc fala przyszła i tu!”

Uśmiech ironiczny błąkał się na jego ustach, przemknął po wydatnych rysach i zawieją sarkazmu omglał szare źrenice.

— Bydło! — wyrzuciły skrzywione wargi.

„A przecież mają naukę; daję im ją — myślał z goryczą. — Owczy pęd! I jeszcze słabe mózgi!”

Już był podniecony ideą ocalenia zbłąkanych tłumów.

Ostrogami trącił Apolla, ruszył w huczące masy ludu, w burzę ognia i dymów.

Lecz powstrzymał go olbrzymi Jur, chwytając konia za uzdę.

— Jaśnie panie!... Tam nie można... tam grożą... przeklinają.

Ordynat parł naprzód.

— Kogo przeklinają? Mnie?

— Jaśnie pana... to podlecyc³.

— No, dobrze. Mówiłem ci: ratować mieszkania! Ruszaj do pożaru!

— Jaśnie panie...

— Ruszaj!...

Głos ordynata zasyczał. Jur znikł w tłumie.

„Zabawna historia! — myślał Michorowski. — Tęgo jeszcze nie widziałem. Ciekawym!”

I z uśmiechem lekceważenia wtłoczył konia w skłębione rojowisko ludzkie.

III

Jur, ukryty przed wzrokiem ordynata, czuwał jednak, z dłonią nieznacznie umieszczoną na kolbie rewolweru. Słyszał gorące mowy agitatorów, którzy wygrażali na panów i milionerów; widział wzbudzony tłum, zaciśnięte pięści i bał się o ukochanego pana.

Bali się również naczelnicy straży ogniowej i cała inteligencja administracji, zgromadzona przy ratunku.

Najspokojniejszy był ordynat. Na swym groźnym wierzchowcu jechał poważny, dumny, rozsuwając piersią końską zbite gromady robotników i służby folwarcznej. Spotykającym strażakom dawał krótkie, donośne rozkazy i wolno mijał tłumy, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi. Całą akcję ratunową skierował na zamieszkałe domy; od fabryk odstąpili wszyscy.

A ludzie oniemieli na jego widok.

Spokój i powaga ordynata wywołały ogólny podziw. Zaczęto pospiesznie ustępować z drogi. Tu i tam jakaś ręka, rozwijając zaciśniętą pięść, nieśmiało zdejmowała czapkę z głowy. I ukłonów takich było coraz więcej. Przekleństwa cichły, w oczach gasły żary wściekłości. Tłum zakochał się, wydając z siebie zaledwie głuchy pomruk zdziwienia.

Nie spodziewano się tu ordynata.

Na widok jego wyniosłej postaci na koniu, jego twarzy jak z lodu wykutej, bez cienia lęku w oczach, przeciwnie — z szyderstwem widocznym nawet dla ogółu, agitatorzy zamilkli. Jakiś majestat ich zagłuszył. Setki oczu wpiło się w jadącego pana ze strachem, z nagle obudzoną pokorą. Wydał im się karcącym duchem, który ich zgniecie do ziemi. Widoczny dla tłumów, górował nad nimi, oświetlony pożogą, pewny siebie, drwiący. Nawet trochę zawiedziony zachowaniem wyjącego przed chwilą groźnych mas.

Wtem z oddalonej gromady robotniczej odezwał się zachrypły głos i zaczął wołać tubalnie:

— Burżuj! Burżuj! Milioner! Nie dajcie się, bracia!... Okradacz biednego narodu!... Pączek w maśle!... Spalić go, zrabować!... Kto mu się kłania, temu kula w łeb... bracia, to burżuj!... Zgładzić panów!...

Głos agitatora zmienił się w ryk; odpowiedziało mu kilka pojedynczych okrzyków z tłumy i głucha cisza. Tylko palące się swobodnie fabryki huczały rozszalałym płomieniem.

Ordynat ani drgnął. Jechał dalej, lecz na jego ustach uśmiezek ironiczny wzmógł się, w oczach błysnął humor.

³podlec — człowiek podły. [przypis edytorski]

Tłum, Robotnik, Władza,
Bunt, Pokora

Robotnik, Bunt

Zalęknione gromady ludzi, podburzone nowym krzykiem agitatora, zaczęły się tłoczyć, popychać. Na kilku zapaliło się ubranie.

Powstała panika, którą spotęgowało jeszcze walenie się przepalonych murów.

— Burżuj!... Burżuj!... Wyzyskiwacz biednych! Truteń!... — ryczał rozjuszony głos w oddali.

Gromady, zewsząd popychane, otoczyły Apolla zwartą, ciężką bryłą ciał ludzkich. Koń wyrzucał głowę, zaczął bić kopytami.

Wielki komin gorzelni, czerwony jak rubin, chwiał się u podstawy. Groza straszliwa wleciała tu wichrem i rozniosła trwogę.

Ordynat stanął w strzemionach, podniósł rękę i wskazując błyszczącą błotną przesterzeń poza ogniem, zawołał donośnie:

— Kto nie ratuje... tam!... Marsz!... Wolno... wolno... Ustępować... nie tłoczyć się... Wolno!...

Głos ponury nie milknął:

— Burżuj... Śmierć mu!...

W okropnym gwarze ludzkim w szumie fali ognia — rozległy się dwa suche trzaski rewolwerowe, jeden po drugim: traf! traf! — odczute raczej instynktem niż słyszane. Dwie kule świsnęły powyżej ordynata. On lekko przybladł, lecz nie tracąc spokoju wołał, dalej stojąc w strzemionach:

— Wolno... wolno... W tył... wolno!

Posłuszne gromady szły w porządku, ale w oddali, skąd strzelano, rozległ się mrozący krew wrzask ludzki. Krzyki przeszły w ryk, w wycie dzikich zwierząt. To rozjuszone tłumy robotników gonili uciekającego agitatora, pragnąc zemścić się za strzały.

Te dwa trzaski rewolwerowe były przesileniem na korzyść ordynata. Oburzenie graniczące z obłędem ogarnęło lud. Żądza zemsty za ukochanego pana zagłuszyła wszelkie uczucie ludzkie. Bo w tym tłumie obalamuconym, oglupiałym, miłość do ordynata buchnęła na nowo, jakby odrodzona.

W tej chwili wszyscy w najwyższym przerażeniu zrozumieli, że nad uciekającym przybyszem może się spełnić sąd doraźny. Ale ordynat runął z koniem naprzód; wyprostował się w siodle i przeraźliwie gwizdnął.

Dopadło go kilku strażników.

— Nie pozwolić na rozlew krwi... Żywo tam! Wyrwać go z tłumu! — krzyknął z płomieniami w oczach.

Gdy strażacy skoczyli co tchu spełnić to polecenie ordynat znów jął wolno wypuszczać gromady z pogorzeliśka.

Prawie wszyscy już byli poza pożarem, gdy z łoskotem zawałił się przepalony komin. Stęknęła ziemia pod nowym obuchem. Komin rozsypał dokoła mnóstwo rubinowych cegieł i olbrzymie łomy gruzów. Cały pusty plac wśród płomieni zajaśniał żarem. Teraz już ogień, dym siwoczarny, skotłowany, gryzący, zamieć sypkich iskier, wszystko to zbiło się w masę, w ogniste cielsko, miażdżyło się wzajem, pożerało..

Do ordynata przycwałował naczelnik straży głębowickiej, wołając:

— Ocalony od mordu, ale ciężko ranny. Wzburzenie ogromne. Pilnują go strażacy. Co robić?...

— Jak się zachowuje? Czy chce zbiec?

— Nie może: pokaleczone ma nogi i zbity.

Ordynat pomyślał chwilę.

— Odnieść go do naszego szpitala.

— Jak to, panie ordynacie? Do... naszego?

— Tak!

IV

Żywiół przycichał. Już tylko gdzieś wystrzelał słup jaskrawych płomieni. Otchłań ognista rozlała się nisko przy ziemi, kończąc piekielne dzieło.

Dogorywała gorzelnia, zabudowania jej i młyny parowe. Zdołano zaledwie w części uratować mieszkania robotników.

Sikawki parowe i ręczne działały bez przerwy; straż z Głębowicz, Słodkowic i Romnów, a także straż z Obronnego nie ustawały w pracy. Ale żar i mnóstwo rozpalonych głowni utrudniały ratunek. Pogorzelnisko otaczał obóz ludzki; naród napływał gromadnie z okolicznych folwarków i wsi. Jedni biegli ratować, inni wyrzekali głośno.

Szloch poszkodowanych nappełnił powietrze. Rozległy się przekleństwa i ciężkie westchnienia zachrypłych piersi. Głosy nad niepojętą dla tych ludzi dobrocią ordynata rozbrzmiewały donośnie. On ich nie słyszał. Stał oddalony od pożaru — w otoczeniu kilku powozów z okolicy i konnych mężczyzn. Rozmawiał z hrabstwem Trestką, również na koniach. Był nawet wesół, tylko z lekką chmurą na czole.

Na wschodzie niebo zaczęło różowieć — inaczej niż luna, jaśniej, weselej. Słońce, blade, wznosiło się w górę przysłonięte dymami pożogi. Mętny dzień rozświetlał zmęczone twarze zielonym blaskiem.

Przerażenie zastygło w rysach ludzi, kopeć osiadły na skórze i ten trupi refleks marowego dnia w samym zaraniu nadawał zgnębionym gromadom wygląd nieboszczyków.

Hrabia Trestka mówił do ordynata:

— Straszny objaw, ten pożar! Jeśli lotry zdołały podburzyć do tego stopnia pańskich ludzi, to dalibóg! koniec świata. Cóż mówić o mnie?... Chyba wyjadę za granicę.

— No, w tej okolicy nieprędko się taka rzecz powtórzy — rzekł w zamyśleniu ordynat.

— To samo mówiliśmy po dewastacji w Szalach. Czemu nie? Fala płynie. Pana oni kochają, a jednak... No, i moją Ritę kochają w Ożarowie: może przez nią i mnie oszczędzą.

— Nie licz na to — odrzekła hrabina.

— Ale wie pan, co mi się zdaje?... — mówił Trestka. — Gorzelnia padła ofiarą głównie dlatego, że spirytus denaturowany. Inaczej łajdaki rozbiliby tylko kufy⁴, aby się spić.

Ordynat machnął ręką.

— To na jedno wychodzi.

— Wcale nie, bo by się pochorowali przynajmniej, a zresztą spitych powiązałoby się jak baranów i do policji. O, szelmy! Do czego to teraz dochodzi? *Sapristi!*⁵ Ja bym wiedział, jak z nimi postąpić.

Hrabina Rita rzuciła na męża niechętnie spojrzenie, gorycz ugryzła ją w serce boleśnie.

Ona odczuła, co myślał w tej chwili ordynat. Wzrok jego błądził po rumowiskach dymiących węgli, jakby szukający nie kary, lecz pomocy dla ciemnych nizin ludzkich, które siłą konieczności wywołanej nędzą, idą na oślep za tymi, co ukazują im raj poza gruzami. Żądza, jeśli nie równości, to chociaż sprawiedliwości materialnej, pędzi tych domniemanych wodzów do czynów krwawych i otumanienia tłumu.

Ordynat wzdrygnął się. Inna myśl napłynęła mu do mózgu.

— Jednak świętą była groza wybuchu! Ale cóż za widok! — mówił Michorowski.

Pani Rita popatrzyła na niego zdumiona.

— Podziwiam pana. W takich warunkach mógł pan zachwycać się widokiem?...

— No, jeszcze wtedy nie strzelano do mnie.

— Ależ sama groza... Okropność!

— Cóż pan zrobi z tym ptaszkiem, skoro wyzdrowieje? — zapytał Trestka.

— Ha! Pójdzie w świat. Może się poprawi...

W tej chwili przygalołował gorzelniany. Stał przed ordynatem z wahaniem, mnąc kapelusze w rękę.

— Co tam nowego?

— Robotnicy chcą przeprosić pana ordynata — rzekł nieśmiało. — Wszyscy, co do jednego, są zawstyżeni i upokorzeni. Mówią, że ich obalamucono.

— Bardzo wierzę — rzekł ordynat — gdyż inaczej nie gubiliby samych siebie.

Gorzelniany spojrzał bystro i spuścił oczy.

— Czy mogą przeprosić?... — zapytał.

— Powiedz im pan: niech się najpierw wyśpią! Ja ich sam zawołam.

Gorzelniany skłonił się i odjechał.

⁴kufa — duża beczka. [przypis edytorski]

⁵sapristi (fr.) — do licha. [przypis edytorski]

— Jeśli istnieje państwo archanielskie, to na pewno u pana — zawołał hrabia Trestka. — Tym łajdakom udało się, że na pana trafili. Gdzie indziej poszliby wszyscy w dyby; nie mówiąc o agitatorze, który dawno witalby się z Abrahamem.

— Źle mówisz, drogi — przerwała hrabina. — Wątpię, czy gdzie indziej za taki strzał lud pragnąłby krwi agitatora. Pragnienie zemsty nad nim to dowód osłepienia tych mas, lecz i miłości dla ordynata.

— Jednak ferment musiał się dawno szerzyć?...

— O, tak! Z początku nie słuchano podjudzeń różnych wędrowców, zbito nawet paru; potem ogólny prąd pociągnął ku sobie. Dużo dopełniły broszury tajemnie rozdawane.

Ordynat umilkł, gdyż wiele osób z okolicy zegnało się z nim, odjeżdżając.

— Was zabieram do zamku — rzekł do hrabiostwa Trestków.

Dzień już był zupełny, gdy ordynat ze swym orszakiem opuszczał pogorzelsko. Rozpalone ruiny buchały jeszcze ogniem. Strażaków kazał ordynat zastąpić innymi ludźmi. Rozdzierano zgłiszcza bosakami; kobiety zalewały pojedyncze ogniska wodą, dzwiganą niemal z pasją. Całą złość i żal tłum wywierał teraz na ogniu. Pastwiono się nad nim, obrzucano błotem, rwano w kawały. Nastąpiła istna orgia zawziętości. Kobiety wśród przekleństw ciskały się na płomień jak hieny. Obraz przedstawiał okrutne zniszczenie rozpasanego żywiołu i zwierzęcą zemstę ludu.

Ordynat miał na ustach ironiczny uśmiech.

— Nazywają moich ludzi kulturalnymi, a ot, patrzcie — rzekł do Trestków.

— Barbarzyńcy! Nie trzyma się ich kultura — odpowiedział hrabia. — Daremny trud. Najlepiej machnąć ręką.

— Nie: stale kulturę dawać, aż ich przetrawi — odrzekł Michorowski. Pani Rita utkwiała w nim oczy pełne uwielbienia. Jechano w milczeniu po chrupkim śniegu, poplamionym czarnymi głowniami i kupami sadzy. Nagle hrabia zawołał:

— Jest! Idzie banda!

Ordynat, widząc zbliżających się robotników, skrzywił usta z niesmakiem.

— Czego oni ode mnie chcą?...

W oczach odbiła mu się nuda. Był zmęczony.

Z jękiem, szlochem i chrzęstem kolan na śniegu, robotnicza gromada otoczyła Apolla. Wrzaskliwa ruchoma ciżba błagała o litość.

— Daruj, jasny panie! My ogłupieli!... Nas odurzyli... Ale my wierni. Nie wypędzajcie, jasny panie... Nie posyłajcie do turmy⁶. Służyli będziemy darmo, gdzie jasny ordynat każe.

— Miłosierdzia, panoczku! litości! Darmo służyć będziemy — zawodziły kobiety.

Ordynat znudzonym ruchem poruszył głowę.

— Nie chcę waszej krzywdy, ale... nie lubię buntów.

— Miłosierdzia, panoczku! Nie wyganiaj nas... ratuj!

Skomlenia kobiet i błagające oczy mężczyzn utkwione w ordynata, rozdrażniły go. Cisnący się tłum, czarny, osmolony sadzą, buchał spalenizną i surowym zapachem potu. Michorowski stracił cierpliwość, nerwy odmawiały mu posłuszeństwa. Rzekł jeszcze spokojnie:

— Ja was nie wypędzam, ale teraz idźcie spać i mnie dajcie odpocząć.

Ruszył koniem naprzód.

Zdumieni jego spokojem i niespodziewaną obietnicą, ludzie stali w milczeniu. Gdy ocknąwszy się, posyłali za nim błogosławieństwa, ordynat był już daleko.

W zamku jednak nie położył się spać. Siedział w swym gabinecie, na fotelu, z głową opartą na rękę. Utonął wzrokiem w wiszącym naprzeciw portrecie zmarłej narzeczonej — i tak pozostał długie godziny.

V

W staroświeckim gabinecie w Słodkowcach cicho rozmawiało dwóch panów.

— Więc załatwiłeś z nimi polubownie? To dobrze, ale czy się nie rozzuchwał? — pytał stary pan Maciej Michorowski.

— Zagroziłem wydaleniem w razie ponowienia buntu — odrzekł ordynat. Doszedłem całej sprawy: po prostu byli otumanieni. Zresztą nie oni podpalili. Główny błąd

⁶turma — więzienie. [przypis edytorski]

administracji, że pozwoliła na burzenie umysłów. Ostatecznie mnie się nie stała wielka krzywda... ale robotnicy poszkodowani bardzo. Pomimo energicznego ratunku cały dobytek poszedł z dymem.

— A ty ich pewno wspomóżesz? — rzekł staruszek z uśmiechem.

— No, skoro nie rozpędziłem na cztery wiatry, to tym bardziej nie dam im zginąć z głodu. Młyny będę odbudowywał, więc robota dla nich jest na całe lato.

— I gorzelnię postawisz.

— Wątpię.

Ordynat zaczął chodzić wzdłuż gabinetu. Pan Maciej zamyślił się.

Po chwili spytał znowu.

— Podwyższyłeś im płacę?

— O nie! Tego bym nie zrobił pod presją. Zresztą wynagrodzenie mają bardzo dobre i sami o tym wiedzą. Prócz kilku narwańców, ogół nawet tego nie wymagał.

— A pamiętasz: w Szalach?...

Ordynat zatrzymał się.

— Tak, ale Ćwilecki nie wypłacał swym ludziom inaczej niż po dziesięciu terminach, i to po wielkich prośbach. W ogóle wszystkie warunki u niego były okropne.

Moim ludziom wytłumaczyłem bezzasadność ich postępków. Zrozumieli, są skruszeni i znowu służą mi z ufnością. Zawziętość natomiast przeciw agitatorom jest taka, że obawiam się rozlewu krwi w razie pojawienia się nowych.

— O, nowi nieprędko się pojawią!

Znowu umilkli. Waldemar chodził po gabinecie, pan Maciej patrzył w okno na szare drzewa parku i gromady trzepoczących się wróbli.

Głowa starca była zupełnie biała, białe wąsy i brwi, twarz pomarszczona, bolesna, plecy zgarbione. Przedstawiał ruinę człowieka. Tylko w oczach gorzała jeszcze dusza żywa, myśląca, chwilami tragiczna. Pomiedzy brwiami ból zastygł i wrył się w ciało głęboką bruzdą. Po tym człowieku życie przeszło ciężkim bólem, zostawiając po sobie ślady walk i nieszczęść. Lecz najwięcej białego włosa na głowę, a bolesnych bruzd na czoło rzucał ponury dramat, który zgębił jego wnuka. Zgon narzeczonej Waldemara stał się dla starca najostrzejszym kamieniem z życiowego młyna.

Teraz miał nowe zmartwienie i obawy o wnuczkę. Ocknął się z zamyślenia i rzekł:

— Otrzymałem list od Luci. Są z matką w Nicei, ale Lucia chce wracać do Belgii. Pisz, że woli klasztor niż to życie, jakie jej urządza Idalka. Zresztą sam zobacz.

Podał ordynatorowi duży arkusz zapisanego papieru. Waldemar przeczytał. Twarz skrzywiła mu się ironicznie. Zawołał:

— Ciotka zawsze była wariatką! Przepraszam, dziadku.

— Ach! Nie krępuj się, Waldy. Wiem, jaka jest Idalka. Te dwie kobiety razem przebywać nie mogą, chociaż są najbliższe w świecie spokrewnione.

— Ciotka chyba chce się wydać za męża. To jedynie motywuje te wieczne bale, maskarady i otaczanie się cudzoziemskimi adonisami.

— No, może myśli o Luci?

— Skoro jednak Lucia nie chce, nie widzę racji gwałtem ją prowadzić do ołtarza.

— Cóż zatem robić?... Tak zostawić tego nie można. Lucia jest rozstrojona.

— Niech dziadzio napisze do ciotki: może na święta przyjadą?

Staruszek smutnie zwiesił głowę:

— Idalka nie przyjedzie: zanadto ją absorbuje zagranica. Zresztą boi się rozruchów.

Waldemar wzruszył ramionami.

Do pokoju wszedł cicho służący. Stał przy drzwiach i chrząknął znacząco.

Pan Maciej drgnął niespokojnie. Ordynat spytał:

— Cóż tam znowu?

— Nowa bieda, jaśnie panie.

— No?...

— W Szalach znowu strajk. Ograbiony pałac...

— Jaki pałac?! Czyś zwariował?! Przecie pałac ograbiony dawniej.

— A to pewnie pawilon. Kasjer zabity i hrabiostwo uciekli.

— Kto ci to mówił?

Starość

— Precz idzie słuch, jaśnie panie. Jechał stamtąd gajowy i mówił to samo.

— Czy on jest?

— Nie, pojechał.

— Niech natychmiast strzelec Jur jedzie do Szal, zobaczy i dowie się dokładnie! Prędko!

Służący wybiegł. Ordynat spojrzął na bladą twarz pana Macieja i rzekł spokojnie:

— Proszę się, dziadziu, nie przejmować... To jeszcze nic pewnego. Trochę w to wątpię: byłoby za prędko jedno po drugim.

Pan Maciej gorączkowo potrząsnął ramieniem. Oczy starca gorzały, na policzkach wystąpiły wypieki.

— Waldy, ja się boję o ciebie! Słyszysz?! Truchleję o ciebie... Takie czasy!

Ordynat siadł, wziął rękę dziadka, tulił do siebie. W twarzy miał wzruszenie, przemówił łagodnie, jak do dziecka:

— Cicho, cicho, spokojnie. No, niech się dziadziu nie obawia... no, nie ma czego! Nic mi się nie stanie.

— Ale dziś nie pojedziesz?

— Zaczekam na wieści z Szal.

Zmrok zapadł. Szara godzina rozeszła swą makatę, owijając nią wszystko dokoła. Na dworze padał drobny, gęsty śnieg, pomieszany z deszczem. Wicher ciskał go na szyby okien i wyl przeciągle. Z parku dochodziło skrzypienie starych drzew, jęśliwe, jakby ktoś głośno żebrał. Pan Maciej i ordynat siedzieli w fotelach zamyśleni. Starzec przeżuwał szczękami i mełł w ustach słowa modlitwy. Suche, sztywniejące palce przesuwwały paciorki różańca. Ordynat zimny wzrok skierował na okno i siedział jak posąg. Tylko poruszające się często brwi i nozdrza świadczyły, że poza tą chłodną powierzchnią kipią, ścierają się uczucia i myśli.

Obaj usłyszeli jednocześnie cichy szmer przy drzwiach. Od progu posunęła się do nich żywym ruchem smukła postać, cała w czerni. Poprzedzał ją lekki szum jedwabiu i wątył zapach wrzосу.

— Lucia! — zawołał Waldemar, gwałtownie powstając z miejsca.

Odezwało się łkanie.

Ordynat zerwał gazowy welon, przemoczony od deszczu. W szarzyźnie pokoju zabłysła szczupła twarzyczka Luci Elzonowskiej w burzy popielatych włosów. Dziewczyna z płaczem zarzuciła ręce na szyję Waldemara.

— Jestem z wami!... Jestem! Nareszcie!...

Waldemar uściśnął ją i oddał w ramiona zdumionego dziadka.

Pan Maciej nie pytał o nic. Głaskał wnuczkę po twarzy i po rozwianych włosach, patrzył jej w oczy, jakby chcąc się przekonać, że jest ta sama. Nie widział jej dawno i nie mógł się nią nacieszyć.

Dziewczyna z objęć dziadka rzuciła się w ramiona Waldemara, wypowiadając krótkie, urywane zdania, przeplatane płaczem i śmiechem.

— Gdzie zostawiłaś mamę? — spytał pan Maciej.

Lucia spochmurniała.

— Ja, dziadku, uciekłam. Z mamą pogniewałam się. Mama jest w Monte Carlo.

— I nie bałaś się sama jechać?...

— Cóż mi się mogło stać? Jestem dorosła. Ale wrażenia straszne. Już od granicy począwszy... Warszawa...

Nagle rzuciła się do Waldemara i chwytając go za ręce, zawołała z lękiem:

— Ależ tu... tu!... Te strzały... w Romnach!... Waldy! Jak to było?... To straszne!

— Któż ci już naopowiadał? Ciekawym!

— Żydek z Rudowej, który mnie przywiózł.

Pan Maciej oburzył się.

— Jak to?! Przyjechałaś wynajętym powozem?

— Taką sobie nędzną dryndulką, dziadziu — zaśmiała się Lucia. — Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie te wieści. Boże! I dziadziu tu sam!... Okropność!

Pan Maciej przygarnął ją do siebie z czułością.

— Widzisz, że nie sam: Waldy nade mną czuwa, i Ksawery...

— Ach! Pana Ksawerego nie powitałam! Gdzież on jest?... Przyjął mnie tylko Jacenty i nie poznał. Musiałam się wylegitymować.

Przytuliła się serdecznie do ramienia staruszka. Szepnęła z uczuciem:

— Teraz, dziadziu, ja się tobą zaopiekuję. Nie odstąpię cię nigdy. Będziemy razem przebywali złe i dobre wypadki.

— A nie boisz się, dziecko? Tu rozruchy zaledwie się zaczynają... mogą się wzmocnić.

— Nie, dziadziu. Ale tu jesteśmy u siebie w ojczyźnie. Nie godzi się nam jej opuszczać w takiej chwili i... bawić się u obcych.

Pan Maciej odsunął wnuczkę od siebie, popatrzył na nią badawczo.

— Jak ty się zmieniłaś, Luciu!

Ona zapłonęła.

— Spowaźniałam, dziadziu, nabrałam rozumu; teraz inaczej myślę.

Waldemar pocałował ją w rękę. W oczach miał iskry zadowolenia.

— Jesteś dzielną dziewczyną, Luciu! — rzekł z uznaniem.

Krwisty rumieniec zabarwił jej policzki.

— Zawdzięczam to tobie, Waldy, i ... Stefci — dokończyła szeptem.

Wtem za drzwiami rozległ się hałas i prędkie kroki. Do pokoju wpadł błąd Jacenty, za nim strzelec Jur i młodszy pokojowiec. Wszyscy, spiorunowani wzrokiem ordynata, stanęli w miejscu i zaczęli cofać się w tył⁷. Ale pan Maciej krzyknął:

— Co się stało?!

Milczeli, lękając się odezwać.

Ordynat podszedł do nich.

— Albo zachowywać się spokojnie, albo już mówić! Co się stało?...

— W Szalach ograbiona kasa! Kasjer zabity; hrabstwo uciekli. W Ożarowie strajk; palą budynki hrabiego... bunt! — wyrecytował jednym tchem przerażony Jur.

— Jezus, Maria! — jęknął pan Maciej.

Ordynat wypchnął za drzwi służących i sam za nimi wyszedł.

— Uderzyć w dzwon pożarny! Niech straż rusza. Jeden pojedzie do Głębowicz po tamtą i romeńską. Ty, Jur: ani kroku z pałacu; masz być na rozkazy pana. Dla mnie siodłać konia. Żywo!

Wydał polecenie i sam wszedł do gabinetu.

— Pożegnaj was. Jadę do Ożarowa. Proszę być spokojnym, dziadziu!...

Za okna rozległ się przytłumiony głos dzwonu. Bił wolno, rytmicznie, lecz tak przejmująco, jakby w każdym dźwięku zamykał tysiące ludzkich jęczeń.

Waldemar podniósł rękę do czoła.

— Ha! Burza idzie! — rzekł do siebie i wyszedł z gabinetu. W kilka minut później cwałował na czele straży ogniowej, wyprzedzając dowódcę.

Od strony Ożarowa świeciła rozległa luna.

VI

I znów ordynat objął komendę nad pożarem. Trafił na chwilę najtragiczniejszą, zawalenia się obór. Stada krów z rykiem przeraźliwym rzucały się prosto w ogień. Szał ogarnął bydło. Po okolicy szedł jeden grzmot ryków, żalony bek cieląt roznosił echa strachliwe: krowy waliły racicami w ziemię, łowiąc w pyski spieniony swąd spalenizny. Oczy zwierząt gorzały wściekłością. Popłoch i oglupienie gnało je na oślep w płonące zwaliska. Zginęły obory, stodoły i magazyny ze zbożem. Wszystko pokryła wyjąca, szeroko rozhumana płachta pożogi. Z klęski ocalały tylko stajnie; całą siłę obrony skierowano na nie, bo do palących się budynków nie było dostępu. Z miejscowych ludzi nikt nie ratował. Gromady ich stały w pobliżu, urągając strażakom, śmiejąc się z hrabiego Trestki, który biegł pośród ognia i klął różnymi językami. Michorowski dopadł go gdzieś na boku i rzekł z wymówką:

— Panie, proszę nie robić z siebie widowiska. Ludzie się śmieją! Trzeba zachować powagę.

Trestka miał wzrok błędny.

⁷cofać się w tył — błąd logiczny; popr: cofać się. [przypis edytorski]

— Ja im się zaśmieję, łajdakom!... Złodziejom tym!... Ja ich wszystkich w dyby... Do kryminału... Pasy drzeć!... Szelmy!...

I grad pocisków bardzo dobitnych popłynął z ust hrabiego, przeplatany gęsto cudzoziemskimi epitetami.

Ordynat miał niesmak na ustach, ale cierpliwie starał się hrabiego uspokoić. W końcu oddał go pod opiekę pani Rity. Lecz i to niewiele pomogło. Hrabia albo kłął, albo łamał ręce, wołając:

— Moje obory, moje obory!

A szkody istotnie były olbrzymie. Spaliło się kilkanaście krów; zwęglone ich ciała, wzdęte, leżały tu i tam, stercząc nogami, niby jakieś dziwaczne kupy węgla, spalonych wnętrzności i popiołów. Straszny widok uderzał w oczy. Ciała popalone roznosiły cuchnące wyziewy.

Po zduszeniu ognia ordynat w prywatnym gabinecie hrabiego rozmawiał z panią Ritą i miejscowym rządcą. Hrabia był również obecny. Ale nie mówił nic, powtarzając jedynie żalostną skargę:

— Moje obory! Moje obory...

Ordynat pytał o różne szczegóły dotyczące się powstania buntu. Badał drobiazgowo warunki utrzymania i opłaty służby. Przeglądał księgi, sprawdzał rachunki.

Okazało się, że agitatorów nie było. Służba, łącznie z wsią, rozpoczęła strajk z powodu niewypłacalności dworu, nieuregulowanych serwitutów i niechęci osobistej.

Ordynat przeglądał całą rubrykę procesów, czasem wprost śmiesznych i poruszał głową.

„Bajeczne zdolności czy maniactwo” — myślał; głośno zaś rzekł:

— Jedyna rzecz, do której się lenię, to procesy.

— Ja teraz przestanę się procesować: będę strzelał prosto w łeb. Przynajmniej łajdaków mniej zostanie! — krzyczał hrabia.

Pani Rita zacięła usta, ordynat milczał.

W kilka godzin potem ordynat, po naradzie z hrabiną, chciał odjechać. Ale mu nie pozwolono, gdyż kilkudziesięciu strajkujących oblegało pałacowy ganek, chcąc się widzieć z hrabią. Pani Rita ścisnęła za rękę Michorowskiego.

— Niech pan nas nie opuszcza. Pan zna Edwarda. Tu trzeba rozumu, taktu, a Edward taki zrozpaczony... — dodała, jakby usprawiedliwiając męża.

Ordynat został i nauczył hrabiego, jak ma się zachowywać wobec tłumu. Tłumaczył długo, doradzał i w końcu zdołał przekonać, że strzelać do ludzi nie można.

Strajkujących wezwano do wielkiej sieni pałacowej. Wchodzili głośno z ostrym tupotem butów, z hardo podniesionymi głowami. Pluli i porządkowali nosy z hałasem, nie oszczędzając błyszczącej posadzki. Wygalowany kamerdyner patrzył na nich przez uchylone drzwi. Bał się wyzywających min tych ludzi.

Gdy już się wszyscy zebrali, wyszedł do nich Trestka, wypchnięty prawie przemocą. Ordynat nie pokazywał się.

Hrabia stanął na progu, osowiałym wzrokiem spojrzął i... spadły mu binokle. Wolno zaczął je przecierać chusteczką, ale ręce mu drżały. Szkła znowu opadły, huśtając się na sznurku. Zaczął je łapać gorączkowo. W ciżbie zaszemrały ciche śmiechy i szepty.

— *Sapristi* — zaklął Trestka.

Z gniewem chwycił binokle, nałożył je, i zakładając ręce na plecy, wystąpił śmiało naprzód. Podniósł wysoko głowę.

— No?... — zawołał z dumną miną.

Odpowiedziało mu milczenie.

— No?! — powtórzył głośniej.

Cisza. Tłum zakolysał się, szmer się wzmógł, zaskrzypiały buty i cała gromada posunęła się naprzód nagłym ruchem.

Hrabia cofnął się gwałtownie w tył. Wyraźny przestach miał na twarzy.

— No!... No!... Cóż to?... Oniemielście?!

Jakiś chłop barczysty zawołał przepitym głosem:

— Niech nam pan hrabia podwyższy pensję i ordynarię⁸. My tego chcema.

⁸ordynaria — część wypłaty przyznawana w naturze. [przypis edytorski]

Trestka się zaperzył.

— Ja wam będę płacić za to, żeście mnie spalili? Zwariowałeś jeden z drugim.

— To nie tylko my spalili, bo i wieś. Nie trza było z nimi zaczynać; wypasy od dziada pradziada należały do nich — odezwał się ktoś z gromady.

Trestce spadły binokle, osadził je mocniej i wybuchnął:

— I las? Co? I las do nich należał?

— A jakże. Drzewo mogą brać. A bo to im dziedzic zabroni, kiedy z dawna tak było?

Magnat rzucił się do nich. Podniósł pięść i wygrażając nią, wołał:

— Zabronię: zobaczycie, gałgany, że zabronię. Ja was nauczę!... Dwór okradać będziecie? Wpierw poznacie kryminal.

Zaczął kłąć po swojemu.

W gromadzie powstał głośny gwar.

— To niech ich dziedzic pakuje do turmy⁹, jeżeli da rady, a nam proszę dać większą pensję i ordynarię! — krzyknęło parę głosów.

— Nie dam!... Nic nie dam!... Słyszycie?... I was do kryminału oddam, łajdaki; *Sapristi!*... W dyby was!

Tłum poruszył się, wzburzenie rosło.

Jeden głos zaczął wołać.

— Jak nie dostaniem, czego chcema, to jeszcze spalim resztę i do roboty nie pójdzie nikt!

— Teraz inne czasy nastały, oho! — wołał drugi.

— Teraz pany przycichną. Tak ma być, jak chcema! A jak nie, to strajk.

— Niech pan hrabia nie krzyczy, bo się nie boi nikt.

— Dać podwyżkę i ordynarię większą, mniej roboty, to i będzie ład.

— My tu mamy spisane to, czego chcemy. Niech pan hrabia przeczyta.

Trestka wychodził z siebie.

— Ja?... Ja?... Mam czytać, coście nagryzmolili?! Won stąd, gałgany! Palić mnie jeszcze będziecie?... Grozić... Ja was postrzelam, jak psów.

— A dobrze!... To będziemy się bić — rozległy się urągliwe głosy.

Hrabia, nieprzytomny z gniewu, zziąjany, krzyczał, kłął i bił się po kieszeniach, szukając broni.

— Zabiję!... Zabiję, jak psów!...

Wyglądał komicznie. W szalonej pasji skakał, rzucał się, błądzący, spocony, z rozwścieczonymi oczyma.

W gromadzie powstał śmiech. Zaczęły się żarty.

Nagle w drzwiach stanął ordynat, spokojny, surowy, z groźną fałdą pomiędzy brwiami. Wszedł i zatrzymał się chwilę.

Tłum drgnął i umilkł, jakby ludziom zamurowało usta. Wyprostował się służbowo.

Trestka, nie widząc ordynata, nie mógł pojąć dziwnego zachowania się zuchwałej gromady i zdumiony również zamilkł. Obejrzał się. Ordynat podchodził wolno. Teraz hrabia zrozumiał. Złość i śmiech szatański zasyczał w jego głosie. Zawołał nagle ucieszony:

— Ha, Łotry!... Chamy przekłete!... Nie spodziewaliście się, że jest ordynat!... A co! Języki wam stały w miejscu? Hultaje!...

Michorowski mu przerwał, odciągając na stronę. Szepnął po francusku.

— Proszę odejść. Nie tak pana uczyłem. Dość kompromitacji.

Tyle było siły w słowach ordynata, że Trestka zmieszał się, spuścił głowę i wolno wyszedł.

Michorowski zimny wzrok skierował na wyprostowaną gromadę służby. Spytał spokojnie.

— Czego chcecie?

Twarze spokorniały jeszcze bardziej. Gnieciono w rękach czapki, przestępując z nogi na nogę. Najśmielszy zaczął.

— My... jasny panie... my tu wspólnie... my tu przyszli gromadą...

— Widzę, że was dużo, ale czego chcecie?

— My chcemy podwyżki.

⁹turma (przest.) — więzienie. [przypis edytorski]

— Jakiej?

— O tu: spisane; może jasny ordynat przeczyta.

Michorowski wziął papier i przebiegł go wzrokiem.

— Te warunki są niemożliwe. Pobieracie pensje i ordynarie takie same jak w dobrach ordynackich, zatem wystarczające. Ja swoim ludziom nie podwyższam i wy nie możecie o to prosić. Tym bardziej, że nie zasługujecie na to.

— My u jasnego pana woleliby za pół ceny służyć niż u hrabiego za całą — odezwały się głosy.

— Niech pan hrabia podwyższy i zapłaci, co zaległe, to pójdziem do roboty.

— A jak nie: to nie! — krzyknął drugi rozrzutnie, ale inni wepchnęli go do środka gromady, zamykając mu usta.

— Odkąd się wam należy? — spytał ordynat.

— Od adwentu, jasny panie.

— Dobrze! Dziś będziecie opłaceni i... jesteście wolni. Od pierwszego kwietnia możecie znaleźć miejsce. Tu potrzeba ludzi spokojnych.

— Wprowadź ich do kancelarii pana kasjera.

Lokaj skłonił się. Ordynat wyszedł.

W gromadzie zaległa cisza. Spoglądali na siebie w milczeniu, gdy zaś lokaj otworzył drzwi i zaczął ich energicznie wypraszać, wyszli ciężko, ze spuszczoneymi głowami.

Wyplata trwała długo. Ordynat posyłał po pieniądze do Głębowicz, bo w ożarowskiej kasie zabrakło.

Pani Rita była jak struta. Trestka kłął i zacierał ręce, dziękując ordynatorowi.

Ale ten milczał.

VII

Po dewastacji w Ożarowie groza padła na okolicę. Wielu obywateli wyjechało, ale i burza przycichła. Zwolnienie całej służby w Ożarowie zrobiło wrażenie. Lud stracił ochotę do strajków, fantazja zmieniła się w przygnębienie. Agitatorów zabrakło: jeśli się jakiś pokazał, wypędzano go z folwarków i ze wsi. Spokój zdawał się zapewniony.

W Słodkowcach pan Maciej cieszył się wnuczką. Staruszek pod jej troskliwą opieką odżył, nabrał humoru. Tylko listy pani Elzonowskiej, niesłychanie burzliwe, pełne wymówek dla córki, wносиły zły podmuch do pałacu.

Pani Idalia nagliła córkę do powrotu, gniewała się na ojca, że ją zatrzymuje, ale Lucia sama nie chciała wracać. Widząc, że matki nie przekona, przestała odpisywać na listy. Gorliwie zajmowała się dziadkiem, oprócz tego stała się czynną opiekunką ochrony¹⁰ i szpitala imienia Stefanii. Sama uczyła dzieci niektórych przedmiotów.

W rannych godzinach, kiedy pan Maciej jeszcze spał, co dzień smukła postać Luci o długich, jasnych warkoczach dążyła na lekcje do ochronki. Dzieci witały ją okrzykami radości. Chorzy w szpitalu uśmiechali się na jej widok. Stała się dobrym duchem Słodkowic. Panu Maciejowi przypominała Stefcie Rudecką. Miała słodycz i łagodność tamtej, nawet coś w ruchach, tylko tamta była żywa jak iskra i weselsza. Lucia spokojna i poważna. Charakter jej zmienił się. Nabrała hartu, dawny dziecięcy upór przybrał cechy niezłomnej stanowczości. Uśmiechała się rzadko, ale promiennie, najczęściej do dziadka, do dzieci i do chorych. Powierzchniowo zmieniła się niewiele, tylko wyrosła i nabrała szyku. Jej dziewczęca figurka, teraz zaokrąglona ładnie, miała wdzięczną linię w rysunku. Lucia swe bujne, jasnopopielate włosy spletała w dwa grube warkocze i okręcała nimi głowę na kształt korony. Jej cera, delikatna jak narcyz, ożywiła się w Słodkowcach. Krasily ją barwne usta, dość pełne i oczy szarobłękitne, nieco podkrążone, świecące spod ciemnych rzęs i delikatnych, ciemnych brwi. Powieki miała najczęściej spuszczone, wzrok chmurny, rzucany spod czoła. Cechowała ją skrytość i nieufność w stosunku do ludzi. Nie pragnęła ich widoku, Słodkowce jej wystarczały, nie bywała nigdzie. Czasem do Obronnego jeździli razem z Waldemarem, odwiedzając jednocześnie Ożarów.

Lucia mieszkała w swym dawnym pokoju obok pokoiku Stefcie, który przerobiła na rodzaj kaplicy czy na mały przybytek sztuki. Wśród najpiękniejszych kwiatów mieściły

¹⁰ochrona a. ochronka (daw.) — przedszkole lub szkoła elementarna. [przypis edytorski]

się tam cenne obrazy oraz różne przedmioty artystyczne, niegdyś ulubione przez Stefcię. W tym nagromadzeniu sztuki oryginalnie wyglądało nietknięte łóżko, zasłonione¹¹ kotarą, lustro z konsolką i marmurowa umywalka ozdobiona srebrnymi naczyniami.

Nad sofką wisiał pyszny obraz Madonny, kopia Rafaelowskiej z kaplicy Sykstyńskiej, w staroświeckich ramach.

Szczyt kominka ozdabiał wielkich rozmiarów portret Stefanii Rudeckiej, wylaniający się z drogocennych makat. Pokój był poświęcony pamięci narzeczonej ordynata. Lucia przesiadywała w nim często z książką w ręku lub zapatrzona przed siebie, z własnymi myślami. Czasem chmurne jej oczy wpatrywały się uparcie w malowany na płótnie widoczek Słodkowicz roboty Stefci. Stał na staluzkach w otoczeniu palm. Była to dla Luci droga i ostatnia pamiątka po przyjaciółce. Inne jej prace pastelowe i olejne ordynat pozabierał do Głębowicz. Lucia w tym pokoju przypominała sobie minione czasy wesołe, bez troski, jak wiązanki różowych kwiatów. Potem przyszyły inne i zaćmiły szczęście. Lucia znienawidziła świat, poczuła wstręt do ludzi, szczególnie do własnej sfery. Arystokracja, uwielbiana dawniej, niby jakaś wyrocznia, w oczach Luci zmalowała, stała się nienawistną. Każdy arystokrata wzbudzał jej nieufność, nawet członkowie rodziny, prócz Waldemara i dziadka. Prawie nie wierzyła, że i oni są arystokratami... Jej nienawiść wpadła w fanatyzm. Pobyt w klasztorze w Belgii złagodził ją trochę, lecz nie przeistoczył. Pozostała w niej niewiara w ludzi. Nienawiść zmieniła się w ironię. Lucia bez miłosierdzia kłutła nią własną sferę. Była dla swego otoczenia skryta, nieprzystępna. W Słodkowcach zmiękła, jednak ani pan Maciej, ani Waldemar nie znali jej myśli, chowała je dla siebie. Ale zaczęła posępnieć, wpadając chwilami w stan zupełnej apatii. Pan Maciej myślał, że to tęsknota za światem, wreszcie posądził Lucię o tajone uczucia, może — zawody? Potwierdzeniem tego była jej ucieczka z Nicei. Bawiła się tam, miała powodzenie i starających się. Pan Maciej wywnioskował, że ktoś zainteresował ją głębiej, że Lucia kocha bez wiedzy matki, wbrew jej zamiarom. Ale z wnuczki staruszek nic wydobyć nie mógł.

Tak przeszła wiosna i część lata.

Pani Idalia obrażona, zła na córkę, nie opuściła zagranicy. Zamieszki w kraju odstręczały ją również, nie pragnęła powrotu.

W połowie lipca do Słodkowicz przyjechał z ordynatem Jerzy Brochwicz. Lucia przyjęła go ze źle ukrytą niechęcią i silnym rumieńcem.

I on zmienił się. Wrogie czasy wryły na jego twarzy poważne piętno. Dawna zuchwłość przygasła. Ale mówił zawsze dużo, szczerowość i dowcip pozostały nietknięte.

Pan Maciej przywitał go z przymusem. Nie widzieli się od pogrzebu Stefci Rudeckiej. Brochwicz za granicą bywał u pani Idalii i Luci, pan Maciej, wiedząc o tym, wpadł teraz na pewne podejrzenia, ale ukrył je w sobie. Pomieszanie Luci przy powitaniu z Brochwiczem zastanowiło staruszkę.

„Czyżby to?...” — myślał.

Lucia pytała o matkę. Brochwicz odpowiadał ogólnikowo, ale ordynat rzekł bez ceremonii.

— Mama?... Mama bawi się wybornie, ciągle karnawałuje. Szuka jakiejś szansy czy wrażeń południowych. Trzęsienie ziemi nie wystarcza. Nowa mania. Zresztą prowadzi sensacyjną sprawę, to również ją niezmiernie bawi.

— Jaką sprawę? — spytała Lucia.

— Rozwodową... książąt Zanieckich — odrzekł Brochwicz.

— Jak to?! Więc ta... Melania... zawsze jest razem z mamą?...

— Jak dotąd, stale.

— I Barski?...

— Tak! Ojciec głównie dąży do zgnębienia zięcia.

— Dobrany trójką. Szkoda mi tylko Zanieckiego — mówił ordynat.

Lucia zwiesiła głowę, gniew drgnął w jej zsuniętych brwiach.

— Jak można!? Jak można?... Mama z Barskimi? — szepnęła ze zgrozą.

Waldemar zmienił przedmiot rozmowy.

Lucia tego samego dnia napisała do matki, błagając o powrót do Słodkowicz i o zerwanie stosunków z Barskimi.

¹¹zasłonięte (daw. forma) — dziś: zasłonięte. [przypis edytorski]

Ale pani Idalia pozostała niewzruszona.

VIII

Brochwicz przesiadywał w Głębowiczach i jakkolwiek przyjaźnie, ale nieufnie patrzył na stosunki ordynata z okoliczną szlachtą. Podziwiał działalność Michorowskiego, interesowały go programy społeczne inicjowane przez ordynata. Ale sam nie brał w nich udziału. Czytywał, grywał, marzył. Brochwicz był jak pod wpływem narkotyku. Jakies moralne opium odurzyło go, niwecząc energię.

Ordynat, przeciwnie, był w ciągłym ruchu. Sprawy publiczne, fermenty społeczne i naprężone włókna polityki wewnętrznej podniecały go. Jego sprężysty umysł szukał coraz nowych ujęć i znajdował je. Głębowicze stały się punktem zbornym różnych zjazdów i sesji. Arystokracja krzywo spoglądała na „demokratyczne zachcianki” ordynata, lecz wciągana przez niego, musiała czasem współuczestniczyć w jego pomysłach. A te były szerokie. Tylko nie bardzo się udawały z powodu zagmatwań politycznych. Oczekiwanie ważnych wypadków, przewroty w sferach rządzących — tamowały filantropijną działalność. Różne partie, związki paraliżowały czyn praktyczny.

Ordynat był bezpartyjny, ale wyrozumiały. Na sesjach mówił niewiele, wypowiadając zdania konkretne i dobrze obmyślane, które zawsze prawie odnosiły zwycięstwo. Nie rozdrabniał swych myśli i nie szafował nimi w dysputach z każdym. Nie była to zarozumiałość, lecz jedynie powściągliwość i powaga w słowie. Miał zaufanie do dziadka i Luci; przy nich mówił więcej i nieco ożywiał się. Raz mówił:

— Gdyby na świecie było mniej pretensji, byłoby zarazem mniej kłamstwa i obłudy. Gdyby ludzie mieli odwagę przedstawiać się takimi, jakimi są, byłiby szczęśliwsi. Nic chyba nie deprawuje bardziej duszy niż ta pewność, że się ma maskę dla świata, a inną twarz dla siebie. Bo pomimo najręczniejszej i, powiedzmy nawet, najwytworniejszej obłudy, osobnik, który ją uprawia, zna swą istotną wartość. Więc gdy uczciwość w nim nie zamarała doszczętnie, odczuwa i cierpi, że poznaje. A to jest przecież okrutne.

Lucia potrzęsnęła głową energicznie.

— Ale dodaj jeszcze: że i nie poprawi się taki pan. Gdy jest bierny duchem, wierzy w swą pozę, jak w rzecz prawdziwą, nie nabytą i kolorowaną. Gdy jest podły, śmieje się z niej ironicznie, lecz nie zmienia. Częściej jednak śmiech swój zwraca nie na własny dowcip w urządzaniu prawdy, lecz na naiwność tych, którzy się na nią biorą.

— I to już jest szczytem bezczelności — dokończył Waldemar.

Stary Michorowski patrzył na nich ze smutkiem i zgrozą.

— To jest młode pokolenie! Ty, Luciu, możesz już tak sądzić?

— Poznają świat, dziadziu — odrzekła krótko.

Brochwicz nie rozmyślał o polityce, nie analizował ludzi. Z książką w ręku siedział raz daleko poza parkiem w ogrodzie owocowym. Nie czytał. Głaskał wzrokiem żółknące już drzewa śliw.

Obfite, nadmiernie dojrzałe owoce, w aksamitnych fioletach z puszkami srebrzystym zwiślały z gałęzi ciężkimi ciałami lub spadając na trawę, pękały, ukazując złoty, soczysty miąższ. Szare, okazałe gruszki wśród szarych liści i błyszczące, zarumienione jabłka tworzyły wyłączną jesienną mozaikę, napawając jednocześnie jakąś sytością. Brochwicz lubił ten ogród, bo mu tu było zacisznie. Błądził w winnicy, wśród zabudowań cieplarnianych, rysował pyszne liście winogron, czarne i zielone, cieszył się widokiem potężnych ananasów, przysadziście złączonych się pod szkłem. Wytworne kule brzoskwiń i ciemno-żółte lampki moreli zatrzymywały na sobie oczy Brochwicza, jakby najpiękniejsze kwiaty. Chodził już długo, miazdząc opadłe śliwki węgierki, pogrążony w myślach, z tęsknotą w żrenicach i zwątpieniem na ustach. Ale ocknął się. Nagle postanowienie rzuciło mu na twarz błysk energiczny. Prędkim krokiem podążył do zamku. Zapytał, gdzie ordynat. Olbrzymi Jur odpowiedział cicho i jakby z nabożeństwem:

— Ordynat gra.

Brochwicz wiedział, że gra w sali muzycznej na organach. Uszanował tę chwilę i nie przerywał. Nawet nie wszedł do sali. Usiadł w bocznym saloniku, czekając, aż Waldemar skończy i zasłuchał się.

Słowo

Michorowski nieczęsto pozwalał sobie na chwilę osobistych rozmyślań przy organach, bo wówczas wpadał w nastrój prawie mistyczny. Wszystkie drogie wspomnienia, bóle, tragedie przeżyte przed dwoma laty uwypuklały się i raziły w serce nawałą ciężarów. Ale grał i zanurzał się we wspomnieniach odległych, które jednak przez powiększające szkło duszy były tak blisko, że prawie w tej sali. Waldemar miał złudzenia, że gdy wstanie, zobaczy za sobą Stefcię Rudecką lub usłyszy jej głos. I patrzył na nią, budząc życie w jej twarzy, malowanej na płótnie.

Portret jej umieszczony był obok organów. Gdy ordynat grał sonatę Beethovena, ulubioną niegdyś przez nich oboje, twarz na portrecie zdawała się uśmiechać, promienieć. Gdy grał żalobnego marsza lub nokturny Chopina, rysy zmarłej narzeczonej posępniały. Waldemar zaś wstrząsał się, bo widział ją wówczas już oblubienicą śmierci w Ruczajowskim salonie wśród kwiatów.

Nikt nigdy nie przerywał ordynatowi tych sjest muzycznych. Cały zamek słuchał w skupieniu. Niewidzialne jakieś palce tręcały w struny innych instrumentów tu nagromadzonych i razem z hejnałem organów płynęła pieśń tęskna i potężna, pieśń natchniona, nasiąknięta czarem, od bólu ciężarna.

Brochwicz słuchał takiej właśnie pieśni strun. To nie grały palce ordynata, to grała wszechpotęga dramatu, który nosił w duszy: to grał orkan poszarpanych namiętności; to grała tęsknota tak olbrzymia, że ocean wylany na jej ogień, nie zdławiłby go.

„Jeśli tak dłużej potrwa, to zgon Stefci, ordynat i te organy staną się legendą zamku” — myślał Brochwicz.

I nie mylił się. Na zamek już spoglądano jak na mauzoleum nieszczęścia. Mury były jakby nasiąknięte tragedią; pełzał po nich szary mrok. Wyniosły gmach przyjmował odwiedzających przyjaźnie, ale głównie ludzi czynu, związanych z ordynatem tożsamością idei. Nie bywało innych zjazdów niż społeczne. Dawne zabawy zdążyły stłumić na węglach murów najcichsze swe echa. Zamek był jak skała z ostatnim potomkiem orlego rodu, którego zraniona pierś krwawiła.

Brochwicz nie odważył się tego dnia mówić z Michorowskim o sobie. Nazajutrz przy śniadaniu rzekł tylko:

— Muszę już opuścić Głębowicze; ale dziś chcę być w Słodkowcach. Proszę cię, Waldy, jedź ze mną.

— Chcesz się upewnić co do Luci?

Brochwicz spojrzał zdumiony.

— To ty odgadłeś?

— Przeczynałem.

Przez chwilę milczeli.

— Upewnić?... Czy ja się mogę upewnić?... Ja zupełnie nic nie wiem — rzekł Brochwicz.

— Nie rozmawiałeś z nią o tym nigdy?

— Nie.

— Jednak ona również wie.

— I...?

— No, nie zwierzała mi się, trudno odgadnąć.

Brochwicz przeciągnął dłonią po swych gęstych, jasnych włosach.

— Ty, Waldy, przeczułeś, ale nie wiesz, jak ją kocham. Tak jakoś powstało z niczego. Z tej dziewczyny wyrósł kwiat wonny: może nie dla mnie... Ona kocha... kocha... na pewno; tylko... zdaje się, nie mnie!...

Ordynat popatrzył badawczo w oczy przyjaciela.

— A kogo: zgadujesz?

— Kogoś, kto został w Nicei. Ona uciekła od niego.

— Ale kto to?

— Nie wiem. Ona jest skryta. Pojedziesz, Waldy, do Słodkowic ze mną?

— Tak. Kto wie?... Może się obydwaj mylimy?

— Nie rozumiem...

— Bo ty myślisz, że jest ktoś drugi, a ja jednak myślę, że jesteś tylko ty.

— Jak?!...

— Poczekaj! A może nie być nikogo w jej uczuciach, to możliwe. Lucia jest tajemnicza.

Brochwicz trochę smutno uściśnął rękę ordynata.

— Wolalbym już, żeby kochała innego niż nikogo, bo wówczas jej stan obecny tłumaczyłby się naturalnie. A tak?... Jeśli to tylko apatia, niechęć do życia?...

— Nie! Lucię na pewno coś gnębi — odrzekł Michorowski z powagą w głosie.

IX

Nie dojeżdżając do Słodkowic, ordynat i Brochwicz spotkali Lucię w białym koszykowym wolanciku¹² zaprzężonym w białego konia. Jasna, smukła postać dziewczyny, jadącej samotnie, z białymi lejcami w dłoniach, dopełniała wdzięcznego obrazka. Kapelusz panama, odchylony z czoła, rozwiane włosy i biały welon upiększały Lucię, nadając jej odmiennego wyrazu niż zwykle. Dziewczęcy powab i młodość, zagłuszone powagą, teraz odżyły i zaciekały.

Gdy powóz ordynata zrównał się z koszykiem, Lucia wstrzymała konia.

Michorowski zauważył, że na widok Brochwicza chmura przeleciała przez jej twarz.

Panowie wysiedli z powozu. Po powitaniu i kilku słowach wstępnych Waldemar rzekł:

— Oddaję ci, Luciu, Jurka. Bądź dla niego uprzejma. Ja muszę wstąpić do leśniczówki.

— To jedźmy razem! — zawołała Lucia nerwowo.

— Nie, nie, zostańcie. Mam tam osobistą sprawę, przy której bylibyście... zbyteczni.

Dziewczyna wpiła badawczy wzrok w szare oczy Michorowskiego. Usta jej drgały, gniew zamigotał na twarzy. Podając rękę Waldemarowi, rzekła zamiast pożegnania:

— Dobrze... będę grzeczna, jak każesz. Ty... jedź sobie.

W jej głosie brzmiała złośliwość. Waldemar miał wrażenie, jakby ścisnął w swej dłoni nie rękę kobiecą, lecz kawałek drzewa.

Lucia zgarnęła suknię, usuwając się na bok.

— Proszę, niech pan siada.

Brochwicz, trochę zmieszany energią Luci, wskoczył do koszyka niezgrabnie. Ona poruszyła batem.

— Do widzenia, Waldy! — zawołał Jerzy.

Może w tej chwili żałował swego pośpiechu, bo mina Luci nie wróżyła mu nic dobrego.

Jechali, milcząc oboje. Brochwicz gryzł wąsy, patrzył uparcie na białe rękawiczki Luci. Zatrzymywał słowa na brzegu ust, szarpał się wewnętrznie, denerwował, ale bał się mówić. Przeczuwał, że ta odrobina złudzenia, nadziei, którą nosił w sercu, leży oto przed nim jak wątły płatek kwiatu i że jego słowa zdmuchną go na zawsze. Uleci od niego ten atom ideału, uleci bezpowrotnie. Czy nie lepiej zatrzymać się? Zacząć zwykłą rozmowę, płatek zaś ten, utkany z uczuć złotych, mieć jeszcze przed oczyma do nieskończoności?...

Brochwiczowi jeszcze raz zaciążyła obecność Luci. Z utęsknieniem pomyślał o Głębowiczach, gdzie był ciągle z nią — ale ciągle bez niej, gdzie marzył o niej — nie widząc jej, gdzie pieścił jej ręce w swej wyobraźni, tulił ją całą do siebie. Teraz ona siedzi przy nim blisko, lecz jest dalej: jej ręce widzi przed sobą, ale są jakby obce, sztywne. Czy to są ręce jego Luci? Brochwicz zrozumiał, że można za kimś szaleć na odległość całego świata, gdy się zaś jest blisko swego ukochanego, chciałoby się brnąć przez pustynię Sahary — aby dalej...

Bo najstraszniejszym z zawodów jest utrata nadziei. Nic nie wyrówna goryczy, zgrozie i przerażeniu duszy stęsknionej, gdy zamiast wymarzonej iskry napotyka sopel lodowy.

Brochwicz męczył się i miał żal do samego siebie, że dobrowolnie złudę swą zdziera z oczu. Ogarnął go lęk niesłychany. Jeszcze trochę, jeszcze kilka chwil. Może nie ten [jest] powód jej chłodu?... Może nie to?

Ale Lucia była dziś jego katem do końca. Odczuwając jego walkę i wahanie się, pierwsza zerwała tamę niepewności, zmuszając go do wejścia w zimny strumień swych uczuć dla niego.

¹²wolant — rodzaj powozu. [przypis edytorski]

— Pan ma mi coś powiedzieć, prawda? Coś wyjątkowego? Zatem proszę — rzekła niemilosiernie obojętnym tonem.

Brochwicz osłupiał.

— Tak, chciałem z panią pomówić.

— Proszę.

Fala energii wpłynęła do serca Jerzego. Wiedział już, że zginie, ale postanowił zginąć mężnie. Zaczął mówić wolno, bez zapалу, lecz całą duszą, jak spowiedź przed wyrokiem śmierci.

— Pani wiadome są moje uczucia, mój pobyt w Nicei i przyjazd teraz do Głębowicz. Pani wie, że ją kocham od roku prawie. Pani była w klasztorze: milczałem i w Nicei milczałem, i teraz całe lato milczałem; dłużej... nie mogę.

Lucia poruszyła się, chciała coś rzec, ale Brochwicz przerwał.

— Pani zna moje uczucia, tylko je lekceważy. Tak nie można. Mowę czyjegoś serca trzeba szanować przynajmniej, jeśli nie jest się zdolnym odpowiedzieć na nią. Miłość, głęboko pojęta, jest majestatem, jest powagą, dla której trzeba mieć cześć.

— Czy ja robię jakąś krzywdę pańskim uczuciom? Nie rozumiem — rzekła Lucia trochę niecierpliwie.

— Robi pani największą, bo ich... nie odwzajemnia. Ale... to nie pani wina.

— Tak, nie kocham pana i nawet... nie żałuję tego.

Brochwicz zacisnął usta. Czoło sfaldowało mu się boleśnie. Doznał wrażenia okropnego, że Lucia zimną ręką wyjęła z niego serce i trzyma je na swej dłoni, drgające, ociekające gorącą krwią.

„Nie kocham cię i nawet nie żałuję tego«. Och, kobieta! Kobieta!...”

Siedział jak zabity, wstręt do niej odczuwał jak przed czerwoną suknią kata. Lucia spojrzała na niego i zlekła się. Rękę oparła o jego dłoń.

— Panie Jerzy! Panie Jerzy!

Odsunął ją od siebie szorstko.

— Niech mnie pani nie dotyka. Już dosyć sztycherstwa. Zawsze mnie pani oblewała lodem, mroziła serce i duszę.

— Panie, przecież to dowód, że nie sztychałam; to dowód najlepszy.

— Nie, to nie po kobiecemu. Ja panią kochałem jak szaleniec, a pani nawet tego odczuć nie chciała.

— Nie chciałam i nie mogłam, ale z innych powodów, niż pan sądzi. Nie myślałam nigdy, że pan może mnie pokochać. Mnie się zdaje, że cały świat wie... głównie zaś pan...

Umilkła, szarpnęła lejcami silnie. Ale koń pomimo to zwolnił, jechali prawie krokiem.

— O czym... ja wiem? — wyszeptał Brochwicz.

Twarz Luci zabarwiła się lekko, na rzęsach zawisły łzy.

— O tym, że ja kocham innego!

— Pani?!

— Tak. Kocham innego. To było powodem, że nie wierzyłam w pańskie uczucia, a potem mroziłam je. Teraz niech pan potępia.

Łzy jej opadły na perłowe guziki żakietu. Brochwicz pod wpływem ciosu ostatniego a straszego patrzył tępym wzrokiem, gdy duże krople łez, błyszcząc różowo na konsze guzików, zsuwały się po białym szewcocie i biegły prędko jak drobne kulki szkła. Jerzy nic nie myślał. Głusz dziwna a przeogromna wzięła go w swój krąg, wsysała mu się w mózg, wyżerała serce.

Stracił ją, swoją Lucię, stracił na zawsze! Wątły płatek jego marzeń, jego nadziei, uleciał bezpowrotnie, zdmuchnięty jej słowami: „kocham innego”. Czyż można ją potępiać za wyrok, jaki wydała na niego?

Brochwicz czuł swoją niemoc i razem z goryczą spłynęła mu do duszy litość nad Lucią. Czemu ona płacze?... Czy że jego pokochać nie może, czy że kocha innego? Więc chyba nieszczęśliwie?!

Lucia ocknęła się, otarła łzy i pochylając się do Jerzego, rzekła serdecznie, chociaż głuchym głosem:

— Niech mnie pan wyrzuci z serca, bo kochać bez wzajemności to straszne, to grób. Ja to znam, bo i ja... tak samo kocham.

Brochwicz bez słowa wziął jej rękę i ucałował z szacunkiem, ale zimnymi ustami. Dławił go żal, męka trawiła serce, lecz w mózgu jedna myśl tylko nurtowała uparcie, zagłuszając ból duszy; jedna myśl, jedno pytanie:

„Kto to jest ten drugi?”

W milczeniu dojechali do Słodkowic.

X

Ordynat poznał po Luci i Brochwiczu, że kwestia rozstrzygnęła się niepomyślnie. Był zdziwiony, ale nie pytał o nic. Uderzył go wyraz oczu Luci, gdy patrzyła na niego, jakby zalekniony czy niepewny. Unikała go wyraźnie.

Po obiedzie usiedli wszyscy na tarasie, gdzie podano czarną kawę. Lucia rozlewała z filiżanki. Przed ordynatem Jacenty położył tekę pocztową, pełną listów, świeżo przywiezioną z Głębowicz. Taki był zwyczaj, że gdy ordynat bawił w Słodkowcach, korespondencję odwożono mu natychmiast, choćby miał wracać wieczorem... Ordynat otworzył list pierwszy z brzegu, przeczytał szybko kilkanaście słów, zmarszczył się, potem uśmiechnął i podał list Luci, która niosła mu kawę.

— Przeczytaj! To zabawne.

Dziewczyna spojrzała zdziwiona, wzięła list w drugą rękę, i nie stawiając filiżanki, zaczęła czytać. Nagle zbladła, ręce jej zatrzęsyły się. Czarna wstążka rozlanej kawy splamiła jej suknie; filiżanka u jej stóp rozprysnęła się na cząsteczki. Lucia stała jak uderzona w skroń, ze spodkiem w jednej i z listem w drugiej ręce. Zmieszana, z ognistą czerwienią na twarzy, nie wiedziała, co ze sobą poczyć pod wzrokiem dziadka i Brochwicza.

— Co to za list? — spytał pan Maciej.

— Ach! Głupstwo! To z Biało-Czerkas — odrzekł Michorowski z niezadowoleniem.

— Co się stało? Na Boga!

— Nic nadzwyczajnego. Fermenty i rozruchy. Na Luci to zawsze robi wrażenie — uśmiechnął się Waldemar łagodząco.

Ale dziewczyna wyszła z pokoju. Zmięty list ze stołu ordynat chował do kieszeni. Gdy Brochwicz poprosił o niego wzrokiem, z przychylnym skinieniem brwi Waldemar oddał mu go i zajął dziadka gazetami.

Brochwicz czytał.

„Jaśnie wielmożny panie ordynacie. U nas chłopcy buntują się. Chodzą jakieś ludzie i rozrzucają złe papiery. Mają spalić nasze młyny i wyrznąć całą administrację. A najgorsze to, że wyjechało kilku łajdaków, żeby zabić jaśnie wielmożnego pana ordynata w ordynacji, bo mówią, że teraz na panów koniec przyszedł i że wszystkich będą rżnąć.

Przepraszam jaśnie wielmożnego pana ordynata, że mam śmiałość pisać, ale mi strasznie na sercu leży ten spisek, bo to jest pewne, że pojechali.

Niech się jaśnie wielmożny pan wystrzeżga, bo broń Boże nieszczęścia...”

I tak dalej, i dalej...

Brochwicz spojrział na podpis.

„*Gałkowski, leśniczy z Biało-Czerkas*”.

Gorąco uderzyło na mózg Jerzego. Zmiał list machinalnie, spojrzał na skorupki filiżanki i na czarną plamę na terakocie posadzki. Duszność ogarnęła go tak silnie, że nie mógł pozostać na miejscu. Wstał i bez słowa podszedł do balustrady. Patrzył na dywany kwiatów, malujące się pięknymi wzorami w powodzi słońca, na bogactwo jesiennych barw wśród parkowych drzew, na brylantowe odpryski fontanny i wszędzie widział wielką odkrytą prawdę.

Już nie męczył się pytaniem: „kto jest ten drugi?”. Czuł szum w głowie i brakło mu oddechu.

Lucia powróciła na taras przebrana i z czerwonymi oczami. Była cicha, poważna, prawie surowa. Gdy na pożegnanie Brochwicz całował jej rękę, szepnęła cichutko:

— Niech mi pan wybaczy i zrozumie.

— Ja już... zrozumiałem — odrzekł Jerzy bezmiernie smutno. Zwarli się oczyma długo, uważnie. Lucia nie spuściła powiek, tylko róż ją oblał, zapłonęła. Odczuła, że Brochwicz odkrył prawdę.

— Ja pragnę szczęścia, pani, ale... dla każdego szczęście inaczej kwitnie — rzekł jeszczce.

— Tak — szepnęła Lucia. — Niech pan będzie moim bratem.

— Nie, pani; o tym nie marzyłem. Mężczyźnie, który kocha kobietę miłością... wielką, nie można dawać braterstwa zamiast wzajemności.

Lucia teraz spuściła oczy.

Ręce ich rozerwały się, bo oboje nic już do powiedzenia nie mieli.

Gdy panowie wsiadali do powozu, Lucia skinęła na Waldemara. Podszedł do niej z kapeluszem w ręku.

— Waldy... Słuchaj, Waldy! Proszę cię w imieniu dziadzia i... w swoim: bądź uważny.

Ten list...

Ordynat lekko ogarnął ją ramieniem i dotknął ustami jej jasnych włosów.

— Nie obawiaj się, dziecko. To strachy na lachy, później ci to wytłumaczę.

Stali zakryci trochę filarem ganku. Waldemar spytał szeptem:

— Cóż Jurek?...

Lucia drgnęła. Odrzekła niecierpliwie:

— Nic; skończyłam.

— Bez nadziei?

— Bez żadnej! Mówmy o tobie, Waldy. Nie wyjeżdżaj teraz bez strzelca: dobrze?

— Za tydzień jadę do Biało-Czerkas.

— Waldy?

— Nic mi nie grozi. Do widzenia!

Błękitne oczy Luci zaszyły łzami.

— Do widzenia, Waldy.

Powóz ruszył, ona zaś stała, oparta o filar z głuchym żalem w piersi, z piekącym bólem w sercu. Po jakimś czasie dłoń jej zacisnęła się stanowczo, zsunęły się groźne brwi i Lucia rzekła z mocą, pełnym głosem:

— Nie pojedzie tam! Nie!

Z podniesioną głową weszła do pałacu.

Ordynat z Brochwiczem, jadąc, prawie nie mówili do siebie. Coś padło pomiędzy nich. W Głębowiczach już Brochwicz rzekł:

— Jutro cię pożegnam. Wyjeżdżam.

— Więc obaj myliliśmy się co do Luci — zagadnął Michorowski.

— Ja nie. Przeczyłem dobrze. Kocha innego i... wiem kogo.

Ordynat nie podjął tej kwestii.

XI

Dęby wołyńskie, olbrzymy niebotyczne, trzęsły potwornymi głowami. One tylko zielone swe grzywy rozpościerały dumnie i butnie nad morzem rozhułanych po puszczy barw jesiennych.

Dęby wołyńskie parły do słońca całą siłą swych tęgich mięśni. Zaborcze swe ramiona wżerały pomiędzy gałęzie innych drzew, brały je pod siebie i znowu szły dalej, i znowu dławiły słabszych.

Dęby wołyńskie rozwielmożnione, poważne, królowały puszczy, biorąc ją we władanie. Sypały na ziemię grad żołądzi na pokarm dla dzików.

Dęby wołyńskie, praojcowie puszczy, panowie jej i opiekunowie. One ściągały na siebie pioruny, chroniąc inne drzewa; one opierały się nawałnicom wichrów; one dawały cień, one dawały ton głównej leśnej filharmonii. One pierwsze rozbrzmiewały donośną pogwarą na powitanie swego pana, pierwsze pochylały czuby w wasalskim pokłonie ordynatowi Michorowskiemu.

Za nimi poszedł cały bór, ustrojony w złotogłów. Roztocz kolorów, otchłań burzących się barw.

Ordynat wjechał w bór i stanął zdumiony, pochłonięty.

Las, Drzewo; Pan, Sługa,
Własność

Na swym folblucie¹³ wydał się sam sobie drobnym jak pyłek, jak atom.

Patrzył na puszcę, podziwiał ją i żył jej życiem, wchłaniał jej moc.

A puszcza grała. Grała melodię tonów tęczyowych — słonecznych dla oczu grała.

Dziwy się tu działały, tyle naraz bogactw, tyle żywiołów zbratanych z sobą. Przepastna bezden cudów.

Bór żył, gwarząc ze sobą, i dzieje swe opowiadał. A czasem tęsknił i marzył, a czasem się burzył. I wzajemnie do snu się kołysał, i razem rozpaczał, i razem się cieszył.

Bór zgodny, niebotyczny.

Ordynat Michorowski, zagłębiony w cieniach puszczy, owiany zapachem jesieni rozmawiał z duszą swą starganą. Przepojony był wrażeniem, spitym czarem natury. Rwały mu się spod serca uczucia obłądne w swej żalosej tęsknicy. I jakieś zgrzyty i bunty, i straszny obuch niedoli. Przepyszna, ale jesienna barwa lasu, działała na niego gnębiąco; wielkość puszczy — przeciwnie — dodawała mu mocy, wlewając tęgość do krwi. Chwilami czuł się silny, nawet potężny, walczyłby z demonami. Przeszłość odsuwał wówczas brutalnie. — Najtragiczniejsze momenty życia jego malowały w wyobraźni, widział jakiś ogrom niepojęty, jakiś czyn wielki, do którego dążyć — jest celem, który spełnić — jest istotą bytu. Nie obejrzyć się za siebie. Stało się! Czarny korytarz, wiodący do katakumb wspomnień, zasunąć kirem i nie zaglądać doń już nigdy. Ciche szmery, w duszy płynące z przeszłości, zagłuszyć nowym hasłem. Nie cofać się i nie stać w miejscu.

Naprzód! Naprzód!

Być, jak ten las, górnym i rozgłośnie szumiącym, jak te dęby — pełnym władzy i majestatu.

Ale czy to wystarczy? Czy można przejść przez niebo i zapomnieć o nim...? Czy, jeśli kto przebył raj na ziemi, nie będzie spalony przez ogień czyścica?

Ale żal, a zgryzota? Ci straszni wrogowie duszy zboleją? Upomną się zawsze o swe prawa, spopiela jaźń duchową, położą na niej piętno wiecznej pamięci. Twarde prawo, i ratunku nań nie ma. Silna wola, konieczność to są jedynie środki obiektywne, jak morfina, podtrzymująca nękające ciało. Zły los wprowadza istotę ludzką na szlaki złociste, pełne barw, blasków, obłoków. Pozwala nawet wejść do tych zaczarowanych otchłani szczęścia, pozwala posłuchać szumu skrzydeł, które tam wibrują, pozwala prześpiewać jedną strofkę tego hejnału błogosławionego, który tam rozbrzmiewa.

Pozwala, aby cofnąć człowieka z tych cudownych przepaści do dawnego bytu bez promieni, by wydał się popiołem po złotym ogniu. Pozwala, aby ten hejnał nieuchwytny, bo krótki, przeistoczyć na zawsze w treny, aby czarowny szum skrzydeł przemienić w szpony innego życia, które rozkrwawiają wspomnienia po to, by wydobyć z nich wieczną tęsknotę.

Waldemar pamięcią rozpałał tę swoją błyskawicę życiową, ale czyniąc to zarazem z okrucieństwem wyrafinowanym darł na cząsteczki włókna swego serca. Z ordynata opadły już marzenia, skruszyły się zapaly młodzieńcze. Został tylko twórczy podkład jego istoty wewnętrznej, mogący rozszerzać się i obejmować coraz to nowe plody szczytnych myśli, celów idealnych. Czyny swe nieść na barkach życia, zamiast szczęścia. Nie dławić tęsknoty, ale ją mieć jako swe najdroższe sanktuarium.

Zmrok wpełzł w puszcę i zaszemrał. Cicha pogwara, od dębów poczęta, szła wśród boru. Drzewa mówiły sobie dobranoc.

I oto pod wpływem wiecznej gawędy lasu, czarny kir okrywający katakumby jego tragedii podniósł się i wyleciał zza niego rój białych gołębi, i trzepotał skrzydełkami białymi, i białoróżową chmurą okrążył głowę Michorowskiego.

Opadły go srebrne ptaki wspomnień. Wspomnienie powinno się znajdować wewnątrz skarbcza, jak pamiątka, do której należy się zbliżyć w skupieniu ducha, z uwagą, by ta reszta dawnej świetności nie uległa rozbiciu.

Chmura śnieżnych gołębi krążyła, stukając dzióbkami do zamkniętego gmachu duszy ordynata. Szeleściły atlasowe piórka upartych ptaków. Dobić się chciały do skarbcza i uchwycić złożone w nim klejnoty, by razem z tamtymi cudami utworzyć uroczą, jarzącą się blaskami zorzę i skąpać w niej umysł Michorowskiego. Trzepotały się ptaszyny, kwiliły. Już serce Waldemara zalewała słodycz niepojęta, haszyszem nasiąkały nerwy, mózg

¹³folblut — koń pełnej krwi angielskiej. [przypis edytorski]

oddal się bezsprzecznie pod ich władzę. Całą duszą, całą istotą otwierał złote wrota swego sezamu, by na progu jego upaść z niemocy upojnego wyczerpania.

Ale bór zatrząsł się groźnym wichrem, pęd ostry przeleciał czuby dębów, targnął nimi, runął niżej, w puszcę drzew i szamotał się zajadle, grzmiał na konarach i w dziuplach świstał. Powstał charkot, zamęt, ryk w cichym przed chwilą borze. A noc niezgłębiona szła na pomoc hordom wichru i waliła w czeluść puszczy ciężką swą postacią w czarnej todze.

Pierzchły stada gołębi, wiew czarownych skrzydeł wspomnień przycichł, ginął i znikł. Przeszły kwilić cudne głosy i wrota złote zawarły się z trzaskiem. Uleciały ostatnie piórka wspomnień. W pomroce rzeczywistości tylko rozlegał się huk miotanej wichurą puszczy i szelest z drzew liści.

Duże krople deszczu opadły ostro, jak kulki ołowiu, i najpierw słabym szmerem, potem coraz szybszym, głośniejszym, rozniosły się po drzewach jak lecący groch.

Reszta marzeń ordynata frunęła, głuszył je deszcz, smagał wiatr.

Ordynat spiął konia ostrogami. Linią leśną jechał do Biało-Czerkas, zmęczony duchowo swą wycieczką poza kir przeszłości. A za nim zostawał bór czarny, huczący, zostawały dęby, przemożne siłą, dumne ze swej potęgi, pełne brawury i majestatu.

O dęby! Nie znacie toporu, więc butny wasz głos.

Szumcie rozgłośnicie, wołyńskie dęby! Nikt nie rani was! Szumcie!

XII

Bór stał jak okręt na niezmiernych przestrzeniach wietrznych, borykał się i zmagał. Przepastna zwała gałęzi ryczała na podobieństwo rozhukanych bałwanów morskich, roznosząc dokoła tytanicznego cielska oddech surowy i ostry jak sztylety. Porywała od swych stóp suche liście i rzucała je, rozpraszała, ciskała na swe bary, by natychmiast znowu rzucić, porywać nowe. Drzewa były się wściekle, gryzły wzajemnie z trzaskiem, z łomotem. Jedne zarażały drugie impetem, wyzywały się czubami i bodły z łoskotem, i niosły wojnę w głąb zimnej masy konarów, coraz grubszych, okropniejszych.

Wicher walił z góry i z boków. Lecz i nisko na ziemi pelzali wrogowie. Szła jakaś ciemna, wydłużona poczwara, krokiem zdradzieckim, jakby lisim. Sunęła dość prędko; chwilami, gdy wrzask gałęzi wywoływał jakby tętent koni, poczwara zatrzymywała się, słuchała, znowu pelzła. Czasem jęk drzew wydawał się wyciem upiorów, niby skowyt potępieńców przebiegał puszcę, mroząc szpik w kościach. Wówczas mnogość rąk poczwary robiła znak krzyża. To szli ludzie. Tłum chłopów z siekierami rąbać „kniaziowy” las. Cała gromada wyciągniętym węzłem wznosiła się w bór: szare świty, łapcie z lyka na nogach, w pomroce nocnej słabo widniejące siekiery.

Weszli. Bór przyjął ich szumem żalonym, sypnął gradem mokrych kropli, wiązał im stopy gąszczem traw splątanych i korzeni. Ale chłopci, zwinni jak koty, brnęli śmiało, skacząc raźnie, bełkocąc z zadowolenia. Niedźwiedzie pomruki rozwlekły swe echa po uroczysku czarnych dębów i posępnie zwiastowały im śmierć.

Gdy pierwszy grom toporu buchnął groźnie, zadrżały nerwy drzew. Przerazenie szarpnęło członkami dębów; siekiery rozpoczęły kośbę. Warczało żelazo:

Buch! buch!

Dwustu chłopów przegięło się żarłocznym ruchem, dwieście twarzy bezmyślnych wykrzywił dziki śmiech triumfu i chciwości, dwieście toporów wzniosło się w górę i ugrzęzło w twardym żyłastym ciełe dębów.

Bór stęknął. Groza i zdumienie ujarzmiły wojnę gałęzi, nawet wicher umilkł. Trwoga, nieznana tu, a nągła i ogromna, zatrzymała w miejscu oddech drzew. Jądra ich, serca kipiące sokami ożywczymi, zastygły w niemym strachu.

Wicher z wroga stał się przyjacielem napadniętych. Szemrał łagodnie i od czuba do czuba niósł podzwon grobowej wieści.

Zabijają was, dęby! Giniecie, dęby!

Ratunku! Ratunku!

Barbarzyńskie topory w rękach bestii ludzkich grzmiały już donośnie, śmiało, z rozmachem piekielnych cepów. Chłoptwo czuło się panami boru, i darło mu wnętrzości,

Potwór, Chłop, Własność,
Las, Pozycja społeczna,
Drzewo, Morderstwo

Zbrodnia, Chłop, Las, Pan,
Własność

zabierając wszechpotężnych magnatów puszczy. Siekiery niweczyły butne istnienia, druzgocąc je kawałkiem żelaza.

Bór szedł na pastwę, bór z jękiem konającego wzywał pomocy, bór płakał nad zgubą swych wodzów. A dęby toczyły krew, ciała ich pokryły się ranami, czubami trzęsły ostatnie dreszcze.

Ale stały, jeszcze stały wielkie, choć już słabnące, jeszcze czoła do góry pną. Krzywda im się dzieje, lecz mężne, trwają w chwale do końca.

Gdy kilkadziesiąt olbrzymich trupów legło z głuchym łomotem ostatnich tchnień i gdy nad nimi rozszlochał się bór, i zwierzęcym wizgiem tłuszcza chłopska ogłosiła swój triumf, w Biało-Czerkasach powstał zamęt.

Do sypialni ordynata zastukano gwałtownie.

— Co tam?!

Zdyszany głos za drzwiami wyrzucił krótko:

— Chłopi rąbią las!

Ordynat zerwał się jak ugodzony.

— Który!? Gdzie!?

— Uroczysko czarnych dębów!

— Konia dawać! Prędko!!! Strażacy na koń! Cała służba!

Kamerdyner biegł spełnić rozkaz.

Ordynat ubierał się gorączkowo.

On kochał te dęby, przeniósłby je do Głębowicz, gdyby mógł.

Jego dęby tną! Dęby giną... Chryste!!!

Nie upłynęło kilka minut, kiedy ordynat, na nic niepamiętny, w ubraniu do konnej jazdy i w lekkiej burce gnał do boru na czele zastępu strażaków, kilku strzelców i służby. Tuż za nim, leżąc na koniu, cwałował wierny Jur i kłął w duszy, zły, że nie miał pod ręką swoich chłopców, strzelców zwierzyńskich, dla obrony pana i jego boru.

Wiatr gwizdał w uszach, ćwiczył ordynata, ostrym zgrzeblem wbijał mu się w piersi. Rwali w pomroce, lecąc jak orły drapieżne, niesione zemstą. Dziesięciu strażaków z pochodniami naprzód, krwawą szarfą znaczyli przybycie pomocy nieszczęsnej puszczy...

Wpadli w bór jak szalony, rozżarty płomień i wzniecili popłoch. Pochodnie rozlały się na wszystkie strony. Każda goniła kilku chłopów. Wrzaski uciekających ogłuszały. Chłoptwo zmykało bez tchu, gonione tętentem koni, blaskami smolnych zarzewi. Biało-Czerkascy nie bili, mieli wyraźny rozkaz jedynie rozpędzić tłum. Ale przeklinali „mużyków”¹⁴ jak kto umiał, bo to rozsiewało strach. Chłopi ogromni, zarośnięci kudłami, rzucali topory i oslepli z trwogi rozbiegali się jak szakale, skacząc i przewracając się przez powalone dęby. Gdy pomiędzy dwiema pochodniami ujrzeli pędzącego ordynata, krzyk wzmógł się. Pojedyncze głosy chrypiały:

— Kniaź!¹⁵ Kniaź! Michorowski. Baczysz? Ratujcie ludy!¹⁶

Chłopi stale nazywali ordynata „kniaziem”, nawet nie ze względu na mitrę, lecz na miliony. Takiego bogacza bez tytułu „kniazia” nie pojmowali.

Teraz był on dla nich antychrystem. Spadł tak nagle w ognistych smugach, dyszący gniewem, jakim go nigdy nie widzieli. Chłopi zwątpili nawet, czy to „Michorowski”; a może upiór z mogiły?

Nie było możliwości wytłumaczyć im, ani spytać, dlaczego rąbią dworski las. Ordynat zwoływał ich bez skutku. Rozpierzchli się tak szybko, że ujęto tylko kilku najzjadlejszych przeciwników. Ale i ci, prócz drapania się w głowę i niezrozumiałego bełkotu, nie dawali wyjaśnień. Przestrach zniszczył ich odwagę, zdusił triumf i żądzę zboru. Ordynat, patrząc na nich, litościwie kręcił głową. Ta dzicz mogła ulec złym wpływom tym łatwiej, że brakło im szczypty cywilizacji, główną zaś ich cechą była chciwość.

Michorowski oglądał szkodę. Z żalem patrzył na potężne pnie dębów leżących ciężko na ziemi. Na odkryte rany, błyszczące świeżymi słojami, na mnóstwo rozłupanych drzazg, sterzących jak noże. Ordynat stał na tym cmentarzysku, niemal głowę chciał odkryć przed zwłokami moczarów boru. A dęby nieścięte mruczały cicho, rade z ocalenia, wdzięczne za ratunek, ale smutne, ale lży roniące na ciała towarzyszków poległych.

¹⁴mużyk (z ros.: chłop) — daw. pogardliwe: wieśniak, zacofany chłop. [przypis edytorski]

¹⁵kniaź (daw.) — tytuł księcia panującego na Rusi i na Litwie. [przypis edytorski]

¹⁶Baczysz? Ratujcie ludy! (ukr.) — Widzisz? Ratujcie ludzi. [przypis edytorski]

Cały bór był jeszcze w osłupieniu, niemy, pod wrażeniem odegranej tu tragedii, głuchy, stroskany.

Ordynat wracał do pałacu wolno, z głową zwieszoną, jak po pogrzebie.

Drogę oświecały mu pochodnie; dokoła niego człapali konni; chłód przenikał go aż bolesny. W piersiach uczył przebicie jakby dzidą, miecze miał w płucach. Brakło mu oddechu do prędkiej jazdy.

Ale myślą był ciągle przy dębach.

Na szczęście niezbyt wiele umarło. Takie kolosy i już bez duszy. Nie zaszumią już, umilkły na wieki.

Ordynat westchnął.

Uczuł silne ukłucie w boku.

„Czym ranny?” — pomyślał.

XIII

Choroba wybuchnęła nagle ze zdumiewającą gwałtownością. Ordynat kaszlał, męczący ból w boku wzmagał się i groził.

Michorowski zaczął pluć krwią.

Chwilami tracił przytomność i znowu ją odzyskiwał.

Gorączka chwyciła go w zabójcze szpony.

Organizm, silny i zawsze odporny, tym razem uległ z żywiołową mocą. Zapalenie płuc rozgorzało mściwie, chłonąc mięśnie, krew i umysł. Michorowski walczył z chorobą jak lew, ale go zmogła. Zaczęła się już walka ze śmiercią. Walka poważna, nierokująca nadziei zwycięstwa dla strony napadniętej. Ordynat nie chorował nigdy przedtem i teraz borykał się jak z czymś nieznanym, tracąc siły z przeraźliwą szybkością.

Biało-Czarkasy trzęsły się, w Głębowiczach zamierali z trwogi. Alarmujące telegramy strzelca Jura zwoływały do łoża chorego lekarzy, niosły przestraszające horoskopy do rodziny; uderzały gromem. Ale nikt nie wiedział dokładnie, co się stało. Depesze były groźne, lecz niejasne. Ranny czy chory?

Luci ta niepewność podniosła włosy na głowie, lecz przed dziadkiem zataiła wieść mogącą go zabić.

Piątego dnia w zamku Biało-Czarkaskim zapanowała panika.

Nie ma ratunku!

Te tragiczne słowa rozeszły się po całej rezydencji jak zaraza dżumy. Na kogo trafiły te słowa, bieląły mu usta, zwieszała się głowa. Płochliwe echa idące z sypialni snuły się cicho po kątach, przerywane często krótkim spazmem płaczu. Jur leżał krzyżem przed drzwiami sypialni. Żadna siła nie zdołała go odciągnąć. W pokoju chorego było już jak w grobie. Cisza, ciężka atmosfera wieczoru, mętne rozplywające się światło lampki nocnej i chmura trwoźnego oczekiwania: Przeżyje czy skona?

W kącie pokoju skupiona gromadka czarnych sylwetek doktorów, na poduszkach łoża, jak rozpalony węgiel, głowa ordynata, a w nogach, na pół żywa... Lucia. Dziś przyjechała i od razu przestała żyć życiem rzeczywistym. Słowa „nie ma ratunku” powitały ją od progu. Runęła do nóg Waldemara, czując się już bezsilną. Jechała tu, nie śpiąc i nie przestając szarpać swej duszy. A teraz pragnęła umrzeć, aby nie czekać tego piorunu, który lada chwila mógł tu spaść. Lucia tego nie pojmowała, gdzie jest i co się z nią dzieje. Duchowa jej istota zmieniła się w jeden wrzód ropiejący strasznie. Nikt nie słyszał jej jęku, nie widział łez. Pochłaniała to kołdra na nogach Waldemara. Doktorzy przyzwyczaili się przez kilka godzin do wiotkiej, czarnej postaci dziewczyny zwisłej na łożku. W świetle przyćmionym widniał jej jasny warkocz, spływał na suknię, jak niedbale rzucona wstęga.

Godziny szły jak stulecia walk i mordów. Wlokły się chwile ciężarne niezgłębioną bojaźnią, chwile, w których płynący czas sprawiał szmer nieznośny. Powietrze tu gniotło, parność okropna dławiała dusze, napełnione lękiem do ostatnich granic. Oddech śmierci był w pokoju, ale w tej zgęszczonej masie skarg, żalów i rozpacz, przerażenia, uwiązał bezradny, jakby nie śmiał sięgnąć dalej. Ostatnie tchnienie ociągało się, wahało, zatarasowane przemocą bólu. Już dochodzi do łoża, pyłek niepewności ginie, grom ma się spełnić, lecz... zabójczy dech rozlaży się szeroko, znowu bez ostrza, znowu przyczajony, grozi tylko.

Choroba

A wieki idą, idą — zda się — w nieskończoność, ciągnąc za sobą ponure historie nędz duchowych.

Ósmego dnia choroby nastąpiło przesilenie.

Świt październikowy, spowity w siwe kożuchy mgieł, wilgotny, ciężki, przylepiał się do okien pałacu i rozmazywał na nich swe ołowiane akwarele, ociekające wodą po szybach. I stopniowo dodawał farb białych, rozjaśniał je, wykańczał.

Dzień otworzył zroszone powieki. Błade źrenice, bez błysków, ale otuchę niosące, wyjrzały swobodnie.

W sypialni zgasła lampka.

To oddech zlowrogi, nie dotarłszy do łoża, zdmuchnął ją, znikł, zabity porankiem.

Ale o tym nikt jeszcze nie wiedział.

Groza wisiała.

Ordynat otworzył szeroko oczy.

— Co to?... — spytał nieprzytomnie.

Zerwali się wszyscy, pełni strachu, ale bez szelestu.

— Co to?... Kto jest? — powtórzył chory.

Lucia pochyliła się jak senna.

— Ja jestem... Waldy...

— A!... Stefcia! Widzisz... Wróciłaś...

Głucha cisza.

— Wróciłaś? Już nie odejdiesz: prawda? Mów!

— Nie...

— Zostań! Zostań! Tak dobrze!... Ale ty pójdiesz... boję się!

— Zostanę... Waldy... Zostanę.

Waldemar trzęsące się ręce Luci położył sobie na oczach i oddychał ciężko i rzęził.

Ona z okropnym trzepotaniem serca, spojrzawszy na doktorów wzrokiem konającej. Błagała ich o coś. Zrozumieli.

Badanie trwało krótko. Ordynat nie widział ich, trzymał ręce Luci i przemawiał jak do narzeczonej. Błędnie składał słowa, chwilami cichł i znowu zaklinał ją, by nie odchodziła.

Doktorzy podnieśli się z dobrą smugą w oczach. Twarze ich były jasne, szczęśliwe.

— Przesilenie minęło. Ocalony!

Lucia nie zrozumiała, czy to wyrok czy łaska. Umysł jej stępiał. Mrugała powiekami.

Jeden z lekarzy wziął jej rękę.

— Baronówno, przytomności trochę. Zło przeszło. Spokoju.

— Stefciu... zo... staniesz? — spytał chory, zasypiając.

Rzuciła się na kolana przed łóżkiem, całując jego ręce:

— Zostanę... na zawsze! — jęknęła.

XIV

Przyjście do przytomności nastąpiło prędko. Przez parę dni po przesileniu ordynat jeszcze chwilami majaczył, rozmawiał ze zmarłą Stefcią w osobie Luci, tulił ją do siebie. Ale chwilami marszczył się, patrząc na nią, nawet raz odepchnął ją brutalnie. A gdy ona, nie rozumiejąc, przemówiła do niego łagodnie, prawie pokornie, i zapytała, czemu ją odpycha, odpowiedział szorstko:

— Jesteś podobna do Luci! Nie chcę cię taką; bądź sobą!

Dziewczynie lzy gorzkie bezwiednie spadły z oczu. Zanim je otarła, on je zobaczył. Wzruszył się. Wyciągnął do niej ręce.

— Ale ja cię kocham... Stefciu moja... Tylko... czemuś ty taka do Luci podobna?...

Resztki maligny walczyły w nim z przytomnością, wywołując wizje męczące opóźniając rekonwalescencję. Lucia prawie go nie odstępowała, ale jednocześnie pragnęła zupełnej przytomności Waldemara, a zarazem jej się obawiała. Chory żył się z gorączkową pewnością, że jest z narzeczoną; rzeczywistość mogła mu zaszkodzić. Lucia siedziała tuż przy nim tylko w czasie jego snu; gdy się budził, trzymała się z daleka. Kiedy ją wołał imieniem Stefci, zakrywała twarz rękoma i klękając przy łóżku, odpowiadała mu szeptem, bojąc się własnego głosu.

Gdy w pewnej chwili Waldemar pieścił jej włosy i spytał, czemu się nie czesze jak dawniej, Lucia natychmiast ułożyła włosy tak, jak nosiła Stefcia. Ale to wszystko mogło tylko pogorszyć przebudzenie.

Nastąpiło ono wkrótce.

Waldemar spał — snem ciężkim, odradzającym organizm, Lucia trzymała jego dłoń. Zmęczona była czuwaniem, wyczerpana doszczętnie. Ale nie pozwoliła sobie nawet na zdrzemnięcie. Przygasły swój wzrok z mizernej, wychudłej twarzy Waldemara skierowała na okno, zalane szarym dniem, i zamysliła się smutnie. Niebezpieczeństwo minęło. Radość niesłychana wypełniła jej serce, ale jednak kłuło w nim boleśnie, kłuło. Teraz jest z nim, pieszczona przez niego nieświadomie; ale potem... musi odejść, może odtrącona? Znowu męka, znowu żal! To nic — byle on był zdrow. Byle on...

Ręka chorego zadrżała w jej dłoni. Lucia uczuła na sobie jego oczy. Z przestrachem odwróciła głowę i spojrzała w jego źrenice szeroko rozwarte, błyszczące, przytomne i... zdumione.

— Lucia! — krzyknął z niewiarą w głosie.

Zerwała się, chcąc uciekać, jak na zbrodni złapana. Lecz opamiętała się. Stanęła.

— Luciu!? Co tu robisz?

— Jestem przy tobie, Waldy — szepnęła z niemym przerażeniem.

— Gdzie?

— W Biało-Czerkasach. Byłeś chory.

— Byłem chory!... Aha! A powiedz mi... kto tu jest więcej...

— Są doktorzy... Jest Jurek Brochwicz...

— A jeszcze?...

— Jest łowczy i rządca z Głębowicz.

Waldemar rozejrzał się niecierpliwie po pokoju. Gniew osiadł mu pomiędzy brwiami.

— Ale... ale... kto tu jest... kto tu był... więcej?... Mów!...

— Nikt, Waldy.

Lucia zrozumiała, kogo on szuka, i spazm zaciął jej usta.

On rzucił się nerwowo.

— Jak to nikt?... Mów! Była ona...

Zachłysnął się.

— Kto jeszcze jest z kobiet?... Ty jedna?...

— Ja jedna, Waldy.

Wpił w nią oczy tragiczne, niewierzące. Rozpacz w nich mignęła, nawet raptowny błysk wściekłości. Rękę Luci zgniótł, jakby nienawistnie i cisnął przez zęby:

— Ty jedna?... Lucia?

W okrzyku tym był zawód, była apatia i śmiertelna rezygnacja. A dla Luci upokorzeniem raniący policzek.

Łzy zalały jej twarz, padły na ręce i koldrę Waldemara. Chciała odejść, ale przemogła obrazę duszy, stała cierpliwie ze spuszczonej powiekami, jak martwa.

On puścił ją. Patrzył na łzy, znowu na nią, jeszcze raz nieufnie spojrzał dokoła, po czym zamknął oczy i pochylił głowę w bok.

— Będę spał, zostawcie mnie.

Ten szmer jego ust Lucia więcej odczuła niż słyszała. Odeszła cicho, jak cień, blada, znękana, a przed nią padały duże krople łez zaprawionych trucizną.

Gdy znikła, Waldemar otworzył oczy.

„To była... Lucia... ale... dlaczego ona tu przyjechała? — pomyślał. — Dlaczego?”

XV

Jeszcze nie było dobrze; jeszcze się obawiano. Trochę lekceważenia choroby — i mogły wybuchnąć suchoty. Ordynat świat lekarski jednogłośnie wysłał na południe. Lecz on nie chciał, opierał się, i zaledwie błagające listy pana Macieja i księżnej Podhoreckiej, nieśmiała prośba Luci, wreszcie tłumaczenia Brochwicza wywołały skutek: Waldemar się zgodził. Chciał najpierw jechać do Głębowicz, i na to nie pozwolono.

Lucia przebywała w Biało-Czerkasach aż do jego wyjazdu za granicę. Nie narzucała mu się — tak dalece, że sam kilka razy pytał, czy już wyjechała.

Doktorzy mówili mu o troskliwości, z jaką pielęgnowała go w chorobie, o niemal poświęceniu.

Był wzruszony jej dobrocią, chciał dziękować, ale prawie jej nie widywał, a jeśli zobaczył, to na krótko, i nie pozwalała mu o tym mówić. Przy nim była wesoła, radosna, nie zdradzając niczym stanu swej duszy. Tak że Waldemar, który czuł się nieco winny względem niej, przypominając sobie przez sen, że ją odtrącił, uspokoił się zupełnie. Badał ją wzrokiem, nie wierząc instynktownie w jej spokój, ale Lucia grała swą rolę znakomicie.

Brochwicz ofiarował się odwiedzić ordynata na południe. Chciał jechać lekarz głębowicki, ale Waldemar nie zgodził się na to. Zabierał tylko Jura, któremu Lucia od siebie nakładła w głowę, jak ma chodzić koło ordynata.

Godzina rozstania nadeszła. Ordynat był zły; Riwiera nie nęciła go. Ale listopad w całej pełni, naladowany ostrością powietrza i krew pokazująca się jeszcze z płuc zmuszały myśleć o ocaleniu życia. Przeciwnikiem tych poważnych atutów była bezdenna apatia ordynata. Ona przestraszała wszystkich obecnych.

Lucia od wczesnego ranka walczyła ze sobą, wzniecając hart i dumę własną, aby pożegnać Waldemara z godnością. Chciała być tylko siostrą, bez uczuć głębszych, natury odmiennej. I tak przygotowana stanęła do próby.

Przed samym wyjazdem znaleźli się tylko we troje: Waldemar, Brochwicz i ona. Karetą czekała, czas naglił.

Ordynat podszedł do niej.

— Do widzenia, Luciu — rzekł serdecznie.

Podawała mu obie ręce.

— Do widzenia, Waldy! Niech cię Bóg prowadzi... Wracaj zdrowym...

Załkało jej w piersi. Urwała. On ucałował jej ręce, dość długo i pieściwie. Patrzył na nią, prosto w oczy, jak spowiednik na penitentkę. Wytrzymała ten wzrok zwycięsko.

— Tak mnie chłodno żegnasz?... Luciu!? — przemówił cichym, miękkim głosem.

Od razu, bez woli, bez walki, zarzuciła mu ramiona na szyję i na jedną sekundę przylgnęła do jego piersi. Usłyszał skowyt w jej krtani.

— Waldy... drogi...

Uściskał ją krótko, bo się wyrывała. Żegnała go już tylko oczyma, rozjaśnionymi ze szczęścia. On już z karety uśmiechnął się do niej dobrym uśmiechem.

Odjechał.

A Lucia dopiero wówczas serce swe i duszę oblała gorącymi łzami i wysłała je za Waldemarem.

Wieczorem i ona wyjechała z Biało-Czerkas.

Zimę Waldemar przebył w Tyrolu, zmieniając miejsca pobytu. Na wiosnę przyjechał do Nicei. Zdrowie mu powróciło, lecz było już szarpnięte; musiał pozostać na południu do końca maja. Czuł się znudzony. Dręczył go ten świat, pełen blasku, życia, pełen coraz nowych ludzi i wypadków. Tęsknił już za mglistym dniem w Głębowiczach, byle odpocząć po cudnej roztocy nicejskiego słońca, niezmiennego, które go nużyło. Nie pociągało go nawet morze. Puszczął się na fale sam jeden w barce rybackiej, ale wybierał dni, kiedy morze jest wzburzone. Musiał walczyć z bałwanami, i to go jedynie poruszało.

Znajomych miał tu wielu, lecz nie bywał w towarzystwach i unikał ich. Tylko hrabia Dominik Herbski był zawsze mile przezeń widzianym towarzyszem. Dawny znajomy, choć dużo starszy od ordynata, zgadzał się z nim w wielu pojęciach nowoczesnych.

Spacerowali obaj na Promenade des Anglais. Dzień był jasny, prawdziwie nicejski. Morze, lekko sfalowane, wyglądało jak lśniący, niebieski aksamit, pomięty i poprzerzynany sznurami pereł: to piana, wąsko i długo rozciągnięta, tworzyła jakby festony¹⁷ perłowe, jakby fryzowane falbanki z gazy.

Ordynat, trochę kwaśny, mówił mało, słuchał grubego głosu hrabiego Dominika, który toczył się przy nim wielką swą postacią, o twarzy ciężkiej, lecz inteligentnej.

Przeszedł obok nich młody człowiek, wysoki, szczupły. Eleganckie, białe spacerowe ubranie leżało na nim jak na lalce. Miękki kapelusz, włożony z fantazją, osłaniał drobną, nerwową twarz dwudziestoparoletniego blondyna. Głowę miał pochyloną nad notesem,

¹⁷*feston* — element dekoracyjny: podpięta tkanina lub płaskorzeźba ją przedstawiająca. [przypis edytorski]

w którym coś notował, mruczając dość głośno do siebie. Laseczkę, jak cacko, trzymał pod pachą i szedł sążnistymi krokami, nie uważając na nich i na nikogo.

— Ten używa południa! — rzekł Herbski, gdy młodzieniec ich wyminął.

— Zna go hrabia?

— Z widzenia. Wiecznie biega, tak jak teraz; coś zapisuje i gada do siebie. Gra przy tym, niech Bóg broni! Dlatego też mówię: używa południa.

— Gra?

— Ciągłe siedzi w kasynie. Taki smarkacz.

— To Polak?

— Zdaje się, ale nazwiska nie znam. Cały dzień przebywa w Monte Carlo, tu tylko nocuje.

— Hm! Ciekawe! — szepnął Waldemar, śledząc wzrokiem smukłą sylwetkę nieznajomego.

— Dlaczego ordynat tak się nim interesuje? To dość zwykły okaz na tym wybrzeżu.

— Ja go znam.

— Taak?...

— Nie wiem gdzie i kiedy, ale widziałem go dość blisko. Muszę go odszukać.

W kilka godzin potem ordynat był już w Monte Carlo. Siedział na ławce w parku, na wprost kasyna i uważnie przyglądał się spacerującym.

Nieznajomy młodzieniec intrygował go już od kilku dni. Tylko że w Nicei ginął mu ciągle z oczu.

Michorowski zamyślił się.

Patrzył na niezliczoną mozaikę ludzkich twarzy, przesuwających się obok niego, na gorączkowe ruchy tych ludzi, na wyraz odbity na każdym odrębnie, jak własna pieczęć. Nie dziwił się, co ich denerwuje. Wiedział, że żądza złota. Posiada ją każdy w mniejszym lub większym stopniu. U jednych ona ginie pod wpływem dostatku i gdy nie jest pobudzona; u innych jest zduszona silną wolą: jeszcze u innych plonuje ciągle i prowadzi do zbrodni. Ten, kto zupełnie w zanadru jej nie posiada, nie ceni zarazem i życia. Abnegacja¹⁸ dla złota idzie w parze z apatią życiową lub z tak krańcowym idealizmem, że z życiem realnym również nie ma nic wspólnego. Zresztą, pomiędzy poszanowaniem grosza a żądzą złota jest cała przepaść. Najwięksi realści, dbający o pieniądź, nie odczuwają tej zwierzęcej chciwości jego, chyba podrażni ich widok gór na stołach kasyna. Lecz silnych natur dreszcz ten nie zgubi; może chwilowo nimi wstrząsnąć. A często najgłębsi idealści, którzy w pospolitych warunkach z pogardą odsuwają od siebie pieniądź i w istocie nie przywiązują do nich żadnej wagi, wpadają w matnię¹⁹ domu gry.

Bo ta jaskinia zdolna jest wydobyć żądzę złota z najtajniejszej skrytki ludzkiej istoty, tym bardziej, jeżeli trafi na naturę gorącą. Umie dokazać tej sztuki, jak sprowadzenie zamglonych ideał oczu poety z obłoków na sukno rulety.

Ta puszcza o złotym podniebieniu pożera tysiące, bezwartościowych, ale i cennych jaźni, ciągnie je na swój lep i przetrawia. Wyrzuca z siebie trupy moralne i fizyczne, i chłonie, chłonie bez odpoczynku. Nienasycona, groźna!

Nagle Michorowski doznał jakby rzutu wewnętrznego, aby wyrwać stąd nieznajomego młodzieńca. On już brnie w tę okrutną paszczkę. Wyszarpnąć go z jej zębów, póki czas...

Nagły rzut wewnętrzny stał się silnym pragnieniem. Michorowski nie rozumiał tego uczucia skierowanego na obcego człowieka, lecz i nie analizował go.

Chciał ratować ginącego, bo chciał. Dlaczego?... — nie zdawał sobie sprawy. Sam niegdyś grał w tym potwornym gmachu, ale on miał za wiele milionów, więc mu złoto nie imponowało. Jednak wciągał się, nie dla chciwości samego złota, lecz wskutek chęci wygrania. Nerwy tu działały. Przerwał, bo poczuł w ustach gorzki smak wstrętu. Prawie każdy odczuje ten smak, ale często za późno. Nieznajomy jest właśnie w fazie najniebezpieczniejszej: goreje.

Michorowski, widząc go, nie pojmował, co go tak podnieca. Młodzieniec czynił na nim wrażenie podejrzanego, trochę narwańca. Nie wiedział jeszcze wówczas, że on gra.

¹⁸abnegacja — wyrzeczenie się. [przypis edytorski]

¹⁹matnia — sytuacja bez wyjścia. [przypis edytorski]

Ordynat drgnął na swej ławce. Usłyszał w bocznej alei młody głos i był pewny, że należy do nieznanego.

Ale to głos znajomy! Co to jest?...

Spoza klombów wyszedł młodzieńiec w białym flanelowym kostiumie, prowadząc rozmowę z jakimś ospałym brunetem.

— Upewniam pana — mówił po polsku — że to ostatnia stawka. Jeśli przegram, diabeł się pocieszy.

— Bo przestałbyś pan z tą ruletą! — rzekł brunet tonem upominającym.

Młody człowiek roześmiał się.

— Kapitalny! To tak, jakbyś pan tonącemu powiedział: „przestań do licha z tą wodą!”
Cha! cha!...

Brunet znowu coś mówił, czego już ordynat nie słyszał, bo znikł w drzwiach Kasyna.

Zerwał się i poszedł za nimi.

„Co to za głos? Co to za głos?” — myślał, trąc czoło.

XVII

W sali gry usiadł na bocznej kanapie i poszukał wzrokiem wśród tłumu otaczającego stoły. Łatwo odnalazł młodzieńca, który już wmieszał się w liczbę grających i cały był pochłonięty swoją stawką. Brunet stał za nim.

Gra trwała długo. Charakterystyczne, suche głosy krupierów odzywały się złowieszczo jak puszczyki. Brzęk złota, śpieszne oddechy graczy, często okrzyk bolesny, jakieś westchnienie — odrzynały się plastycznie od ogólnego lekkiego szumu dużej masy ludzi.

Ordynat, widząc tylko plecy młodzieńca, badał twarze innych. Zapłonione policzki kobiet, ich oczy piekące chciwością, włos rozwiany, często zbakierowany kapelusz były wyborną ilustracją stanu wewnętrznego tych istot. Gra brała ich w siebie z niepokonaną mocą. Poza tą ruletą świat cały zdawał się dla nich nie istnieć. Ale Michorowski, zaciekawiony, jak wygląda twarz nieznanego młodzieńca, poszedł na drugą stronę sali, skąd mógł ją dobrze obserwować, i tam zajął miejsce. Spojrzał i zamiast badać wyraz, wpatrzył się w rysy młodego chłopca.

— Kto to jest?! — szepnął do siebie.

Jakieś odległe wspomnienie wionęło nagle i krótko. Ta twarz... te oczy... Tak! Tak! Coś bardzo znajomego.

Chłopak trzymał wzrok utkwiony na stole, ale błędził po nim. Na gromady złota patrzył chwilowo z wyrazem, jakby mówił „kpię z ciebie, ale będziesz moje”. Na krupierów spoglądał z ironią, na publikę nie zwracał żadnej uwagi. Miał minę, jakby gra szła tylko dla niego.

Ciemnopiwne oczy błyszcząły mu nie żądzą, lecz ciekawością. Usta pełne, świeże, pod ledwo sypiącym się wąsikiem krzywił nerwowo na różne sposoby: składał wargi jak do gwizdania, podciągał je pod nos, rozsuwał, ukazując białe zęby. Czasem uśmiech łobuzerski mignął na szczupłej, smagłej twarzy, czasem szybki jak błysk przestrach. Wówczas nagle ruchem dotykał dłonią głowy, porosłej lśniącem ciemnoblonde włosom, zaczesanym w górę. Brwi miał ostro zarysowane i dość skupione.

Ordynat na tych brwiach i ustach zatrzymał najdłużej badawcze źrenice. Ale w ruchach i w głosie, i w całej postaci było coś, co Michorowskiego wprost zdumiewało.

Nareszcie młodzieniec grę skończył.

Przegrał.

Ordynat nie spuszczał z niego oczu. Doznał dziwnej satysfakcji, zobaczywszy, że chłopak, po momentalnym, niewidocznym prawie cieniu na twarzy, uklonił się z wielkim wdziękiem krupierowi, i cofając się, palnął na cały głos do bruneta po polsku:

— Myślał, jucha, że zblednę!

Zaczął się śmiać, trochę nienaturalnie, lecz odważnie, i mówił dalej, wysuwając się z koła grających.

— Niby nic dziwnego, że przegrałem: jestem prawie szczęśliwy w miłości. Ale swoją drogą, fortuna dała mi mata. A tom się splukał! — pisnął odmiennym, przeciągłym głosem.

Podeszli obaj blisko w stronę ordynata. Chłopak rzucił się na sofę. Brunet usiadł przy nim z miną wielce nieszczęśliwą. Chwilę milczeli. Ordynat udawał, że patrzy na grających. Coraz więcej zajmował go, niepokoił i bawił ten młodzieniec. On tymczasem kręcił się na sofie nerwowo, zdradzając chęć do gwizdania. Raz nawet jakiś niesforny ton wyleciał z jego ust, lecz młodzieniec zmitygował się w porę. Po czym zaczął mówić swobodnie:

— Niech pan jeszcze nie ma pogrzebowej miny, jeszcze żyję. Widzi pan: to się nazywa los brać za rogi, jak byka, gdy bodzie. No i cóż?! Nie mam na zapłacenie hotelu, nie mam na podróż... ba! nawet nie mam na obiad, bo już same długi. Ale rewolwer mam w kieszeni; gdybym chciał — trrach! i po wszystkim.

— Co też pan mówi! Ale, jakże można?... Co znowu!... — oburzył się przerażony brunet.

— Cha, cha! Paradny pan jest! Ja bym się miał dla głupiej ruletki, która mnie okradła, strzelać?! Ani myślę! Niech się nie cieszy nadzieją!

Zaśmiał się i znowu mówił, ku stałemu przerażeniu bruneta, który miał taką minę, jakby nie wiedział, czym się martwić: czy że młodzieniec nie chce się strzelać, czy że może się zastrzelić.

— Myśli pan, że ja palnąłbym sobie w łeb w parku? — mówił chłopak. — Ani trochę! Tu, w tej sali, przy samej rulecie... Co?! To byłby efekt szalony! Z parku zmiotliby mnie stróże jak śmieć, nikt by nawet nie widział! Ale tu! O!! Wszystkie lady i misy by pomdlały. Moja krew padłaby na ruletę, splamiła złoto. Ehe! Może bym się przyczynił do oczyszczenia świata z tego plugastwa. Jak pan myśli: zamknęliby budę?

Brunet wzruszył ramionami.

— Pan głupstwa plecie zamiast myśleć poważnie. Sytuacja nader przykra.

Młodzieniec zdawał się nie słyszeć. Szedł za biegiem własnych myśli.

— Żałuję, że nie jestem taki głupi, żeby się strzelać. Zrobiłbym frajdę gazetom europejskim. Może i warto?...

Brunet powstał.

— Chodźmy do domu. Za dużo pan mówi.

— A cóż będę robił? Tylko głos mi pozostał, no, i kilka garniturów na zmianę. Siedz pan, trzeba się namyśleć.

— Nad czym!

— Jak najłatwiej fajtnąć na tamten świat.

— Et!

— No więc co?

— Niech pan zadepeszuje do domu. Przyślą.

Twarz młodzieńca spoważniała w jednej chwili. Rzeczł twardym tonem:

— Za nic! Matki prosić nie będę. Wyrzekła się mnie: żem łajdak. Niech i tak będzie.

Zamyślił się smutno i zwiesił głowę.

Ordynat, odwrócony dotąd bokiem, spojrział na niego i zadrzał. Błysk gwałtowny rozjaśnił twarz Waldemara.

Młodzieniec siedział nachmurzony z wydętymi wargami i z silnie zmarszczoną brwią. Jego oczy pociemniały jeszcze; były jak ze stali. Rzeczł głucho.

— Przehulałem całą swoją schedę; nic mi się od matki nie należy, a żebrać nie będę.

— Więc cóż pan zrobi?

Chłopak wyprostował się.

— Zostanę kelnerem.

— Et!

— A pan tylko to umie. Chodźmy!

Brunet wstał ociężale.

Ordynat podniósł się również. Twarz jego była prawie obojętna. Podsunął się do młodzieńca i dotknął jego ramienia.

— Kto pan? Czego pan sobie życzy?! — zaperzył się chłopak, już zły.

— Poczekaj.

— Cóż to znaczy? Jak pan śmie w ten sposób kogoś zaczepiać?

Ordynat się uśmiechnął.

— Trafił swój na swego. Tyś również w sposób niezbyt elegancki tu się zachowywał.

— Ty?... Co to znaczy?!

Samobójstwo

— Słuchaj! Jesteś Bohdan Michorowski z linii czerczyńskiej i... z Czerczyna.
Młodzieniec cofnął się w tył. Zdumienie odebrało mu mowę.
Ordynat wziął go za rękę. Uśmiechnął się.
— Nie myśl, że jestem agentem²⁰ śledczym i że cię aresztuję. Jestem tylko Waldemarem Michorowskim z Głębowicz. Musiałeś o mnie słyszeć, bo pamiętać nie możesz.
— Ordynat?!
— Ten sam.
Chłopak rzucił mu się na szyję i ucałował. Po czym spojrzął na osłupiałego towarzysza, wołając:
— No, już możesz pan wyjąć kulę z mego rewolweru. Daję dymisję pani śmierci.

XVIII

Ordynat zabierał kuzyna do Głębowicz. Podobało mu się, że Bohdan był z nim szczerzy, i kiedy Waldemar spytał go o liczbę długów, odrzekł bez zwykłych w takich razach przesadnych skrupułów.

— A! Wuj chce je popłacić? *Très bien!*²¹ To po ordynacku! Tylko uprzedzam, że jest ich kupa, i... że nie wiem, czy potrafię je kiedyś wujowi zwrócić. Chyba, że jak otrzymam jakie dobra... na księżycu.

Zaczęły się spłaty długów Bohdana.

Ordynat nie robił kuzynowi wymówek; wiedział, że to na razie nic nie pomoże. Raz tylko rzekł, przeglądając weksel na jakąś bardzo dużą sumę:

— Trochę za wcześniej i... za słono zaczynasz.

Bogdan się zaczerwienił.

— Toteż skończyłem, wuju — rzekł smutnie.

— A Czerczyn?

— Już nie mój! Zresztą Wiktor jest właścicielem: nie ja. Co było moje: fiu! poszło w świat.

— Mama by ci nie dała zginąć.

— Ee! Te wszystkie akcje skierowane są na Wiktora. Ja zawsze byłem *enfant terrible*²². Ochrzczony tak niegdyś, zastosowałem się do nazwy.

— Wszystko to... możliwe, tylko ruleta zbyt czarna — rzekł Waldemar. — Kto cię do tego wciągnął?

— Własny przemysł! Chciałem dużo wygrać i lażem. A to... ciągnie. Sto razy przysięgałem sobie i Stalskiemu, temu brunetowi, co to wuj wie, że nie będę grał. Ale gdzie tam! Człowiek jak bydlę...

Zaśmiał się swobodnie i przeciągle.

— Nareszcie Stalski odetchnął. Wyjechał do Warszawy, szczęśliwy, żem uratowany. Ciągłe mnie pilnował, abym kulki do mózgu nie zaprosił.

Na parę dni przed wyjazdem z Nicei Bohdan spochmurniał. Był milczący, opryskliwy. Ordynat odkrywał w nim coraz to nowe cechy Michorowskich, lecz nieposkromione żadnym wędzidłem. Nie mógł pojąć, co mu jest, pytać zaś nie chciał. Nareszcie chłopak przemówił. Miał minę niezwykle wahającą się.

— Wuju! Mam do ciebie... jedną... prośbę. Wyjeżdżam z Nizy²³; ale cóż będzie z Anną?

— Aa!! Więc jest i Anna?!

— Cóż to, wuju, wątpieś? Jestem przecież Michorowski! My tu mamy opinię ustaloną; niepodobna jej zaniedbać.

— Ty ją ustaliłeś?...

— Ja utrwaliłem! Dzieło zapoczątkowane przez potentatów głębowickich.

Złożył przed ordynatem zabawnie poważny ukłon.

— Których jedynym reprezentantem jesteś ty, wujciu.

Ordynat roześmiał się szczerze.

²⁰ *agent* (daw.) — agent. [przypis edytorski]

²¹ *très bien* (fr.) — bardzo dobrze; świetnie. [przypis edytorski]

²² *enfant terrible* (fr.) — dosł.: okropne dziecko; przen. człowiek będący przyczyną nieustannych kłopotów, nietaktowny, łamiący wszelkie reguły. [przypis edytorski]

²³ *Nizza* (wł.) — Nicea. [przypis edytorski]

— No, mniejsza! Jakże tam z tą Anną? Kto ona?...

— Wenus! Wenus Milońska²⁴! Boska dziewczyna! Ramiona, mówię wujowi, no, pycha! Zbudowana...

— Ale ja się pytam: kto ona? Że ładna, nie wątpię.

— A cóż mię obchodzi, kto ona? Moja! Ma śliczny buduarsio, cacy salonik, ubiera się szampańsko. Słowem: *pigeon*²⁵.

— Kokota²⁶?

— O! Zaraz kokota! Przyjechała z Wiednia.

— Na sezon.

Bohdan skrzywił się.

— Ee, wuju! Ja ją kocham.

— Aż tak! Czy Niemka?

— Węgierka. To cukierek! Wuj sam chciałby mi ją odbić, gdyby poznał. Ale ja nie pokażę.

Waldemar ściągnął brwi.

— Jakież masz obowiązki?... — spytał sucho.

— Muszę się pożegnać i... coś tam... Wuj rozumie... Jakąś pamiątkę.

— Mów ściśle, co i ile.

Bohdan rzucił się nerwowo.

— Ach! Nie pieniądze! To nie! To trzeba delikatnie. Ja ją kocham i żałuję. Może jakiś... klejnot... Poradz mi, wuju; tyś przecie praktyk.

— Najlepiej radź sobie sam. Żadnych zobowiązań nie robiłeś. Czy tak?

— No, kochamy się, zresztą ona nic ode mnie nigdy nie brała.

— Lecz w końcu zanieś jej to — rzekł ordynat, wyjmując z kieszeni gruby pakiet.

Wręczył go Bohdanowi z uśmiechem.

— Tą pianą przykryj swoją Wenus, zobaczysz, będzie ci wdzięczna.

Bohdan ze zmarszczoną brwią liczył banknoty.

— To za dużo, wuju.

— Masz jej kupić klejnoty! Wybierz, kup i wówczas oddasz mi, co zostanie.

— Bagatela! Ale ja wuja obdzieram jak bandyta.

Ordynat nieznacznie uśmiechnął się.

— Zaciągniesz tylko nowy dług. Ufam ci, że nie przehulasz.

Bohdan stropił się. Zawijał przeliczone pieniądze gorączkowym ruchem; twarz miał poruszoną; usta drżące. Spod brwi spojrział na Waldemara i rzekł:

— To najgorzej! Nie cierpię, gdy mi kto ufa. Mama i Czerczyn także mi ufali i... niezbyt się udało. Ja tu za tę sumę gotów jestem kupić cały sklep jubilerski. A co potem?...

Nagle wziął ręce ordynata i mówił żałośnie.

— Dziękuję ci, wuju, jesteś dobry! Ale wiesz?... Jak pomyślę, że te pieniądze mają być epilogiem moich stosunków z Anną... ogarnia mnie żal i wstręt. A jednak trzeba. Jestem Michorowski, więc tak... na sucho, jak pierwszy lepszy hołysz²⁷, żegnać się nie wypada.

— Dobrze, że w stosunku do... takiej Anny rozumiesz to — rzekł ordynat. Bohdan wybiegł z pokoju.

Przez cały dzień ordynat nie mógł się go doczekać. Był niespokojny.

Pod wieczór Waldemar poszedł nad morze. Długo chodził na wybrzeżu, pogrążony w myślach. Nazajutrz miał opuścić Riwierę. Z radością widział się już z powrotem w Głębowiczach, tylko wspomnienie Luci przejmowało go jakimś niepewnym dreszczem. Może to się w niej zmieniło? Może już nie trwa? Łudził się słabą nadzieją. Lecz listy Luci były przeczeniem. I Waldemar bał się.

Gdy zamyślony mijał jedną z ławek, nagle stanął. Ujrzał siedzącego na niej Bohdana. Chłopak skulony opierał głowę na obu pięściach złożonych na lasce. Wyglądał jak kościany dziadek, w swym białym ubraniu i wtłoczonym na oczy kapeluszu. Szczupłość jego ciała w zgarbieniu całej postaci uwydatniała się plastycznie. Miał wygląd bardzo nieszczęśliwy.

²⁴Wenus z Milo — słynna rzeźba grecka z II wieku p.n.e. [przypis edytorski]

²⁵pigeon (fr.) — gołąb; tu: gołąbek, gołąbka. [przypis edytorski]

²⁶kokota (daw.) — prostytutka. [przypis edytorski]

²⁷hołysz (daw.) — biedak. [przypis edytorski]

Waldemar trącił go z lekka.

— Bohdan; co tobie?...

Chłopak podniósł głowę ociężale. Na długich rzęsach miał duże łzy, które nagle spływały mu na policzki.

— Bohdan!

Ordynat usiadł przy nim i serdecznie objął jego ramię.

— Co ci jest?... Cóż Anna?...

— Pożegnałem się, wuju. Ale i ona mnie kocha. Tak mi żal!

Prędko otarł chusteczką oczy i rzekł z gniewem:

— Zły byłem na wuja za tę kolię! Kupiłem piękną. Same brylanty, pyszna woda. Ale cóż, nie chciała! Rozplakała się. Spazmy, że ją byle jak traktuję, że ona tylko z miłości... Biedaczka moja! Biedaczka!...

— No... ale w końcu: przyjęła kolię? — spytał ordynat.

— Przyjęła.

— To... bądź spokojny!

W głosie ordynata zadrgał żart.

Bohdan wstał.

— Wuj taki cynik, że... nie mogę!

— Poczekaj. Dokąd idziesz?

— Ochłonąć. Żal mnie dusi. Palnąłbym sobie w łeb.

Szerokimi krokami poszedł, świecąc w blasku księżycy jak cienki biały kwiat. Ordynat patrzył za nim. Żartobliwe iskierki w oczach zmieniły mu się w mgłę pobłażania.

„Zaczyna żyć” — pomyślał.

XIX

W Wiedniu ordynat niespodziewanie spotkał na dworcu kolejowym baronową Elzówną. W ciągu całej zimy starannie unikał spotkania, wiedząc, że baronowa przebywa razem z hrabią Barskim i z rozwiedzioną księżną Zaniecką. Spotkanie rozdrażniło go, lecz na szczęście baronowa była sama. Zaczęła się od razu skarżyć na Lucię.

— *C'est une fille folie*²⁸ — mówiła z najgłębszym przekonaniem — Siedzi w tych Słodkowcach jak zakonnica. Chyba papa tego nie wymaga? Dwie znakomite partie odrzuciła. To szaleństwo!

Waldemar zmienił rozmowę, lecz baronowa prędko powróciła znowu do Luci.

— Wyobraź sobie: ona nie pisuje do mnie!... Obrażona za to, że przyjaźnię się z Barskimi. *Voilà!*²⁹ Smarkata! Dla jej kaprysu nie wyrzeknę się przyjaciół.

Waldemar zgrzytnął zębami, ale odrzekł spokojnie, tylko z ironią.

— Tak, to byłoby dziwniejsze, gdyby ciotka po wszystkim, co zaszło... unikała Barskich.

— Co ty mówisz? *Voyons!*³⁰

— O! Nic! Żegnam ciotkę.

— Zaczekaj! Kogo ty wiesz ze sobą? *Un beau garçon!*³¹

Ale Waldemar nie zaczekał. Szedł prędko, zapomniawszy nawet przedstawić pani Idalii Bohdana, który trzymał się z daleka, świdrując zajadle oczyma w różowej buzi młodej Niemeczki, podróżującej z papą i z mamą.

W drzwiach do sali ordynat ujrzał wchodzących Barskiego i Zaniecką. Pot wystąpił mu na czoło. Gniew, obraza, wściekłe wspomnienie ugryzło go w serce. W oczach miał zimne żelazo. Żaden rys mu nie drgnął, tylko twarz zbladła.

Hrabia i księżna spostrzegli go. On cofnął się i poczerwieniał; oczy wylazły mu na wierzch. Księżna Melania, również mocno pąsowa, utkwiała bezczelny wzrok w sztywnych oczach ordynata i szła naprzód śmiało, urągliwie.

Ordynat przeszedł, udając, że ich nie widzi, jak koło słupów telegraficznych i znikł w wielkich drzwiach dworca.

²⁸*c'est une fille folie* (fr.) — to szalona dziewczyna. [przypis edytorski]

²⁹*voilà* (fr.) — proszę bardzo, otóż to. [przypis edytorski]

³⁰*voyons* (fr.) — zobaczmy; sprawdźmy. [przypis edytorski]

³¹*un beau garçon* — piękny chłopiec. [przypis edytorski]

Księżna przymknęła oczy, bo źrenice Waldemara ukłuły ją boleśnie, niby długim ostrzem kamiennym.

Wzburzony Waldemar siedział już w wagonie, gdy wszedł Bohdan.

Był roześmiany. Rzekał z komicznym żalem:

— Pożegnałem swoją Gretchen³²! Pojechała do Iszlu. Wie wuj! Ani rusz nie mogła wytrzymać mego wzroku. Ja mam siłę piorunującą! Przedstawiłem się jej jako księżę Abrakadabra-Abra z linii świętych tureckich. Uwierzyła. Niewiniątko! A ona Müller... a taka ładna! Ale, ale, wuju!

Spojrzał na Waldemara i umilkł. Śmiech zgasł mu na twarzy.

Ordynat zdawał się obojętnie czytać gazetę.

Gdy pociąg ruszył, Bogdan podusnął się bliżej i spytał cicho:

— Wuju, czy ta... piękna pani, którą wuj minął, to... ta sama co... anonimy...

— Tak — przerwał prędko ordynat. — To był Barski z córką.

Bohdan zamyślił się. Po długiej chwili szepnął:

— Ma za swoje.

XX

Waldemar zajął się szczerze swym kuzynem. Poznał go już trochę, lecz młody człowiek wymyślał mu się z rąk. Ordynat nie mógł często wywnioskować, co w nim jest dobrego, a co zaś złego. Był inteligentny i żywy, poza tym wszystko inne plątało się w tej naturze w chaotyczny sposób, bez ładu i składu. Na zapytanie ordynata, kim chce zostać, Bohdan odpowiedział ze zdziwieniem:

— Tym, kim jestem: wielkim panem!

— A czy ty rozumiesz przynajmniej, co to znaczy: wielki pan?

— Wielki pan to jest obiekt, a zarazem problemat. Może być i wielkim szubrawcem, i wielkim dobrodziejem. Ty, wuju, jesteś z dobrej kategorii, i o tobie dużo mówią, taki zaś... Barski... jest ze złej kategorii i także o nim dużo mówią. Ale i ty, i on, jesteście jednakowo wielcy panowie.

— To znaczy, że sam tytuł ciebie nie olśniewa? Dobre i to! A, na którą stronę się przechylasz?

Bohdan zaczął po swojemu wykrzywiać usta.

— Ja tkwię w środku i stworzę nową kategorię: zacno-lajdacką. Krańcowości nie lubię! Nudzą mnie śmiertelnie.

Ordynat radził młodzieńcowi wstąpić na uniwersytet.

— Nie mam pieniędzy — burknął Bohdan.

— Na to się znajdą, bądź spokojny. Wybierz sobie najodpowiedniejszy wydział, a ja ci wskażę uniwersytet.

— E! Wuju! Nie mnie brać się za bakalarstwo! Dobrze, że skończyłem siedem klas szkolnych: miałbym się znowu do ławy przyszywać? Ani myślę! Zresztą w naukę nie wierzę. Mając spryt, można się samemu więcej nauczyć niż bez niego w stu uniwersytetach. Czy ja jestem taki głupi? Wiem bardzo dużo, czytałem moc, a że się tam w filozofii babrać nie potrafię, to jest bez znaczenia. Do wynalazków także nie mam pretensji. Jednego tylko żałuję...

— Że masz takie pojęcie? — spytał ordynat.

— Nie, ale że Czerczyn nie jest moją własnością — odrzekł Bohdan trochę smutno.

— Puściłbyś go tak samo, jak i swoją splotę.

— Może i nie! Zawsze to już coś. Ale dajcie mi pieniędzy, to sam potrafię wyssać taką esencję z życia, o jakiej się filozofom nie śniło.

Po szczegółowym zbadaniu spraw majątkowych Bohdana, ordynat wykazał mu całkowity deficyt. Młodzieniec liczył zaledwie 22 lata, zdążył zaś już stracić nie tylko to, co mu się należało z Czerczyna, ale i porządnie wpaść w długi. Matka jego odpisała ordynatowi, że znać nie chce wyrodnego syna, że więcej nie da ani grosza, bo Czerczyn z przyległościami to tylko już własność Wiktora Michorowskiego, starszego brata Bohdana.

³²Gretchen (niem.) — Małgosia, Gosia; zdrobn. od imienia: Małgorzata, odwołanie do bohaterki *Fausta* Goethego. [przypis edytorski]

Rozpieszczony dawniej „Bodzio” rozumiał, że jest na łasce i niełasce ordynata. Stracił fantazję, ale nie na długo. Zapowiedział ordynatorowi, że przez lato będzie hulał w Głębowiczach, potem zaś gotów iść drzewo rąbać, jeśli nic efektowniejszego wuj nie wymyśli. Prędko jednak zmienił zdanie. Z wielkiego pana zostać parobkiem to spad za ostry, a znowu dlatego umierać nie warto. Ożenić się bogato tylko dla posagu, największe głupstwo! — Pozostaje więc praca. Że zaś to jest nuda pani, więc jeszcze lepiej być rozbójnikiem włoskim.

— Włochy znam wybornie, jestem mężny! Tak! Zostanę najpewniej bandytą apenińskim i przezwę się Bohda-Michor. To będzie ładne.

Tworzył projekty coraz dziksze, ale poważnie zastanawiał się nad swoim losem, chociaż się z tym nie zdradzał. Duży wpływ wywarła na nim wizyta matki w Głębowiczach.

Pani Kornelia Michorowska, daleka krewna Waldemara, osoba jeszcze dość młoda, pełna pretensji, przesady i subtelnej ironii, w gruncie rzeczy tęga histeryczka, od razu najgorzej usposobiła do siebie ordynata, gdy przyjechała do Głębowicz.

Nie rozstając się z różnymi trzeźwiącymi solami i z lornetką, mówiła cedzącym głosem i przez nos. Często mdlała, spazmy były jej zwykłym objawem, ale nie szkodziły, tak jak aktorom nie szkodzi konanie na scenie. Do zwykłej dekoracji tej damy należał słodkokwaskowaty, jak wymoczona w herbacie cytryna, uśmiezek, na ustach wąskich, złożonych w bolesny łuk. Był to wyraz dystygowany. On jednak najwięcej ordynata drażnił.

Pani Kornelia dziwiła się na wstępie, że Waldemar wziął w opiekę takiego „*rien du tout*”³³, jak Bodzio, bo to jest chłopak wykolejony. Usłyszawszy to „Bodzio” najpierw przeprowadził całą serię min na swych wargach, potem rzekł z humorem:

— Że jestem wykolejony, to wina mamy. Któż to mi dawniej podsuwał do portmonetki ciągle po kilkaset rubli: czy nie mama? Papo, póki żył, nie dawał, mama przeciwnie. Czasem znajdowałem w portfelu spore sumy. Nie mam żyłki do składania, więc puszczałem w świat. No, i nasiąkła skorupka!

Pani Kornelia zaczęła wachać flakonik.

— Widzi kuzyn, jaki to syn niewdzięczny — jęknęła żałośnie do Waldemara.

— Wiktor będzie wdzięczniejszy, kiedy mamę z torbami puści.

— Zuchwały jesteście! — rzekł ordynat.

— Zobaczymy! Ja już jestem wyrzucony, w szalupie ratunkowej; ale Wiktor płynie całą parą.

Pani Kornelia, prócz gorzkich wymówek, zdobyła się jednak i na lepszą broń względem syna. W potoku czczych żalów i urągów, które aż ordynat musiał łagodzić, ironiczna dama rzekła z emfazą, ale trafnie:

— Więc teraz Bodzio zostanie pasożytem Głębowicz: prawda?... Będzie puszczał pieniądze ordynata i bąki zbijał. *Voilà!* To jest *par excellence*³⁴ odpowiednie stanowisko dla Michorowskiego z Czerczyna.

Ordynat, dotknięty niemile, ściągnął brwi, lecz zanim przemówił, zerwał się Bohdan czerwony, wściekły, i rzucił przez zęby:

— Nie Michorowski z Czerczyna, ale Michorowski hołysz, z bruku nicejskiego, na który cisnęły mnie... hojne paluszki mamy i chytra łapa Wiktora. Widzieliście, że ginę, ale gdy umyślnie zażądałem nie setek, lecz nawet tysięcy rubli, toście mi je przysyłali bez protestu. To spisek! Chcieliście, bym wybrał swoje i bodaj zdechł! Reszta was nie obchodziła. Był „Vittoro”³⁵ uwolnił się od lokatora na czerczyńskiej hipotecy. I zdychałem! Długi mnie napierały. Pożyczałem 200 rubli, wydając weksel na 400 i więcej. Zaczęłem grać... Lałem w błoto! A ten, kto mnie wyratował, zbiera owoce, waszą ręką posiane. Może mnie wyrzucić za próg, ale jego nie zrujnuję, bo mam dla niego szacunek. Dla was: nie! Pasożytem nie będę.

Zakręcił się na pięcie, wyszedł i trzasnął drzwiami.

Pani Kornelia zemdląła, potem dostała spazmów oraz serdecznego płaczu i tego samego dnia odjechała z Głębowicz.

³³*rien du tout* (fr.) — nic, zupełnie nic, zero; tu: nicpoń. [przypis edytorski]

³⁴*par excellence* (fr.) — w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]

³⁵*Vittoro* (z wł. *Vittorio*) — Wiktor. [przypis edytorski]

Bodzio natychmiast ożywił się. Wieczorem miał długą rozmowę z ordynatem, na drugi dzień był przedstawiony administracji głębowickiej jako nowy praktykant. Cieszył się ze swej godności, lecz długo targował z ordynatem o pensję, dowodząc, że powinien dostać więcej pieniędzy, choćby dlatego, że... wyrzekł się bandytyzmu.

XXI

Uczucia, które Lucia żywiła dla ordynata, nie osłabły przez czas rozstania z nim; raczej się wzmogły. Dziewczyna przebywała w Słodkowcach długie, więzienne godziny utarczek wewnętrznych. Jej młoda dusza grzęzła w wonnym kwieciu marzeń, lecz nie upijała się ich czarem, widząc zawsze na dnie smutną prawdę. Jej tęsknota za szczęściem szła przez moczary, drżąc do podchwycenia błędnego ogniska chwilowej utopii. I marła pod siłą rzeczywistości, co niby wstający dzień, zabijała ułudny ogień wątpliwej nadziei.

Lucia troskliwie pielęgnowała dziadka, uczyła dzieci w szkole z zapalem, ale czczość bezmierną odczuwała w przykry sposób. Bywały dni, w których tylko ogromną siłą woli zmuszała się do codziennych swych zajęć. Do szkoły wówczas nie chodziła. Potrafiła przebyć kilka godzin wciśnięta w kąć szerokiej otomany, z głową spoczywającą na dłoni.

Pan Maciej widział to, rozumiał i bolał skrycie, ale milczał.

A w duszy biednej Luci myśli, uczucia łamały się w gniotące złomy; rozpylały w proch lub znowu, pobudzone jakimś wrażeniem, skupiały się i rosły w przepotężny zew, gorejący żywym ogniem umiłowania, spotęgowanego egzaltacją.

Częste przyjazdy Waldemara były dla niej zawsze nowym pokładem w nawale wrażeń, złym lub dobrym. Gdy on przemawiał do niej spokojnie, gdy sercem odczuwała w nim łagodność dla siebie, Lucia płynęła na miękkich obłokach, otoczona ciszą cudowną. Dokoła widziała jasność — i siała jasność. Gdy Waldemar był roztargniony, niespokojny, Lucia miała wrażenie, że biegnie w borze gęstym, oślepla z trwogi i nie wie, czy oślepia ją blask słońca brutalnie palący, czy straszna ciemność nieprzebitej wzrokiem ulicy. Uderzała się o pnie drzew, szukając czegoś, co ją straszyciło i ciągnęło zarazem.

Była jakby igłą magnesową, kierującą swój cień śladem błysków oczu Waldemara. Jej niechęć do matki wzrosła, czuła się w ogóle skłonną do nienawiści.

Umiała trzymać na wodzy swe nieprzychylnne uczucia, ale czasem wybuchały bezwolnie. Czasem nawet chwilowym przedmiotem ich był Waldemar. Zaciskała wtedy zęby, gdy on ją całował na pożegnanie lub witając. Gdy przyjeżdżał, nie wychodziła do niego. Kaprysy te bolały ją potem, bolały nawet w czasie trwania, pomimo to nie niweczyła ich. Brakło jej sił.

Bohdana Michorowskiego przywitała jak intruza, niechętnie od pierwszego spotkania. Drażniło ją niewymowne zajęcie się nim Waldemara i nie ukrywała tego; gdy ją Waldemar pytał o zdanie co do Bohdana, odrzekła krótko:

— To człowiek bez wartości.

Ordynat był innego zdania.

— Mylisz się, Luciu! — odrzekł sucho.

Więcej o Bohdanie nigdy nie rozmawiali.

Bodzio nie robił sobie nic z niechęci kuzynki, jakkolwiek niechęć tę odczuwał.

Do Słodkowic jeździł rzadko, bo i pan Maciej patrzył na niego krzywo.

Bodzio nazwał Słodkowce zakonem trapistów³⁶, ale Lucię bardzo lubił, tylko się jej zawsze sprzeciwiał, robiąc z siebie przy niej umyślnie monstrum. Prędko odkrył tajne uczucia jej dla Waldemara i zrozumiał, że nie mają wzajemności. Chcąc ją z tego wyratować, opowiadał niestworzone bajki o swej miłości beznadziejnej do jakiejś Ludgardy, księżniczki czeskiej, która go nie kocha, a za którą on szaleje.

— I widzi kuzynka: pomimo to jestem wesół i żyję. Cóż mam robić? Trudno kogoś zmuszać do kochania. A gdzież ambicja? Ja będę marzył o ukochanej, ukochana zaś gwizdże na mnie. To dobre sobie! Najlepiej w takich razach mówić: „pal cię, lichu”; to przynosi ulgę.

³⁶*trapiści* — odłam zakonu cystersów o surowej regule, zakładającej pełną izolację od świata, klauzulę milczenia, posty, oddanie się modlitwie oraz pracy fizycznej, a także m.in. pieczołowitą dbałość o higienę i zalecenia zdrowotne; nazwę wziął zakon trapistów od średniowiecznego opactwa Notre-Dame de la Trappe. [przypis edytorski]

Lucia zrozumiała, do czego Bodzio zmierza, i to ją gnębiło.

Bohdan dobrowolnie przyjął rolę pośrednika pomiędzy Lucią i ordynatem. Ją chciał wyleczyć z nieszczęśliwej miłości, Waldemarowi znów wmawiał stale wielkie zalety Luci, opiewał jej dobroć i urodę. I cieszył się myślą naiwną, że z czasem tę parę skojarzy. Odkrył raz swe zamiary panu Maciejowi, lecz źle trafił; dostał ostrą odprawę.

Pan Maciej, przerażony odkryciem Bohdana, zabronił mu stanowczo mieszania się do obopólnych uczuć Waldemara i Luci.

— Dlaczego?... Skoro byliby ze sobą szczęśliwi, to czy nie należy im pomóc? — oburzył się Bodzio.

Pan Maciej przeżuwał starczymi szczękami, chcąc się uspokoić. Zamiary Bohdana były jego najtajniejszym życzeniem. Pragnął z duszy całej, aby Waldemar pokochał Lucię i wziął ją za żonę. Lecz starzec nie śmiał nawet o tym myśleć. Odważne projekty Bodzia zaskoczyły starca niespodziewanie. Nie wiedział, co odpowiedzieć na słuszną uwagę chłopca. Rzekł tylko:

— Oni się pobrać nie mogą, bo wszak są blisko spokrewnieni.

— Ee! To nie może być powodem! A papież od czego?! Ordynat powiedziałby, że z inną się nie ożeni, że ordynacja wobec tego upadnie, i... zrobione — zawołał Bodzio, zadowolony ze swej polityki.

Takie postawienie kwestii przypadło do gustu staremu Michorowskiemu. Milczał, ale ciągle snuł swe ciche marzenia i zdwoił baczność względem wnuków.

Bohdan nie poruszał już tej sprawy wobec pana Macieja, ograniczał się na delikatnym podsuwaniu jej Waldemarowi. Lecz wkrótce i tu zbankrutował; pewnego bowiem dnia, po powrocie ze Słodkowic, zaczął Bodzio po swojemu ubolewać nad samotnością Waldemara, potem przeskoczył na zachwyty nad Lucią i w końcu zniecierpliwiony obojętnością ordynata, rzekł porywczo:

— Bo wuj to chyba jest ślepy?! Czyż można nie zauważyć, że ta biedna Lucia kocha się w wuju jak szalona! To nawet wstyd, to nie po męsku!

— Proszę cię, abys swoje uwagi zachował dla siebie — rzekł Waldemar bezdźwięcznie.

Byli w gabinecie ordynata. Bohdan chodził po pokoju, ordynat siedział przy biurku.

Młodzieniec umilkł zawstydzony, lecz nagle spojrzawszy na Waldemara dostrzegł, że ten ma utkwiony wzrok w portrecie zmarłej narzeczonej, wiszącym naprzeciw jego fotela.

Bodzio nigdy się nie namyślał, więc i teraz podszedł gwałtownie do Waldemara i zawołał z niesłychaną brawurą, wskazując na portret:

— Radzę wujowi puścić w trąbę całą tę Stefcię, tak jak ja swoją Annę w Nicei, i ożenić się z Lucią. To będzie najmądrzejsze!

Ordynat zerwał się blady, straszny. Wyciągnął rękę w stronę drzwi z głuchym okrzykiem.

— Wyjdź!... Natychmiast!

Bohdan stał oniemiały. Na twarzy jego czerwonosc i bladosc spychaly się z sobą. Wstyd i obraza zaczęły drzeć na wargach. Postąpił krok naprzód, popędlliwe słowa już, już miały bryznąć, ale ordynat powtórzył dobitnie.

— Wyjdź!

Chłopak miał usta zacięte, twarz z szarej tektury. Zawrócił i prędko wybiegł z pokoju.

Ordynat, wyczerpany, usiadł, chowając mokre czoło w trzęsących się dłoniach. Po jakimś czasie usłyszał głośny galop konia na podjeździe zamku. Wstał i spojrzął w okno.

W bramie, pod arkadami, dostrzegł znikającą sylwetkę Bohdana, pędzącego cwałem na wściekłym ogierze arabskim.

Jeszcze się smarkacz zabije!

Ordynat skoczył do telefonu i połączył się ze stajnią.

Odezwał się koniuszy Badowicz. Ordynat wydał rozkaz:

— Niech natychmiast masztalerz³⁷ Józef na najlepszym koniu jedzie w ślady panicza i z daleka czuwa nad nim.

³⁷masztalerz — osoba pracująca w stadninie, opiekująca się końmi. [przypis edytorski]

XXII

Od tego czasu Bohdan zaniechał swatów. Ale zaraz po powrocie ze swojej szalonej wycieczki konnej był już z ordynatem, jak gdyby nigdy nic, na najlepszej stopie. Waldemar nie mógł zbyt długo na niego się gniewać. Zawsze Bohdan każdy swój wybryk postawił w takim świetle, że trzeba było albo się śmiać, albo od razu zapomnieć.

Ordynat zrzęcznie normował wyskoki kuzyna, lecz i największy takt nie na wiele się przydał wobec jego śliskiej natury.

Młodszy Michorowski musiał pracować, jak każdy z praktykantów głębowickich. Umiał sobie jednak poradzić. Gdy go postawiono na polu do pilnowania robotników, stał przykładowo, ale z głową nad książką, którą woził z sobą. Często także rysował z natury pełne kształty wieśniaczek i potem pokazywał swe szkice ordynatowi. Gdy ten zwracał mu uwagę, że będąc zajęty, nie może pilnować robót, Bohdan odpowiadał lakonicznie:

— O!! Powinno im to wystarczyć, że stoję nad nimi: jeszcze mam uważać... Przecie ekonomem nigdy nie będę.

Rolnictwo nudziło go, natomiast zajmowały fabryki i wszelkie inne instytucje majątkowe. Do lasów wymykał się ukradkiem, polując lub marząc wśród największych gąszczy. Nad ściętym drzewem potrafił płakać, ale psa, który się na niego rzucił zasztyletował z zimną krwią. Potem sztylet cisnął w ogień i nie mógł domyć rąk, bo ciągle widział na nich krew.

Do zwierzyny strzelał zawzięcie, lecz tylko czworonożnej; za nic w świecie nie zabiłby ptaka. Mówił, że to stworzenie stojące wyżej od człowieka, bo ma bezwzględność swobodę.

Kiedy raz zobaczył hrabinę Ritę Trestkową, strzelającą do dzikiego gołębia, od tej pory przestał ją całować w rękę.

Był prędki i w gniewie gwałtowny. Mściwości nie znał.

Za jakieś małe przewinienie wychłostał raz szpicrutą chłopca stajennego aż do krwi. Gdy jednak usłyszał jego jęk, wycalował go jak brata i oddał mu całą swą pensję miesięczną i złoty zegarek.

O sprawach erotycznych również nie zapominał. Co tydzień zmieniał ideały, Kaśki, Marysie, Kostki — były przez niego opiewane i rysowane w różnych pozach. Zachowywał zawsze estetykę w tych przelotnych słabostkach tak, że ordynat, czujny i pod tym względem, nie mógł mu wyrazić nic zarzucić. Wszędzie go było pełno. Gdy pod koniec lata przyjechał do Głębowicz hrabia Herski, nie poznał na razie Bohdana. Dawny nicejski hulaka i gracz zmienił się powierzchownie na lepsze. Trochę zmężniał i nabrał cery. Ruchy miał spokojniejsze, w twarzy wyraz wesoły, junacki, ale jednak inny niż dawniej.

— Cóż ordynat zrobi z tym narwańcem? — pytał hrabia Dominik.

— Wykieruję go na porządnego Michorowskiego — z uśmiechem odrzekł Waldemar.

— To będzie człowiek, choć trudny do prowadzenia, jak młody żrebiec arabski.

— Ordynat go okielzna.

— Nie, okielznać nie chce. Wprowadzę go tylko na właściwą drogę. Sam polec!

— Na łeb, na szyję: i skręci kark! — dodał Herbski.

Waldemar zasepił się.

— To będzie człowiek — powtórzył w zamysleniu.

— Kimże on chce być?...

— Administratorem. Do tego ma spryt. Zdolności do matematyki bajeczne, energia, rzutkość, pewna ścisłość wykonawcza, słowem: materiał jest.

— Ale musi nad sobą pracować, żeby się wyrobić.

Herbski kręcił głową powątpiewająco.

— Zawsze to już będzie ni to, ni owo — rzekł apatycznie. — Nie pan i nie pracownik. Na pana nie posiada środków, a do pracy nie stworzony.

— Człowiek stworzony jest do wszystkiego, jeśli musi — odparł ordynat. Wykształcę go u siebie i dam mu posadę u obcych. Niech zarabia na chleb, bo go inaczej nie będzie miał.

— Ha, chyba, że tak! Bo Głębowicze nie zrobią z niego pracownika. Za wielki to komfort. Nawet ty, panie ordynacie, nie wykorzeniłbyś z niego żyłki wielkopańskiej. Przepych tutejszy zanadto gra na nerwach. Bohdan przecie wie, kim jest właściwie i kim mógłby być.

Praca

Ordynat zmienił temat rozmowy. Czuł tylko, że Bohdan jest celem dla niego i że w pustce obecnej swego życia znalazł coś, co go jeszcze porywa. „Bodzio” zjednywał go sobie coraz więcej.

„To będzie człowiek” — myślał ordynat uparcie.

XXIII

Pewnego wieczoru ordynat, powróciwszy ze Słodkowic, zastał u siebie na biurku list od Bohdana, zawierający tylko te słowa:

„Proszę mnie nie szukać. Wróć”.

Waldemar spytał lokaja:

— Czy dawno panicz wyjechał?

— Przed dwoma godzinami, konno na Ramzesie.

Ordynat pomyślał:

„Znowu na tym wściekłym koniu” — lecz nic nie powiedział:

Nadeszła jasna, księżycowa noc jesienna.

Z wilgotnej ziemi wzniosły się szarobiałe tumany oparów i ciężkie szły w górę, rozkładając się pojedynczymi kłębami po mokrych trawach, okrytych, niby manną, gęstą polyskliwą rosą. Liczne oddechy wydawane przez odpoczywającą po rodzeniu glebę, pełzły chyłkiem wskroś pól, rozmazywały na płaszczyznach, przewalały się zbitym tłumem. Na mokradłach tworzyły istny bór szarawej gęstwy, ponad którym stał jeszcze wysoką warstwą pył mglisty, przeświecony księżycem, niby opalowy dym kadzideł ofiarnych w świątyni z kryształu i srebra.

Jesień, Melancholia

Silny mur leśny zginął pod brzemieniem ciężkich oparów, zanurzył się w nich, jak niedźwiedz kudłaty w kurzawie śnieżnej. Mgły lizały wielkie pnie drzew, chłonąc je w tłu-
stą swą ruń³⁸; piły się do gałęzi; zalewały grube konary. Cały świat zda się, oddychał olbrzymimi płucami i zionął parę, oczadzając nią przestwór. Wielkie moty białe kłębiły się ociężale.

Wlokła się szlakiem mgieł tęsknica dziwna, niewyraźna, miesiącem utkana mara, wy-
łęgła z powodzi dymów ziemnych a pełznąca w ślad za ich cielskimi, chwilowo tłoczona
brzemieniem, chwilowo lekka jak powiew, jedynie zawsze jakimś smętkiem opita. Szła ta
melancholia w białych obłokach zatopionych pól, szła wśród milczącego w śnie oparnym
boru, szła, mocarna swą nie wolną siłą, co ją rodziła z mgieł i mgłami w świat puszczała.

Może ta jaźń tęsknoty przedziwnej pochylała włosy traw, że wyglądały jak czesane
szczotką, jak płat osobliwej tkaniny dzierganej w brylantowe rzuty. Może ta dusza tę-
sknoty niosła się bezdomna i szukając oparcia, tuliła się do łona drzew, obejmując je
miłością, że stały ciche, uroczyste, jakby nie chcąc szmerem jej spłoszyć.

I może do gwiazd szła ta tęsknota przeogromna, bo jarzyły się cudzym, migotliwym
żarem klejnotów i sypały na ziemię promienną dobroć źrenic swych uroczych.

Czy w oparach tęsknota zostawała spojona z nimi nierozłącznie, bo coraz śmieiej
burzyły się i niosły swe chmury ponad wszystkie twory ziemi?

Czy duszy ludzkiej tęsknota szukała, by ją ukołysać monotonną i słodką ciszą, która
także ma głos przepiękny, gdy się ton jej łagodny uchwyci pobożnie?... W harmonijnych
melodiach ciszy wpływała tęsknica pól zadymionych do młodej duszy Bohdana. Omotała
go sobą i harfą swą nastroiła w śpiew łagodny rozchwianych białych piór.

Snuł do duszy perły rozpylonego przed nim ogromu marzeń. Smutek głęboki lał mu
się w serce, on zaś czerpał go z tych tumanisk siwych. I zdawało mu się, że poza nimi
jest dla niego albo przepaść bez ratunku, albo żmudna szarzyzna, płaska, bezpieczna, lecz
odrażająca.

Bohdan nie znał jej. Świadomość, że leży przed nim, przejmowała go wstrętem. Nie
piął mu się po cudach życia lekką stopą, ale — cizmy ciężkie nałożwszy — brnąć po tej
szarzyźnie...

Brnąć — i być wdzięcznym, że ona mu jeno pozostała.

I zastosować się biernie do jej wymagań, swoje zaś własne, z którymi się żyło i które
się ukochało, cisnąć precz za siebie, by wspomnienia, ożywając, nie oślepiły.

Życie jako wędrówka,
Pokora

³⁸ruń — nisko rosnąca roślinność. [przypis edytorski]

Duszę swą zwęzić, by zmieściła się w tych małych szraneczkach, by nie wyfruwała w rozległe uroczyska dawnego bytowania. Ducha całego trzeba zdusić w piersi, bo wszelkie wzloty mogą dłań być teraz zabójcze.

Wzloty do istnienia, co już baśnią się staje.

Wzloty do snów tęczowych, co powrotu nie mają i są już mitem.

Iść trzeba, ale w ciżmach gniotących swą ciasnotą i prostotą.

I swą pospolitością.

Iść bez oglądania się, ze wzrokiem wbitym w szarą ziemię.

Bohdan się wzdrygnął. Koń pod nim zadrżał, jakby mrozem przejęty. Młodzieniec wyciągnął ramiona do gęstych obłoków spadłych na ziemię i modlił się do nich:

— ...Spowiedźcie mnie w siebie, wy, nieuchwytno, abym nie widział istnienia swego...

Abym się rozplynął w bieli waszych pian i jak one snił przy księżycu...

I abym doliny swej mógł nie widzieć, a jeśli nie gwiazdy są dla mnie ostoją, to niech ziemia nie będzie nią...

Popłynę z wami, rozwiany, senny i kąpać się będę w nurtach waszych, wy zaś ukojenie mi dacie...

I wy mnie przeniesiecie...

Wtem Ramzes szarpnął się gwałtownie, stanął dęba. Bohdan chwycił cugle, ściągnął, lecz koń ruszył z kopyta. Prawie spod nóg wypadł mu duży zajac. Pomknął chyżo, zaszył się w mgłę. Wystraszony koń biegł cwałem.

Bohdan nie był wprawnym jeźdźcem, czuł, że zleci. Objął ramionami szyję araba i oplątany w zdradzieckich zwojach gnał jak duch przestrzeni.

Biały, duży koń niósł na sobie jak lupinę szczupłą postać Bohdana. Zaorywali się razem w kłęby mgliste i świecili w aluminiowym blasku księżyca. Tętent walił przed nimi jak głuche warczenie bębna.

Bohdan już oswoił się z biegiem Ramzesa. Przytulony do niego, upijał się tą nocą tajemniczą i niezwykłością widoków. Zaczął kierować koniem. Gdzie dojrzał gęstszy zwal mgły, tam zwracał wierzchowca i pędził na przepadłe; z rozkoszą zanurzał się w wilgotnej, dusznej atmosferze chmurnej, bódł opary piersią araba, lecz ich nie rozpraszał. Roztwierały się przed nim i zamykały natychmiast. Ginął w nich, zatracił się. I pił, pił chciwie samowiedzę swobody. Niosła go ona górnio, niby skrzydła sokole.

Utopił się w jej mirażu³⁹.

W pewnym miejscu zaczerniał przed koniem duży rów pełen wody. Woda była siwa, drobne kłaczkę mgły wisiały nad nią.

Ramzes przesadził rów z łatwością.

Rozległ się okrzyk.

Bohdan spadł.

Usłyszał głośny huk kopyt spłoszonego konia i zanim podniósł się z mokrego urwiska, już Ramzesa nie dojrzał.

Pozostał sam w białej chmurze mgły. Poczul ból lewego ramienia, na które upadł, w głowie szum nieznośny, ale zresztą czuł się dobrze. Był podniecony. Miał, czego pragnął: zupełną pustkę i samotność.

Wolno posunął się wzdłuż kanału, idąc w stronę, skąd ciemny bór mamrotał szmerem ledwo wyczuwalnym.

Bohdan nie myślał o ucieczce konia, o nieznanym drodze przed sobą, tylko wciąż jedno pytanie kładło mu się w mózgu grubą warstwą:

— Czy to już konieczność! Czy wytrwam?...

I pytania te bolały go niewymownie.

Przyszła nań chwila jasnowidzenia. Dostrzegł ponurą dal swego życia, bez horyzontów już, zamkniętego w kresach musu. Żalność dokuczała mu jak pragnienie, kiedy człowiek wyrwać tego z siebie nie może, a ugasić nie ma czym. Bezmierna trwoga nadlatywała do duszy Bohdana, krzesząc w niej strach. Widział, że jest zgubiony dla świata, w którym żył, że jest zrujnowany doszczętnie. Nigdy mu się to tak jasno nie przedstawiało, jak właśnie teraz. Życie zrzuciło go ze swych barków tak samo brutalnie, jak Ramzes, zostawiając go na lasce sił własnych i zdolności orientowania się. Znalazł oparcie, znalazł

³⁹miraż — złudne nadzieje. [przypis edytorski]

opiekę. Ordynat przygarzał go, rozbitka bezdomnego, ale Głębowicze były tylko progiem do nowego życia. Z pięknych, mozaikowych sal istnienia dotychczasowego wstąpił na przepyszny próg, już nie własny i ostatni. Poza nim przybytek żmudnej pracy na kawałek chleba.

Powinien zapomnieć o tym, co mógł mieć nadal, i o tym, co miał. Wyrzec się znaczenia, wyrzec świętości. Iść w świat szeroki, który go przytuli, lecz kosztem wielkich ofiar, kosztem obowiązku, kosztem żalu niezgłębionego.

Iść między ludzi nie jak Michorowski arystokrata, rodowy pan, magnat i bogacz, lecz jako Michorowski pracownik za pieniądze, Michorowski podwładny, zależny od chlebowodawców, biedny i z obowiązkową torbą mozołu na wiotkich, pańskich plecach. Nie wolno myśleć o ulubionych podróżach, o bogactwie świata, o życiu błyskotliwym, tryskającym w złote rakiety upojeń. Nie wolno marzyć, fantazjować o uludnych krainach cudów, bo brak do tego pospolitej, nędznej spójni, która jednak z tym światem wysnionym jest spójnią — pieniądze. Utracił wszystkie, jakie miał, lekceważąc je. Uważał pieniądź za rzecz niską, niegodną myśli człowieczej, za służalca, który jedynie otwiera drzwi do wszelkich przybytków świata. Można nim pogardzać — byle spełniał swoje zadanie, byle był w dłoni narzędziem do kierowania wielkim rydwanem fantazji. Kpi się z tej potęgi czynu, uważając ją za mierność.

A oto zemściła się. Zabity — smok pieniądź — szczyrzy teraz kły i niemilosierne dziko rechocze z radości. Ten chichot okropny Bohdan słyszy dokoła siebie, i wżera mu się on do mózgu niezmiernym wrzaskiem.

— Praca, praca, praca!

Ona mu pozostała — smutna, żałobna, jedyna. Wstrętny dlań padalec — pieniądź — wyciekł mu z delikatnych dłoni i ugryzł zemstą nasyconą.

Pierwszy ból Bohdan poczuł w Kasynie, gdy krupier zabrał mu ostatnie jego pieniądze. Odczuł wówczas jakby pchnięcie, okrutną ręką zadane w piersi, ale nie zgłębił doniosłości i całej przepastnej mocy tej chwili. Cios swój obrócił w śmiech, brawurą się okrył.

Teraz dopiero słyszy zabójczy głos ironii, teraz palą go zadane rany.

I przyszłość swą widzi jasno.

Ale nie zginie. Nie zdławi go poczwara biedy, nie spodli. Żebrać u ordynata nie będzie. Co dostanie, na to zapracuje. Życie weźmie za bary i zwiąże się z nim.

Może zwalczy tę hydrę brzemiennej nędzą przyszłości. Zrobi ją znośną, aby nie miała zbyt ostrych pazurów. Lecz do szorstkości bytu przyzwyczać się trzeba.

Bohdan szedł w rzednącej mgłę i łowił swe myśli w jedną sieć uwypuklonej w jego wyobraźni konieczności. Niesforne, wymykały się przez liczne oka, lecąc w przestworza.

Wszedł w bór. Szum wyniosłych czubów zawiał nad nim, jakby pomruk tej szorstkiej istotności, która ogarniała go despotycznie, i zarazem jakby żalosne pożegnanie uciekających przed nim rozkoszy życia oraz groźny, acz stłumiony ryk szyderczej potęgi złota. Pominał ją z naigraniem, lecz teraz jest jej odwet.

Michorowski, zmoczony przez opary i rosę, zziębnięty na ciele i duszy, potknął się o korzeń i runął pod sosnę. Nie wstawał, przylgnął do mchów wilgotnych, ramionami objął chropowaty pień drzewa i zapłakał. Wyrwał mu się z piersi płacz, może w niej nieznany jeszcze, bo jakiś dziki, okrutnie rozdzierający duszę; płacz za utraconą panoramą świetlnej egzystencji; płacz witający ruiny — po przepychu.

Rozszlochany głos młodzieńca zlał się z harmonią szumu leśnego, lecz był jego dysonansem. A mgły łagodne, niknąc z pól, już bardziej nasiąknięte blaskiem nieba, pęzły do boru i tu, niby puchową zasłoną, otulały wątłe ciało Bohdana, którym wstrząsnął spazm serdeczny.

*

W parę godzin po północy do gabinetu ordynata w Głębowiczach cicho wsunął się strzelec faworyt. Szedł do biurka krokiem strwożonym.

— Co tam? — spytał ordynat.

— Ramzes przygnał sam, bardzo zmęczony i schlastany błotem — zameldował strzelec szeptem.

Długa chwila ciszy.

- Skąd przybiegl?
— Nie wiadomo. Znaleźli konia na dziedzińcu przed stajnią.
— To dobrze. Możesz iść.

Ordynat czułwał do rana. Zrywał się czasem nagle, jakby chcąc bieć na ratunek i znowu siadał.

- Po co, i dokąd?
Przejmował go tylko lekki dreszcz.

XXIV

Dzień już był jasny.

Bohdan Michorowski, wydobywszy się z boru, szedł polami, grzęznąć w rosie, w strone, gdzie bielili się olbrzymi wał oparów, skłębionych jak morskie bałwany. Mgły wygnane przez dzień, skupiły się wszystkie nad rzeką, przetaczały strome runa potężne nad korytem sinej wody, unicestwiały strome brzegi.

Słońce wzeszło złociste, wielkie. Jasną źrenicą obejrzało okolice. Całym zastępem błasków spadło na fale oparone, wbiło się w ich welnę, lecz rozpędzić nie zdołało. W słońcu mgły były jeszcze dumniejsze, rosły w górę pyszne i piękne, jak zbite w kupę niezliczone stada łabędzi. Bohdan przypatrywał się im w zachwycie. Szedł brzegiem rzeki, widząc pod stopami spokojną, ciemną toń. Wydawała się dziwnie cichą i niewinną, wobec tej potęgi twórczej nad sobą, wydanej z własnej piersi. Idąc, Bohdan był już wesoły i pełen otuchy. Nocne majaki, żale i rozpacz znikły jak mgły nad polami rozpędzone słońcem. Czuł w sobie młodość oraz siłę jakąś niezwykłą i rodzącą chęć do życia, do używania. Pesymizm odleciał, nadzieja kwitła bujnie. Szeroka fantazja rozpierała mu duszę, słyszał łomot jej skrzydeł. Pierzchył czarne myśli o szarych płaszczyznach, o ciężkich obowiązkach. Pierzchył jak mara. Krzepił się pewnością, że jest Michorowskim, więc nie był kim, ale panem; że zginąć nie może we wszechświecie, że nędza i niedola zgnębić go nie potrafią, bo praw do niego nie mają. Stanie się coś, co go wyratuje. Będzie pracował. Albo to takie straszne! Optymizm rósł.

Praca, tak okropnie przedstawiająca się nocą w wyobraźni Bohdana, teraz przeistoczyła się w wizję wesołą, zupełnie zwyczajną, której podlegają wszyscy ludzie bez strachu i przerażenia.

Praca

„Dla mnie — marzył młodzieniec — będzie ona narzędziem powrotu do świetności istnienia. Powróci mi utracony majątek, za jej przyczyną stanę się znowu bogaty i będę tym, czym i teraz jestem: wielkim panem”.

Bohdan dumny był ze swej siły. Wiedział z całą pewnością, że nie zginie. Będzie brał od ordynata pensję, wszystkie zaś spłaty długów odda mu z czasem, gdy już odzyska majątek. Rozszalała fantazja nasuwała przed oczy młodzieńca wschodzące jutrzeńki. Myślami pędził naprzód i chwycił w lot idee coraz nowe. Oto Wiktor przehuła Czerczyn, matka znajdzie się w biedzie, a wtedy on, Bodzio, przez nich odtrącony, stanie się ich wybawicielem. Spłaci matkę i brata, sam obejmie dobra czerczyńskie, zostanie takim jak wuj uznanym obywatelem i milionerem.

Oczy Michorowskiego gorzały gorączką majaczeń, był tak podniecony, że prawie już się czuł na szczycie swych rojeń.

Drogę zagroził mu wysoki płot zwierzyniecki. Bodzio stanął. Nie wiedział, co robić. O przeskoczeniu płotu nie było mowy. Szczelnie pozbijane bierwiona⁴⁰ świeciły ścianą gładką jak cynkowany mur.

Co tu robić?...

Bohdan zastanowił się.

Obchodzić dokoła, aż do bramy na poprzecznej stronie czworoboku, nie chciał, bo było za daleko, i zresztą brama o tej porze zamknięta. Płot kończył się w rzece, wsunięty w nią głęboko, łodzie zaś dopiero na przystani. Bodzio nie miał ani gwizdka, ani trąbki, żeby wezwać strzelca, który zawsze dyżurował w domku strażniczym w zwierzyncu. Młodzieniec krzyknął raz i drugi, lecz jego głos wsiąkł w opary rzeczne i wydał się prawie dziecinny.

⁴⁰bierwiono — pień; kawałek drewna przeznaczony do budowy lub na opał. [przypis edytorski]

Gniew i niecierpliwość ogarnęły Bohdana. Słyszał dochodzące go zza parkanu porykiwanie jeleni i przykre, ostre krzyki łosi. Porwał go gniew niesłychany. Zaczął walić pięściami i wołał, ile starczyło głosu w szczupłych piersiach.

— Hej tam! Służba! nie słyszycie, że ja tu jestem?! He, wy tam!

Ale nikt nie odpowiadał. Tylko rzeka bełkotała, bijąc o burty płotu, i jelenie porykiwały przeciągle.

Bodzio wściekał się. Chodził to w prawo, to w lewo, jak lis w studni, szukając miejsca czy szpary, by móc nogę zaczepić i wspiąć się na płot. Przyszła mu myśl, aby wejść w wodę i brnąć aż do węgła parkanu. Lecz przypomniał sobie, że brzeg jest głęboki, zwierzyńiec zaś od strony wody ma dość wysoką kratę żelazną, ostro zakończoną.

Wtedy zrozumiał, że musi iść parę wiorst, aż do bramy. Nie chciał jednak ustąpić. Ten płot wydał mu się nagle nędzą jego życia; tak bardzo bał się jej w nocy — i oto stanęła przed nim, niezwykczona, urągliwa. Głucha złość porwała Michorowskiego w swój wir. Zaczął szukać w kieszeniach noża składanego. Znalazł i twarz mu się rozjaśniła. Otóż postawi na swoim, zmoże ten wstrętny płot, nie pozwoli mu się rozpanoszyć.

Wyłupywał nożem w bierwionach, ale szło mu ciężko, drzewo twarde z trudnością poddawało się ciosom małego ostrza. Jednak drobne drzazgi padały na ziemię, dziura w płocie powiększała się.

Bohdan pracował z zapalem. Pot zrosił mu czoło i policzki, ręce mdlały, ale on nie ustawał w zawziętej robocie. Oddychał ciężko ze zmęczenia, lecz bódł bierwiona ostrzem nożyka, jakby tu chodziło o śmierć lub życie. Zziajany, rzucił wreszcie nóż na ziemię i zaklął:

„Niech to diabli wezmą! Nie będę więcej ciął; może kto się zjawi” — pomyślał i upadł na trawę.

Ale wściekłość znowu go opanowała. Pragnienie zwalczenia trudności przemogło. Zaczął na nowo dźgać nożem bierwiona. Po upływie paru godzin, gdy słońce już wzbilo się wysoko, Bohdan wyprostował plecy z triumfalnym uśmieszkiem.

W płocie świeciło kilka jasnych ran, wydłubanych jedna nad drugą, niby schody. Można w nich śmiało postawić palce stóp.

Bohdan zadowolony patrzył na swe dzieło, lecz widział, że jeszcze nieskończone. Chwilę odpoczywał. Usiadł i przyglądał się rzece.

Płynęła już czysta, szafirowa, oswobodzona z oparów, cała zalana przezroczystym, powietrznym przestworzem.

Obfite drzewa parku na drugim brzegu rzuciły ogromny cień na wodę. Tłukły się drobne falki, załamywały w spiętrzone pierścienie, szklily łuską przezzystą.

Bohdan biegł wzrokiem za białymi piórami mew, ścigał pływające kurki wodne i rybitwy. W pewnym zakręcie odnogi rzecznej ujrzął wspaniałego perkoza o długiej szyi, z peruką na głowie. Wpatrzył się w niego chciwie, miłośnie, pragnąc w duszy, aby ptak podpłynął bliżej. Chciał go dokładnie obejrzeć.

Senność owiała mu zmęczoną głowę, członki bezwładniały. Usuwał się wolno na murawę, mrużąc ciężkie powieki. Już miał usnąć, gdy żądza czynu owładnęła nim znowu. Zerwał się, przeciągnął rozkosznie, leniwie, ziewnął szeroko od ucha do ucha.

— Aaaa! Do licha! Wołałbym teraz spać.

Ujrzał w mętным marzeniu swój pokój sypialny, przyćmiony, i wygodne łóżko, ale to go tylko więcej otrzeźwiło.

Skoczył do płotu, próbując nań się wspiąć. Zaczepił nogą o zrąb najniższy, uniósł w górę ciężar własnego ciała, ale ręce ślizgały się po gładkim drzewie.

Spojrzał na szczyt.

Niepodobieństwo!

Po krótkim namyśle zerwał z siebie sukieny kubrak, zdjął marynarkę, kamizelkę i szelki. Kubrak nałożył na samą koszulę, marynarkę związał jednym rękawem z kamizelką. Gdy zaciągnął mocny supeł, wówczas skręcił ubranie w sznur, z szelek zrobił pętlę szeroką, zaczepił się o wydłubane zręby ręką i gwałtownie jął zarzucać pętlę na wystający z za parkanu gruby sęk drzewa. Zmęczył się bez skutku, spotniał, ale nie ustawał. Klął przez zęby; oczy gorzały mu dzikością; miotał się jak szalony. Spadał na ziemię, znowu lał na płot i ogniście machał pętlą na oślep, niemal z zajądłością. Nareszcie improwizowany arkan, trafnie rzucony, wpadł na sęk, zahaczył się głęboko i wyrwał się z rąk Bohdana,

zwisając na płocie. Chłopak krzyknął radośnie. Zeskoczył i jął rozcierać zdrętwiałe ramiona. Patrzył na sznur, kołyszący się lekko, z taką uciechą, jakby na jakieś przepotężne i sławne dzieło wszechświata. Rozpromieniony szczęściem chwycił się znowu za rąb, podważył i złapał linę w dłonie, mocno, z całej siły. Teraz już szło mu dobrze. Łapał za sznur coraz wyżej, nogi opierał o świeże rany parkanu i piał się zupełnie prawidłowo.

Był dumny i pewny siebie.

Gdy wydłubane schody skończyły się wreszcie, Bodzio stropił się na chwilę, lecz zaraz energicznym ruchem począł pełzać w górę tylko po linie, wisząc ciałem w powietrzu i bijąc butami w parkan. Wtem usłyszał trzask, zrobiło mu się gorąco, włosy powstały na głowie. Odruchowo spojrzął w dół i zdrętwiał. Był już bardzo wysoko: zląkł się, żeby nie upaść.

Drugi trzask, silniejszy od poprzedniego, przeszył mu ciało jak bagnetem.

Rozpacz i gniew zawrzały w nim.

— Zjesz diabła! — syknął nienawistnie, patrząc złymi oczyma na łamiący się sęk. Z pasją zrobił kilka gwałtownych ruchów w górę i... ukląkł na szczycie płotu.

— Eureka! — krzyknął z niesłychaną brawurą.

Usiadł wygodnie na szerokim pału, nogi spuścił na dół w stronę zwierzyńca i śmiejąc się wycierał pot z twarzy. Z ironiczną miną obejrzał nadłamany sęk, i próbując jego mocy rzekł głośno:

— Musisz mi jeszcze służyć, kochaneczku.

Zwiesił sznur na drugą stronę płotu i uczepiony silnie zaczął spuszczać się w dół. Ale sęk ułamał się w połowie drogi. Bodzio upadł na ziemię, jak długi. Na głowę zleciała mu pętla wraz z grubym odłamem drzewa.

Młodzieniec odrzucił precz od siebie sęk razem ze sznurem i zawołał szyderczo:

— Pękłeś! Ale za późno.

Zerwał się — i ruszył szerokimi krokami naprzód, gwiżdżąc kuplety⁴¹ z operetki.

Blisko przystani spotkał strzelca, który na jego widok oniemiał ze zdziwienia.

Bohdan spojrzął w zaspane oczy dyżurnego i rzekł ostrym tonem:

— Spisz jak suseł, dowołać się ciebie nie można! Całą zwierzyńcę wystrzelałbym, anibyś wiedział kiedy.

Strzelec patrzył zdumiony.

— A jaśnie panicz któredy wszedł do zwierzyńca?... Ja mam klucze od bramy.

— Któredy mi się podobało; słyszysz?! Podawaj łódź.

Strzelec spełnił rozkaz, będąc najmocniej przekonany, że młody pan nie zginął, jak mówili w zamku, ale nocował w zwierzyńcu, żeby go kontrolować.

Bohdan miał minę niewzbudzącą podejrzeń, jedynie przez czoło szła rysa długa od ostatniego upadku, zakryta zresztą szczelnie czapczką angielską.

XXV

— Dokąd w nocy jeździłeś? — spytał ordynat Bohdana.

— Marzyłem, walczyłem...

— Spadłem z konia — dodał Waldemar tym samym tonem.

— A tak! Zwaliła mnie bestia! No, ale nie żałuję. Wuj mi pozwoli tego konia?

— Na kiedy?

— Dziś, zaraz. Pojadę do kartoflerek.

— Nie będziesz spał?

— Ani myślę! Upiłem się nocą i oparami, teraz zaś... obowiązek.

Waldemar uśmiechnął się.

— Jak chcesz! Ale Ramzes za ostry.

— Już ja go ugłaskam.

— Tak; ale go nie dostaniesz.

Bodzio się zmieszał.

— Dlaczego?

— Bo nie jesteś gościem w Głębowiczach, lecz praktykantem, więc na warunkach praktykantów. Masz swego wierzchowca, jak każdy z tych panów, wyjątków dla ciebie robić nie mogę.

⁴¹kuplet (muz.) — fragment wodewilu a. operetki. [przypis edytorski]

— Przecie konia nie zmarnuję — burknął Bohdan zły.
 — Nie o to chodzi.
 Młodzieniec stanął przed ordynatem, usta mu drżały. Zawołał gniewnie:
 — Czy ja jestem kuzynem wuja, czy nie?!

— Owszem, jesteś nawet Michorowskim.
 — Ach! Więc sądzę, że pewne prawa dla mnie powinny być... uwzględnione.
 — Nie, mój drogi. Jesteś moim kuzynem, lecz i pracownikiem. Zatem wyróżniać cię od innych dla nazwiska nie będę.
 Waldemar mówił spokojnie, ale chłopak się gorączkował. Oczy jego ciskały gniewem.
 — Ba! Pewno... Gdybym jednak miał miliony...
 — To byś mnie nie interesował. Rozumiesz?
 — Cóż to? Łaska?! — krzyknął Bodzio, nie panując już nad sobą.
 Waldemar spojrział na niego wzrokiem trochę rozbawionym.
 — Mój chłopcze, idź spać, radzę ci z duszy.
 Bohdan powstał chwilę, oddychał prędko, jakby wyladowując gniew, potem wybiegł z pokoju bez słowa.
 Po jakimś czasie niespodziewanie wrócił. Minę miał uroczystą.
 — Wuju — rzekł głosem zabawnie smętnym — proszę cię, abys zapowiedział całej swej służbie, żeby mnie nie nazywali jasnym panem. Jestem płatnym praktykantem, służę jak oni wszyscy: tytuły zbyteczne.
 Waldemar z trudnością powstrzymał śmiech.
 — Masz słuszność; zupełnie zbyteczne. Ale to załatw sam, ja na takie rzeczy uwagi nie zwracam. Dla ciebie istotnie nie jest to właściwe, możesz ich przykrócić.
 Bohdan zawahał się.
 — To będzie dla mnie... trudne, wuju.
 — Przeciwnie! Zabronisz z własnej inicjatywy: tak lepiej.
 Bodzio wyszedł zamyślony.
 Tegoż dnia każdemu, który go tytułował, odpowiadał krótko i szorstko:
 — Nie jestem żadnym jasnym panem, lecz paniczem; ostrzegam ostatni raz!
 Służba, słysząc to wprawdzie pierwszy raz, zdumiewała się niesłychanie. Szeptali pomiędzy sobą:
 — Zaraz widać, że to taki sam pan, jak nasz ordynat.
 Bohdan stał się pilniejszy, interesowały go więcej powierzone mu sprawy. Często miał poważne rozmowy z ordynatem o rolnictwie i o kwestiach administracyjnych. Widoczne było, że się do nich zmuszał, lecz robił to umiejętnie. Czytywał bardzo wiele, pochłaniał wprost bibliotekę głębowicką. Całe noce spędzał na czytaniu, a potem marzył i fantazjował. Musiał jednak czytywać dzieła ekonomiczne i rolnicze, choć się przy nich zanudzał, bo Waldemar był nieublagany. Bodzio towarzyszył ordynatowi na odczytach odbywanych dla służby i włościan; pod swój wyłączny zarząd dostał czytelnię ludową i kasę oszczędności. Waldemar kontrolował go w tych zajęciach bardzo skrupulatnie. Pozwalał mu natomiast z zupełną swobodą zaprzyjaźnić się i przebywać z członkami administracji, z kim chciał. Bodzio zyskiwał pełno przyjaciół. Lecz za swoją prawdomówność miał i wrogów. Na hrabiego Herbskiego patrzył niechętnie, odczuwał w nim nieufność względem siebie. Narażał się wszystkim, zupełnie o to nie dbając. Do pana Macieja, który narzekał raz przy nim na starość swą i skołatane siły, Bohdan rzekł bez namysłu:
 — No, najlepiej nie czekać, aż starość nadejdzie: łupnąć sobie w mózg ołowiem: i skończone. Ja, gdybym ustanawiał prawa, to bym takie nadał: wszystkich po siedemdziesiątce słać na spacer na Pola Elizejskie⁴².
 Pan Maciej zgorszył się i spojrział na chłopca z wyrzutem:
 — Błazen jesteś — rzekł cierpko.
 — No, przecie dziadzio nie ma się czym martwić: jeszcze prawodawcą nie jestem.
 Herbskiemu tłumaczył z zapalem, że tytuły to największe głupstwo, a główna rzecz to jest pieniądź. Bez pieniędzy nie ma ani tytułu, ani brzucha. I tą aluzją do potężnej tuszy hrabiego gniewał go niesłychanie.
 — Więc pan sądzi, że każdy tytuł jest kupiony? — pytał hrabia Dominik.

Przemiana

⁴²słać na spacer na Pola Elizejskie — tu: uśmiercić. [przypis edytorski]

— Każdy nie każdy, ale dużo. Wierzę w tytuł księcia, bo to polski i stary. Ale hrabia? baron?... Jak go sobie bogaty szlachcic nie kupi sam za granicą, to mu go dadzą dlatego, że bogaty. Jeszcze nie słyszałem, aby ktoś zupełnie biedny otrzymał tytuł hrabiego lub barona.

— Ach! Pan jeszcze wielu rzeczy nie słyszał — odrzekł Herbski, składając pocziwie ręce na szykanowanej przez Bodzia, obfitej części ciała.

— Może być — odparł Bogdan. — Nie słyszałem, na przykład, aby któryś z właścicieli kupionego tytułu przyznał się do tego.

Hrabia umilkł urażony, Bohdan zaś spojrzawszy na niego, wykrzywił usta i rzekł protekcyjnie:

— No, ale są i porządni hrabiowie. Ojej! Na przykład Herbski i inni. A że mają pieniądze, to nie jest zbrodnią.

Pewnego dnia po podwieczorku ordynat z hrabią Dominikiem siedzieli na tarasie, pałac cygara. Nagle zwrócił ich uwagę wesół śmiech kobiety, dochodzący z parku, jakieś piskliwe chichoty i łomot nóg wśród klombów różanych. Pomiędzy krzewami, w oddali, mignęła jasna postać Bohdana.

— Erotyczne manewry — zaśmiał się dyskretnie Herbski.

Waldemar zszedł do parku. Idąc w stronę rzeki, rozglądał się ciekawie po klombach, szukając sprawców hałasu. Natknął się na zaczajonego pod krzewem róży Bohdana. Chłopak powstał zły i zawołał:

— Ee! Pomieszał mi wuj wszystkie szyki! Już teraz ucieknij na pewno.

— Kto?...

— Moja driada⁴³.

— Bohdan, co ty wyprawiasz?! — zgromił go ordynat — Co to za wrzaski?...

— Cóż tam takiego? Zamieniłem się w fauna⁴⁴ i gonię leśne driady... Co mówię: kredensowe! Ależ piękne! Niech ich wszystkie bogi! A najwięcej ta Haneczka. Łydki ma, powiadam wujowi... Ojej, jak żyję, takich nie widziałem. Fidiasz⁴⁵ miałby model. Niech się Diana⁴⁶ łowczyni schowa ze swymi chudymi pieszczelami.

— Słuchaj. Ja nie pozwolę urządzić tu bachanalii⁴⁷ — rzekł ordynat.

Bodzio wzruszył ramionami.

— Oh! Nie bądź taki święty, wuju! Co za bachalia?! Jeszcze ci przecież nie wprowadziłem się na taras ze swoją driadą; ale na gaj różany możesz pozwolić. Tego to nawet Zeus nie zastrzegł faunom. Twój fraucymer⁴⁸ się nudzi, wuju; muszę pocieszać płęć piękną. Do widzenia!

— Zaczekaj. Powiedz mi, czy ty wiesz, czym to pachnie?

— Dobrze! Dobrze, wuju: to potem, a tymczasem ja... muszę mieć Haneczkę, bo to żywy posąg. Ojej! Żebyś ty widział, wuju, jak się kąpała!... Oszczam ją zaledwie. Do widzenia!

Uklonił się ordynatowi z gracją, z wielką werwą machnął kapeluszem w stronę Herbskiego i zniknął za różami. Dolatywał tylko stamtąd filuterny jego głos, śpiewający jakąś burleskę niemiecką.

XXVI

W połowie października przyjechała do Słodkowic pani Idalia Elzonowska. Ciche życie dziadka z wnuczką zmieniło się w ciągłe i burzliwe sceny.

Baronowa chciała zabrać Lucię za granicę, dziewczyna oparła się stanowczo. Żadne namowy nie miały wpływu. Pan Maciej prosił od siebie, ale nieszczerze. Wolał, żeby Lucia była bliżej ordynata. Starzec kochał wnuczkę całą duszą i pragnął połączyć ją z Waldemarem. Ale przed panią Idalią nie zdradził swych marzeń.

Po długich sporach wyjechali wszyscy do Warszawy. Bodzio uprosił u ordynata urlop na miesiąc i wyjechał razem z nimi.

⁴³driada (mit. gr.) — inaczej nimfa, uosobienie piękna przyrody. [przypis edytorski]

⁴⁴faun (mit. gr.) — bóstwo górskich lasów. [przypis edytorski]

⁴⁵Fidiasz (V w p.n.e.) — jeden z najsłynniejszych rzeźbiarzy greckich. [przypis edytorski]

⁴⁶Diana (mit. rzym.) — bogini lasów, przyrody, łowów. [przypis edytorski]

⁴⁷bachalia — rzymskie świętu ku czci Bachusa (gr. Dionizos), boga wina. [przypis edytorski]

⁴⁸fraucymer (daw.) — ogół kobiet należących do dworu (np. królowej, księżnej); tu: żart. [przypis edytorski]

W Warszawie Lucia spotkała Brochwicza. Zaczęły się dla niej nowe dni udręczeń duchowych. Młody hrabia kochał ją bez zmiany i widocznie nadziei nie tracił. Bolała ją najwięcej świadomość, że Waldemar popiera sprawę Brochwicza. Nie mogła mu tego wybaczyć.

Wszyscy byli po stronie hrabiego, prócz pana Macieja i Bohdana. To spowodowało, że Lucia życzliwiej spoglądała na mniej lubianego dawniej Bodzia.

Pani Idalia otworzyła szeroko gościnne drzwi swych salonów, przyjmowała mnóstwo osób ze sfer najwyższych, starannie dobierając młodzież, reklamowaną jako świetne partie. Lucię koniecznie chciała wydać za mąż. Główny nacisk kładła w tych wyborach na tytuły i majątki. Lucia jednak nie miała powodzenia: w towarzystwie nie była sympatyczna. Zawsze poważna, zimna, ignorowała młodzież, jakby umyślnie stopniując swą obojętność względem bogatszych i bardziej utytułowanych. Największe zabiegi wytrawnych zdobywców salonowych nie zdołały nigdy wywołać w jej oczach zalotnego błysku. Patrzyła śmiało w oczy męskie — często surowo, nawet ironicznie, nigdy kokieteryjnie. A że była istotnie ładna, naturalnie wdzięczna i posągowo poważna w tonie, więc złota młodzież przezwala ją westalką⁴⁹ i nazwa ta ustaliła się w salonach. Westalka uśmiechała się tylko wtedy promiennie, gdy jej nikt nie widział i gdy mogła swobodnie bujać z marzeniami, zapatrzona w fotografię ordynata. Często gdy klęczała przy kolanach dziadka, a on mówił o Waldym, uśmiech ten zjawiał się na jej różowych ustach, czyniąc ją piękną.

Ale o tym, kto jest bożyszczem westalki, wiedziało zaledwie kilka osób.

Przed wielkim rautem w listopadzie Lucia, już ubrana, stojąc w swoim pokoju, odwróciła się gwałtownie do drzwi. — Ktoś energicznie zastukał.

— Proszę.

Wpadł zdyszany Bodzio. Porwał Lucię za rękę i zawołał:

— Winszuję! Winszuję! Księżnej pani!

— Czy kuzyn zwariował?

Bohdan przysunął usta do jej ucha.

— Ostrzegam kuzynkę: dziś, zaraz, ma się jej oświadczyć książę Zygryd, ten wdowiec, milioner.

Lucia szarpnęła się.

— Skąd... ta wiadomość...

— Podśluchałem. Oświadczył się baronowej, przyjęty z rozczuleniem. Ordynat...

— Co... ordynat?...

— Był także obecny.

Lucia nabrała powietrza w ściśnięte piersi.

— I co?...

— No, i może także rozczulony? Już tego nie wiem; słyszałem tylko rzewny głos ciotki. Spisek, kuzyneczko.

Policzki Luci pałały. Szybko podała mu rękę.

— Dziękuję, kuzynie. Wiem, co zrobię.

Szyderczy śmiech mignął na jej ustach. Bohdan inaczej go zrozumiał. Rzucił się z zaciętwioną miną.

— Jak to? Przyjmiesz księcia, kochając ordynata?!

Lucia spojrzała na niego groźnie.

— Dość już! Proszę iść, kuzynie.

W drugim pokoju rozległy się prędkie kroki. Bodzio skoczył przestraszony.

— Ojej! Pewno ciotka! Kuzynko, ratuj, żeby mnie tu nie widziała: odgadnie!

Rozejrzał się dookoła i nie widząc innych drzwi, przykucnął za chińskim parawanem.

Wszedł lokaj.

— Jaśnie pani baronowa prosi do sali.

— *Tè voilà!*⁵⁰ — szepnął Bodzio dość głośno.

Lucia milczała.

— Co mam odpowiedzieć pani baronowej? — spytał lokaj.

— Że spełniłeś polecenie. Idź.

⁴⁹westalka — w starożytnym Rzymie kapłanka bogini domowego ogniska, Westy. [przypis edytorski]

⁵⁰te voilà! (fr.) — no i proszę; a widzisz? [przypis edytorski]

Gdy drzwi się zamknęły i ucichły kroki, Bodzio wyjrzał zza parawanu.

— Co zamierzasz, kuzynko?...

— Jestem niezdrowa; proszę wyjść.

— Aha!

Bohdan zaśmiał się subtelnie i ulotnił się.

Lucia podeszła do lustra. Uśmieszek ironiczny powrócił na wargi. Była blada i podniecona. Wolnym ruchem zaczęła zdejmować suknię, rozplatać włosy. Ubrała się w biały negliż i ułożyła wygodnie na aksamitnym szezlongu. Do zdumionej panny służącej, która weszła, baronówna rzekła krótko:

— Jestem chora. Nie przyjmuję nikogo.

W kwadrans potem zaszumiało jedwabiami i wbiegła baronowa.

Niesłychane zdziwienie odbiło się na jej twarzy.

— Co to?! Jakaś... nowa szopka?

Lucia podłożyła ręce pod głowę i patrzyła na matkę spokojnie.

— Luciu: co to znaczy?...

— Jestem nieubrana, widzi mama.

— Ale raut... Już się zjeżdżają.

— Nie wyjdę.

— Co?!

— Nie wyjdę dziś.

Baronowa wybuchnęła:

— Histeryzujesz! Wieczne skandale! Co ty wyrabiasz?... *Tu est folle*⁵¹!

Potok słów, pełnych oburzenia i złości, przeplatanych francuszczyzną, wyrwał się z ust pani Idalii. Ale Lucia była jakby głucha. Patrzyła w okno z zimną krwią, tylko wargi ust drżały uśmiechem nienaturalnym. Baronowa po wybuchu gniewu zaczęła prosić, zaklinać. Nic nie pomogło. Lucia odpowiadała na wszystko bezwzględnie.

— Dziś nie wyjdę.

— Pięknie się zachowujesz!... Oświadczył mi się o ciebie książę Zygfryd. Posłałam cię prosić; wie, żeś zdrowa. On czeka w sali, a ty...

Wzruszyła ramionami wściekle.

— Histeryczka — syknęła zjadliwie.

Lucia podniosła się.

— Od tego trzeba było zacząć, mamó — rzekła spokojnie. — Wiedziałam o waszym spisku. Moją odpowiedź księciu daję swoim postępowaniem. Nie chcę go widzieć i znać.

Baronowa zatrzęsa się.

— *Malheureuse fille*⁵²! Zastanów się, co robisz. Obrazisz go raz na zawsze! Taka partia niebywała, taki gentelman!

— Nie chcę go widzieć i znać — powtórzyła westalka.

— Dlaczego? Jaki powód?

Lucia nic nie odrzekła.

Baronowa zaśmiała się rubasznie.

— A! Pewno stara śpiewka „nie kocham go”.

Milczenie.

Pani Idalia wybiegła z pokoju.

Zanim doszła do sali, uspokoiła swój głos i wyraz twarzy. Do oczekującego w małym buduaru⁵³ księcia rzekła z uprzejmym uśmiechem, prawie zachwycającym:

— Cierpliwości, *cher prince*⁵⁴. Moja córka jest trochę... niezdrowa... Zupełnie niespodziewanie... migrena... *un peu de nerves*⁵⁵. *Vous comprenez*⁵⁶?...

⁵¹*tu est folle* (fr.) — jesteś szalona. [przypis edytorski]

⁵²*malheureuse fille* (fr.) — nieszczęsna dziewczyno. [przypis edytorski]

⁵³*buduar* — ozdobne pomieszczenie należące do pani domu. [przypis edytorski]

⁵⁴*cher prince* (fr.) — drogi książę. [przypis edytorski]

⁵⁵*un peu de nerves* (fr.) — trochę nerwów. [przypis edytorski]

⁵⁶*Vous comprenez?* (fr.) — rozumie pan? [przypis edytorski]

Książę elegancko pochylony naprzód, trzymając duży palec lewej ręki w kieszonce kamizelki, błysnął binoklami i prawą dłonią musnął sporą łysinę świecąca spomiędzy utrefionych⁵⁷ włosów.

— Spodziewam się jednak... — zaczął nosowym głosem.

Lecz baronowa żywo mu przerwała:

— O! Naturalnie! Jednak dziś nawet nie mówiłam córce... *de dette chance*⁵⁸ — dodała ciszej i z umizgiem. — Trzeba ją oswoić.

— Więc baronówna nie wyjdzie do nas...

Pani Idalia zrobiła rozplakaną minę.

— Może potem da się namówić. Teraz... *elle est indisposée*⁵⁹.

— Hm! — mruknął książę powątpiewająco.

Bohdan słyszał rozmowę i śmiał się.

XXVII

Pierwszy, niepokalanie biały śnieg spadł obficie na ulice Warszawy. Miasto wyglądało odświętnie i zacisznie. Białe aksamity powlokły dachy, drapowały się pod oknami, zwisały z nagich gałęzi, drzew, słały swe zbrudzone już kobierce na brukach ulic. Mróz był tęgi i rozsiał w powietrzu mnóstwo skrzących pyłów, niby iskerek po roztrzaskanym brylancie. W świetle lamp elektrycznych szkliste tumany mrozu skupiały się gęsto, tworząc powietrzną kopalnię drogocennych igieł.

Rozdzwoniły się janczary⁶⁰ sanek na ulicach. Zgrabne płozy migwały tu i tam w szybkim, śliskim biegu. Dumnie jakoś kłusowały konie, pokryte cennymi siatkami, ustrojone w pióra i kity.

Wieczorem ruch jakby się wzmagał. Środkiem ulic gnały sanki prywatne i dorożkarskie, wioząc zakapturzone panie do teatru. Sunęły gęsto karety, poprzedzane klasycznym tupotem spasionych koni; wlokły się drobnym truchtem pospolite dryndy z przygarbioną postacią dryndziarza na koźle. Pieszka publika spacerowała wolniej, gwarząc wesoło i przypatrując się jeżdżącym saniami. Długie słupy przeplatały ciemne postacie osób. Rzęsiste światła lały się na chodniki z wystaw sklepowych i wielkich lampionów, oświetlających pewne cukiernie lub większe sklepy. Tu i tam mrugały niezliczoną ilością źrenic lampki różnobarwne teatrów złudzeń.

W Alejach Ujazdowskich, wśród publiczności nieco rzadszej, szedł Waldemar Michorowski. Przed jego oczami jaskrawym zygzakiem rysowały się słowa:

„Lucia mnie kocha”.

Nie mógł odpędzić z myśli tej pewności, która już występowała zbyt wyraźnie.

Po odmowie danej księciu Zygfrydowi Lucia strzegła troskliwie swych uczuć. Wieść głucha rozeszła się prędko, pochłaniana i komentowana.

Oczekiwano następstw. Ordynat widział zwrócone na siebie oczy tłumu salonowego, ale co gorsze, czuł wśród nich nieśmiałe, błagające źrenice Luci. Prześladowały go one, wpijały mu się uparcie do duszy, oplatając spojrzeniem niby pajęczą nitką, niby jakimś mrokiem, co z wolna, ale silnie opanowuje zastygły po zorzach dzień. Czuł, że nie ogarniają go miłosne pęta, że brak im słodyczy, ale że jednak są to — pęta, niewolnicze, jakby obowiązujące, które spadły na niego prosto z życia, bez poprzedniej wibracji duszy. Wszączało się to despotycznie w istotę jego ducha, bez cichego fletu grającego cudne melodie zachwyków i szalonych upojeń. Zamarłe pieśni przebrzmiałych nokturnów nie ocknęły się, ani jeden dźwięk nie drgnął rzewną tęsknotą na omdlałych tonach harf, kiedyś dzwoniących epopeją. Struny, rozkołysane dawniej w hejnał rozkoszy, nie pordzewiały, lecz zwinęły się szczelnie w zazdrosny krąg, wskroś którego przepływał chłód pustkowia.

Jakieś nowe, niesłychane misterium, upojne, na uroczych pasmach światłości spływające do duszy, mogłoby rozbudzić z odrętwienia te struny czarodziejskie, śpiące w bolesnym letargu. Jeśli nie były zabite huraganem, co zagłuszyło ich śpiew? Jeśli nie uległy wiekuistemu snowi?!

⁵⁷ *utrefiony* — ułożony z wykwintem; ufryzowany. [przypis edytorski]

⁵⁸ *de dette chance* (fr.) — ? [przypis edytorski]

⁵⁹ *elle est indisposée* (fr.) — jest niedysponowana. [przypis edytorski]

⁶⁰ *janczary* — instrument muzyczny w formie dzwonek, stosowany jako dodatek do uprzęży. [przypis edytorski]

Dotąd trwały w swym zaniku. Pajęczę pęta świadomości uczuć Luci nie były twórczą pobudką: niepokoiły — nie budząc. Zamknięta w duszy ordynata świętość nie skalala swej boskości. Dogmat, zawarty w niej, palił się tym samym ogniem ofiarnym na stosie świętych kwiatów przeszłości. I pachniały lilie przeżywanych uczuć. I dym wonnych kadzidel przyśnionych zjawisk nie rozplynął się w zapomnieniu.

Ekstaza przeszła w nieziemską wizję i pałała jasnością. Żadna iskra nie struchlała, nie było popiołów. W świątyni jego miłości szemrał ten sam szept modlitewny drogich ust kapłanki i w tajemniczych półcieniach jaśniała zawsze jej postać.

Nawała nowych wrażeń nie potrafiła zwiać tego jedyne go obrazu, którego czas wżłabiał się tylko głębiej w skrwawione serce.

Waldemar nie mógł i nie starał się odczuć egzaltowanej miłości Luci. Samo pragnienie uważałby za świętokradztwo.

Ale czuł do Luci głęboką litość, współczuł jej jak zranionej siostrze. Chciał ją ratować, lecz widział, że wszelkie usiłowania na nic. Męczyło go to niewymownie. Odgadywał skryte zamiary dziadka i oburzały go. Gniótł w sobie niechęć, która często z dziką pasją występowała przeciwko Luci. Bunt obrażonej duszy, gniew i szyderstwo stawało się coraz jawniejsze. Szaloną wolą opanowywał zgrzyt wewnętrzny, ale przeczuwał, że pomimo wysiłków może brutalnie wybuchnąć.

Podniecając się przykrą duchową rozterką, szedł ociężale przez ciche, zaśnieżone Aleje Ujazdowskie, schowany prawie w cieniu drzew. Gdzieś, w pobliżu Łazienek, usiadł zamyślony na ławce. Wspomnienie nagle uderzyło go złotym i bolesnym biczem.

Zadrżał. W przymkniętych oczach rozsunał się śnieżny, lecz ciepły wieczór marcowy. Blask latarni migotał wśród drzew. Jest jakoś dziwnie słodko i muzykalnie. Drobne płatki śniegu sypią sennie i topnieją na futrzanym kołpaczku siedzącej na wprost niego kobiety. Jadą razem środkiem Alei w odkrytym landzie⁶¹. Obok niej staruszka, matrona, patrzy na ulicę, a oni oboje utopili wzrok w swych rozmiłowanych źrenicach i piją, piją bezdenny czar, piją zachwyty własnych serc, piją, aż do zawrotu głowy. Powóz niesie, lekko, jakby na puchu łabędzim, słyhać jedynie rytmiczne stukanie koni na drewnianym bruku, lecz i to ma swoją wyłączną melodię. Jadą, wydaje się, w nieskończoność. On w swoich dłoniach ma jej ręce, które sam obnażył z rękawiczek i tuli pieścizotliwie. Postać jej widzi w blaskach lamp, taką ukochaną, taką oddaną mu, jedyłą.

Czasami jakieś słowo, ciche a potężne w swym znaczeniu, przefrunie z jego ust na jej wargi, one zaś uśmiechają się, jak stokrotki pod dotknięciem słońca, i kwitną, pachną — dla niego!

Jadą tak długo w tej ciszy anielskiej, w tej niezgłębionej rozmowie serc, w tym zapatrzeniu się w siebie. A śnieg sypie jakby okruchy gwiazd i topnieje na tej postaci. Więc ona wchłania w siebie gwiazdy? Z tyłu drobnutkich promieni tworzy się jedna gwiazda, przejrzysta, złotolita gwieździca: jest nią — ona sama. I promieniuje, sieje oślepiające strumienie blasków. Na niego spada najdrogocenniejszy, niewysłowny, piękny — i odurza go.

O, wspomnienie niebiańskie! O śnie, bez powrotu!

Ordynat podniósł powieki. Śnieg sypie, sypie, jak w marzeniu, co uleciało w mroźne przestworza. Błyszcza latarnie. Jęczą dzwonki rozpędzonych sanek. Wszystko tak, jak wtedy, tylko smutek czarny łązi tu bezkarnie, depcze po duszy, naigrawa się z marzeń. Podły twór! Nie zamknie szyderczej paszczy, nie odwróci urągłych oczu. Żyje i mnoży swe plugawe potomstwo i karmi je ludzką żalobą. Wszędzie go tu pełno. Ławy swe rozciąga od brzegu do brzegu i zieleje z pyską nędzą na tych, co tu... chcą wspominać.

Podły twór!

Ordynat drgnął. Wstał i zgarbiony, jakby cały ogrom smutku dźwigał na swych barkach, poszedł wolno w stronę miasta. Rękę schował do kieszeni futra i zacisnął ze straszonym bólem.

— I oni chcą mnie?!... — warknęły jego usta równie wściekle, jak żałośnie.

Pogarda drgnęła mu w źrenicach.

⁶¹lando — rodzaj otwartego powozu. [przypis edytorski]

XXVIII

Na Placu Trzech Krzyży ordynat nagle stanął. W jadących obok strojnych sankach ujrzał Bohdana z bardzo piękną damą. Była to znana primabalerina.

Bodzio w czapeczce fokowej na zgrabnej głowie, pochylony do swej towarzyszki mówił coś, ogniście gestykulując. Oczy mu błyszczwały namiętym płomieniem. Tak był zapatrzony w swoje cudo baletowe, że nie spostrzegł wcale ordynata.

Sanki z chrzęstem, z brzękiem sutych janczarów, z parsaniem pysznych koni, przemknęły pędem, wlokąc po bokach końce bogatej siatki, które obficie spadała z koni aż na śnieg. Zadzwończyły o bruk podkowy, trysnęły iskry, zaszumiały pióropusze i zaprzęg pomknął szumnie ku Nowemu Światu.

— Używa stolicy — uśmiechnął się ordynat.

Własna młodość stanęła mu w myślach, tak samo rozpalona i bujna.

— Dokąd ją wiezie? — zaniepokoił się.

Skinął na sanki i kazał ostro jechać.

Wychylony lekko zza pleców dorożkarza, widział w oddali jadącą parę. Świetny kapelusze damy i czapka Bodzia pochylały się ku sobie. Nareszcie stanęli przed domem, gdzie mieścił się znany kabaret. Ordynat kazał zwolnić. Mijał Bodzia, sunąc po świetlistym szlaku lamp elektrycznych.

Bodzio z wdziękiem pomógł wsiąść swej damie i razem weszli do środka gmachu, powitani głębokim ukłonem szwajcara⁶². Sanki, nieopłacone, w oczekiwaniu stanęły opodal.

Waldemar usłyszał jeszcze rażny głos stangreta⁶³ remizowego do stojących dorożkarzy.

— Będę czekał do rana, nim się oni nacieszą; dadzą się człowiekowi wyspać.

Zaczął się pakować do środka sań, okrywając nogi futrem.

Ordynat pojechał dalej.

Na estradzie, w rzęsiście oświetlonej sali, śpiewała drastyczne kuplety młoda Niemeczka. Obcisła suknia, naszyta świecidełkami, okrywała ją prawie od pasa do kolan, przy których burzyły się falbany gazowe. Ruchy i wyraz twarzy miała cyniczne.

Bohdan ze swą towarzyszką usiedli przy stoliku blisko estrady. Przysunęło się do nich dwóch znajomych młodzieńców, sławnych turystów zakulisowych. Bohdan zaprosił ich na kolację. Rozpoczęła się zabawa.

Z bocznej łoży, ukryty za firanką, Waldemar Michorowski z daleka przyglądał się kuzynowi. Prawie tuż obok łoży, na sali, przy stoliku, siedziało dwóch mężczyzn, rozmawiając z sobą dość głośno.

Ordynat widział rozbawioną twarz Bodzia, patrzył na zalotne uśmieški primabaleriny, ale nie słyszał słów. Od czasu do czasu jakiś dowcip wywoływał tam burzę śmiechu, piękna dama ogniście błysnęła oczami lub też robiła skromną, niewinną minkę, a Bodzio zuchwale zaglądał jej w twarz.

Na estradę weszło pięć dziewcząt, rozpoczął się śpiew i tańce.

— Patrz pan! Wystawa kobieciny!

— Co za „kobieciny”?

— No: ciała. Ekspertów nie brakuje. Niech pan spojrzy na Michorowskiego.

Ordynat drgnął.

Panowie patrzyli na Bohdana, który pozeriał oczami szansonistki⁶⁴.

— Uważa pan, jaki łakomy? Jedną sobie zaangażował, i to dobry kęs, a na te się oblizuje. Jak tak długo potrwa na tych ziółeczkach, to mu skrzydełka opadną.

— Nic mu, panie, nie będzie! Rasa wypróbowana! A ordynat głębowicki mało używał? Jednak zawsze zuch.

— No, niezbyt. Jakoś się nie żeni.

— To z innych powodów. Zresztą podobno żeni się z jakąś kuzynką. Ten młodzik gotów mu pół fortuny przepuć⁶⁵.

⁶²szwajcar (daw.) — służący pełniący służbę u drzwi domu a. gmachu publicznego (np. hotelu); portier. [przypis edytorski]

⁶³stangret — osoba powożąca zaprzężonym w konie powozem lub bryczką. [przypis edytorski]

⁶⁴szansonistka (daw.) — piosenkarka kabaretowa. [przypis edytorski]

⁶⁵przepuć (pot.) — roztrwonić. [przypis edytorski]

Waldemar za swoją firanką doznawał przykrego uczucia obawy, by go nie dostrzeżono. Cofnął się głębiej.

Na estradzie zmieniały się śpiewy na tańce, na monologi swobodnych błazeństw. Jakiś Murzyn wykrzykiwał głosem koguta, przedstawiając sztuki magiczne.

Sala wypełniła się chmurą dymu. Panował gwar ożywionych rozmów, strzelały śmiechy, dowcipy i szampan. Śpiewaczki i tancerki weszły na salę, zmieszały się z publiką. Jakiś chłopak obnosił w wielkim słoju cięte kwiaty i sprytnie trafiał tam, gdzie najczęściej płacono. Bodzio ogromny pęk róż ładnym ruchem złożył na talerzu swej towarzyszki. Tu i tam odzywały się podniecone alkoholem gardłowe głosy męskie. Zabawa toczyła się.

Waldemar myślał:

„To jednak konieczne. W naturze ludzkiej znajduje się zawsze gruczołek zawierający zakaźny element rozpusty. Tylko u jednych jest on odległy od ostrego zęba pokusy i trwa w swoim zamknięciu. Nietrażony, nie pęka i nie zatrzuwa. U innych jest w bardzo mocnym pęcherzyku, nasyconym przez etykę lub flegmatyczność krwi. Ale jest — rozdarty mniejszą czy większą siłą, wypływa i drażni. Trzeba posiadać olbrzymią twórczą moc, aby bezkarnie wypłuć go z siebie, gdy już rozciąga nad kimś władanie”.

Więc zabawa to trucizna? Czy też tylko pulsowanie duchowej istoty ludzkiej, podjudzone przez żądzę ciała? Woda nagazowana burzy się, lecz z chwilą, gdy ostatni balonik gazu uleci, pozostaje zimna i mdła.

Piana jest igraszką fal. Im większy temperament wewnętrzny kipi i żyje, tym piana wyżej bucha i staje się zaborcza. I ogarnia skały, niedostępne brzegi dla najgłębszych, lecz poważnych nurtów.

To temperament, nie zabawa.

To raczej twórczość.

Wyrzywa się z głębin i szalenie unosi w górę atomy, zrodzone duchową potęgą wewnętrzną, by objąć nowe horyzonty lub zatracić swą lotność na nędznych rozpryskach, po gołoledzi niebezpiecznych raf.

To nie zabawa.

Większość ludzi nie zdoła oprzeć się szeptom chochlika, który każdemu trafi w zana-drze, a nic łatwiejszego jak popełnić fałszywy krok pod kierunkiem tego malca. Śmiech jego nęci, widok oślepia i — powrót już trudny.

Więc się brnie.

Dla umysłu zabawa jest niemal konieczna, uspokaja niby kroplisty szmer fontanny po monotonnym turkocie pracy. I orzeźwia bystrym strumieniem duszy zapalony ił powszedności.

Brać zabawę i rozkosz życia, pić ją pełnym haustem, tylko trzeba umieć trzymać, by się jej czara nie chybnęła. Rozleje się albo pokaże bezecne dno. Trzeba umieć oddzielić od źródeł zabawy żyły rozpustonośne, bo one toczą zgniłą materię. Najpierw nacierają na ciało, potem wraz z nim spodlają ducha.

Waldemar ocknął się. Przyciszony głos i słowa przy stoliku zwróciły jego uwagę.

— Oho! Krew Michorowskich! Ciska się kogucik. Patrz pan, patrz pan: awantura!

— Jakaś sprzeczka. Magnaciątko rzuca się — szepnął drugi głos.

Przy stoliku z primabaleriną wrzało. Bohdan i jeden z obcych młodzieńców zamieniali ze sobą jakieś popędliwe słowa. Twarz Bodzia pałała ogniem gniewu i ironii. Strojna dama miała minę zmieszaną i zdradzała chęć do ucieczki. Kilku lokajów podsunęło się bliżej stolika. Z innych miejsc patrzono ciekawie, ale gwar nie ustawał.

Waldemar dojrzał, iż Bodzio rzucił przeciwnikowi kartę. Baletnica zerwała się z miejsca. On zatrzymał ją energicznie i wymienił bardzo uprzejmy ukłon z młodzieńcami, którzy opuścili stolik. Zgromił wzrokiem gapiących się kelnerów, tak że usunęli się prędko przestraszeni, wstał z miną udzielnego księcia i z wielką dystynkcją, puszczając przodem swą damę, wyszedł z sali. Waldemar dostrzegł, że zniknęli oboje w drzwiach jednego z dalszych gabinetów.

— Nie darował swego! — mruknął głos obok z łoży.

— Ponieśli tam szampana. Orgia przed pojedynkiem. Zuch! Pewno o nią się poczu-bili.

— Jak jelenie. Michorowski zaimponował swą kartą i zwycięża.

Zabawa

— Awantura, panie, arabsko-kabaretowa. Ale ten młodzik i lufy się nie złąknie.
Waldemar słyszał te słowa. Przeniknął go niemiły dreszcz.

XXIX

Przeciwnicy skierowali na siebie gardła pistoletów. Bohdan przed komendą rzekł do swego sekundanta, Stalskiego, przyjaciela z Nicei:

— Ja wolę w powietrze, a on, jak chce.

Raz, dwa...

Huknęły strzały.

Bodzio skrzywił się, pistolet wypadł mu z dłoni. Lewą ręką schwycił się za mięśnie prawej.

Podbiegli do niego.

Przez rękaw sączyła się krew. Bodzio pobrudził nią palce. Patrząc na czerwone plamy, rzekł z pozornym spokojem, chociaż zęby mu szczękały:

— No, to się pierwszemu Michorowskiemu zdarzył taki *casus*⁶⁶. Ojej! Moi przodkowie w grobie się przewrócą.

Lekarz obejrzał ranę. Ciało prawej ręki było przestrelone na wylot, ale kość nieruszona.

Bodzio wyciągnął drżącą z bólu dłoń do swego przeciwnika.

— Wybaczmy sobie, prawda? Swoją drogą... może to nie wypada, ale powiem: oto żałuję, że panu nie odtrąciłem małego paluszka u nogi. Co?! To dopiero byłby strzał! Na drugi raz się poprawię.

W karecie Bohdan osłabł.

— Nie tyle z bólu, ile pewno z wrazenia — uspokajająco rzekł lekarz do Waldemara.

— Pierwszy pojedynek: to emocja.

Bohdan coś szeptał zbielełymi wargami. Ordynat podtrzymał go.

— Co mówisz, Bodziu? — spytał troskliwie.

— Ee! Nic. Ale to nie koniec. Wyzwę kiedyś jakiegoś tam... i... kropnę aż miło. Drugi raz taki głupi nie będę.

Syknął z lekka i szepnął jeszcze.

— Ojej! Żeby choć było o co?...

Przez kilka dni ordynat nie mógł się dowiedzieć przyczyny pojedynku.

Bohdan zaciął się w milczeniu.

Nareszcie sam zaczepił Waldemara.

— Wuj, czy kobieta warta jest, żeby za nią umrzeć?...

— Nie wiem, o jakiej kategorii kobiet mówisz.

— Kategorie! Kategorie! Mówię kobieta i kwita. Każda ma nos do wążania, oczy do kokietowania, usta do całowania i cnotę do sprzedania.

— Błuznisz i sądzisz stronnie⁶⁷, podług własnych ideałów z półświatka. To nie racja — odrzekł surowo ordynat.

Bohdan umilkł, chodził zdenerwowany po pokoju. Nagle stanął obok Waldemara w wyzywającej pozie.

— A ja mówię wujowi, że świat składa się przeważnie z takich właśnie fatalachów babskich. Zawiercą człowiekowi w nozdrzach, aż się zakicha, ale każdy lezie na ten miód. Kobiety porządne, wielkiej wartości, nie wywołują pojedynków, zabójstw, bo są może jak święte, którym się całuje szaty. Ale zanim się do takiej człowiek dochrapie, to go mogą sto razy diabli wziąć przez łachman.

— Skąd ty to wiesz? — zdziwił się ordynat.

— Wiem.

— Nabyłeś już praktyki; nie będziesz narażał życia dla głupstwa.

— Ojej, czy raz jeszcze!... Albo to wuj mało napłatał łbów dla gamratek⁶⁸?... Różnych gatunków one są: takie, siakie i owakie. I w rozmaite skóry odziewają się. Często trudno poznać, co kryje nawet gronostaj.

⁶⁶*casus* (łac.) — przypadek. [przypis edytorski]

⁶⁷*stronnie* (daw.) — stronniczo. [przypis edytorski]

⁶⁸*gamratka* (daw.) — kobieta lekkich obyczajów. [przypis edytorski]

Bohdan ciągle ironizował, rozumował, ale nie mówił nic więcej. Waldemar był niepokojny. Tym bardziej, że Bodzio zmizerniał i chodził osowiały. Ręka mu się zgoiła, lecz dokuczalo mu widocznie jakieś cierpienie moralne. Ordynat odgadywał, lecz milczał.

Sam był zresztą pochłonięty ciągłą rozterką z własną duszą, co spowodowała Lucia.

Przytłumiona wieść o ich małżeństwie rozplynęła się po salonach niepowstrzymanie. Spoglądano na nich jak na narzeczonych.

Lucia promieniała.

Unikał jej starannie. Widywali się tylko na większych zebraniach. Ten dziwny stosunek nie uszedł wzroku pani Idalii. Nie mówiła nic, udawała zęcnie, że nie widzi nic i nie słyszy pogłosek. Może i ona pragnęła tego, lecz... w możliwość nie wierzyła.

A tymczasem urządziła coraz to nowe zabawy, wciągając w nie Lucię i ordynata. I udawało się jej.

Lucia zmieniła swój system. Dawniej poważna, westalka nawet wobec Waldemara, teraz wpadała niekiedy w szal zabawy. Czarowała mężczyzn bezwiednie jeszcze, samym urokiem nagłej zmiany. Wszystko, co w niej było zalotnością i chęcią podobania się, skierowała na ordynata. Z zimnej, sztywnej — stała się kipiącą warem wewnętrznym. Oczy jej paliły żywym płomieniem, usta rozchyłały się, żądne pocałunków. Cała postać gięła się do Waldemara z żywiołową mocą miłości.

„Jestem twoja!” — mówił mu każdy jej ruch.

I pewien wyłom się w nim zaczynał.

Wrażenie tak wiotkie, jak cień śmigającej jaskółki, ale pachnące słodką wonią, niby przewiew rozkwitłej gałęzi akacji, wsiąkało mu w nerwy — i kropla po kropli — padało na obudzony prąd krwi. Każda kropla czyniła ją czerwiejszą, bardziej gorącą. Coś się poczynało w nim, ale słabo, nieuchwytnie, jak obudzone echo górskie, dawno zatracone i śpiące w upłazach. Na wierchach już się odzywa, ale turnie śpią jeszcze. Ogarniało go zdziwienie i przestrasz. Jednak nie szukał ratunku.

W tym czasie Bohdan znikł z Warszawy. Po kilku dniach niepewności ordynat otrzymał list z Głębowicz.

List brzmiał:

„Uciekłem tu, bo Warszawa mnie chłonie. Wierzyłem w swoją baletniczkę, myśląc, że unikat i ofiara zakulisowa. Za brutalny żart, skierowany do niej, wyzwałem tamtego, ale nawet śmierć naśmiała się ze mnie i pokazała figę, za co ma moją dozgonną wdzięczność. Owa uciśniona niewinność jest już w dziesiątych rękach, jeśli w równie naiwnych jak moje, niech im idzie na zdrowie. Niech wujek spłaci moje nowe długi — już ostatnie, mam nadzieję (adresy podaję poniżej), i wraca do Głębowicz. Tu bezpieczniej. Haneczka moja, szampanik! I mam pewność, że tylko moja.

Bohdan”.

Ordynatowi z całego listu najwięcej przemówiło do przekonania, że tam — bezpieczniej. Opłacił długi Bodzia, z zamiarem natarcia mu uszu, wymówił się koniecznością i wyjechał.

Lucia czuła, że ten wyjazd to trochę ucieczka. W duszy swej słyszała hejnał nadziei.

XXX

W ostatnich dniach karnawału ordynat i Bohdan byli u Sartaskich w Pozierzu. Wieczór zapowiadał się dla Bodzia wesoło. Panien było mnóstwo, a oprócz młodych Sartaskich, jeszcze niedorosłych, żadnego obcego mężczyzny, prócz Bohdana. On i Waldemar mieli powodzenie. Ale Bodzio kręcił się niespokojnie. Coś knuł.

Nareszcie znikł z salonu. Nikt nie wiedział, gdzie się podział. Panny zgorszyły się niesłychanie, ordynat był zły, tylko pan Sartaski uspokajał wszystkich.

— Ho! ho! Nie obawiajcie się państwo, on tu jeszcze wróci — mówił przekonująco. — Poznałem już tego młodzieńca: nie robi sobie nic z nikogo i z każdej biedy wypłynie.

Ale panny nie dały się przekonać.

Ucieczka Bodzia zrobiła złe wrażenie.

— Magnat!... Nudzi się wśród nas... Niedelikatny... Wielki pan — chodziły szepty.

— To już nie ordynat. Ten widać gardzi szlachtą — mówili młodzi Sartascy.

Bohdan stracił popularność.

Nawet nie domyślając się tego, Bodzio pędził w małych saneczkach, chwyconych z Pozierza, przez zaśnieżony bór do Głębowicz. Radość miał w sobie i figlarny dreszcz w młodej krwi.

Dwa konie głębowickie, zaprzężone w szpic, gnały prawie cwałem. Bodzio stał w sanekach sam powożąc, i pokrzykiwał głośno na cały bór. Od pędu sań i okrzyków śnieg zdawał się spadać z przydrożnych jodeł. Błady księżyc wyjrzał zza drzew, omaścił matową powłoką białą drogę, sypnął skąpe, wątłe iskierki na płaty śnieżne, niby lustrem pogładził lśniące ciała koni. Rozweselone światłem spasiono araby rwały z kopyta, chrapiąc, i dziarskim pędem unosiły drobne saneczki. Bohdan aż śmiał się z radości.

Odczuł w sobie moc przeogromną, swobodę. Był oto teraz jakby panem i władcą, dziedzicem nieprzejranych, białych włości, stężących rozlogów. Sam w swych saneczkach wśród pustyni mroźnej.

Mróz przemożny, biel przemożna.

Powietrze jarzy się białym ogniem. Chłód bijący z tej huty styczniowej, zimnej aż do sparzenia, przenika do kości, ssie szpik z ich wnętrza. I orzeźwia, i młodość wlewa do duszy, porywa instynktownym rzutem, do czynu gna.

Mróz nabiera rozpędu, tęgość swą wzmacnia. Rozwiął mleczną brodę, włosy puścił na wiatr, i sieje hojną dłonią zielone iskry, mroźne kamyczki czerpane z zanadru lodowego.

Sieje piękno i potęgę.

Sieje chłód i obojętność.

Sieje nędzę i głód.

Śmierć dla skostniałych ciał, rozkosz i życie dla ciepłych, otulonych w futra. Z oczu sypie szmaragdy, z dłoni opale z zielonymi błyskami.

Pod stopami w srebrnych sandałach rosną mu martwe, lecz błyszczące gwiazdy, z płaszcza kruszy się cienkie jak pajęczyna szklivo igiełek mroźnych, które przebija się aż do serca.

Wpadli na gładką równinę pola. Niby morze śnieżne otworzyło się przed nimi szeroko. Na stokach odległego horyzontu tumanił się mglisty pył. Stulał razem ziemię z niebem, zacierał ich kontury, tak że nie było końca tej bieli cudownej, co niosła sama w dal siłą ciągnięcia. Góry, fale śniegu, mieniły się, jakby posypane żużlami z kryształu, wyraźne zręby zasp zamarzłych były ostre niby piły. Świeżo nadmuchane przez wiatr gromady miały matowość kłębow wełnianych wśród atlasów i srebrnej lamy⁶⁹. Wielka, uroczysta cisza wędrowała, zda się, z ziemi do nieba i znowu spływając z miesięcznej tarczy, łagodnie zasypiała na majestatycznym łonie zimy.

Janczary arabsów rozniosły swój podzwon głośny, ale nikiący prędko, bo wsiąkał w tę białą pustynię, nieskończoną jak Sahara. Jednak dźwięczał i straszyl. Tu i tam przemykały zające z nastawionymi uszami, przypominając z daleka wydłużoną strzałę.

Bohdan wołał na zmykające szaraki i trzaskał z bata. Gdy spostrzegł rudą plamę lisa, krzyknął głośniejszy i zawrócił konie za nim. Ale od razu wpadł w zaspę. Tęgie araby zaczęły kopać dzielnie, biorąc kopytami śnieg pod siebie. Szorowały brzuchem śnieżne zwaly, parły zawzięcie naprzód, dymiąc z nozdrzy jak z kominów. Czarne ich grzbiety tonęły w zimnych pianach i rozpylały je na chmurę białego pierza. Zawieja roztaszczonych z impetem zasp, otaczała podniesione łby końskie i rozwarte na wiatr chrapy. Wierzchnią, lśniącą skorupę śniegu, piersi rumaków gniotły na miał, darły się niestrudzenie wskoś stężących mas. Niosły się górnio i szumnie.

Zziajane, buchające gęstą parą konie Bohdan wywiódł na ubitą drogę i podwoił pęd. Sam na równi z końmi zmęczony był walką ze śniegiem i upojony. Powietrze uciekające gwałtownie świstało mu w uszach jak grad śmigających kul; rozpaloną twarz owiewał mu chłodny pocałunek nocy.

Jak orkan szału wpadł na dziedziniec czworoboku zamkowego w Głębowiczach. Powstał tam zaraz ruch niezwykły.

⁶⁹lama — tu: błyszczący materiał dekoracyjny. [przypis edytorski]

Po paru godzinach męczącego oczekiwania w Pozierzu, kiedy już nawet pan Sartaski stracił nadzieję powrotu Bodzia, Waldemar zaś był mocno zirytowany, nagle uciekinier się zjawił. Wszedł do salonu zgrzany, ale rażny, podszedł do ordynata i rzekł z miną nieco skruszoną:

— Wuju, możesz mnie powiesić w Głębowiczach. Teraz wybacz.

— Cóż tam nowego zwojowałeś?

— No, nie zbrodnię, ale zawsze, ojej! Przesłupstwo! Przywiozłem tu orkiestrę zamkową i wszystkich praktykantów głębowickich. Jak karnawał, to się bawmy! — zawołał z zapalem.

Widząc zdziwioną minę ordynata, rzekł przymilnie:

— Wuju, ja im tam skłamałem, że to z twego polecenia robię taki szum.

— Nie kompromituj mnie!

— To czyn *pro publico bono*⁷⁰.

Waldemar zaśmiał się, podnosząc wysoko brwi. Widział zachwycone twarze panien, rozbawioną minę Sartaskiego i odczuł nastrój oczekiwania.

Rzekł wesoło:

— Skoro już wariujesz, miejże odwagę do końca. Gdzież są nasi panowie? Ale nie pamiętasz nawet, czy się państwo Sartascy zgadzają.

Bodzio ze zgrozą spojrział dokoła.

— No! Czyżby?! — wykrzyknął.

Lecz otrzymał bardzo skwapliwą i przechylną odpowiedź. Bał się rozpoczął. Bodzio odzyskał utraconą chwilowo opinię.

Sam ruszył do mazura w pierwszą parę z panną Sartaską. Tańczył zamasyście. Przesadzał trochę w udawaniu Bartka, był nieco rubaszny. Ale jego młoda twarz ognista i oczy patrzące z wdziękiem kokieteryjnym łagodziły zbytnią żywość ruchów. Dopiero w walcu zmienił się, płynął z tancerką wytwornie, z pewnym rozmarzeniem.

Ordynat kilka razy doznał przykrego uczucia. Czasem drobnostka była powodem. Jakiś znajomy ton w orkiestrze, zapamiętany w przeszłości, jakiś szum sukni kobiecej w zawrocie tańca, jakaś figura mazurowa budziła nagle dawne echa, a te, uderzając brutalnie w duszę — bolały.

Lecz Waldemar panował nad sobą. Wspomnień nie wypuszczał z ukrycia; bał się ich i miejsce było nieodpowiednie.

Jednak, gdy się coś trzyma w napiętej obawie, jak ptaka, by nie wyfrunął, nie można być swobodnym. Niepokój drży w sercu, oddycha się nim i widzi się go niemal oczyma. Waldemar czuł lęk podwójny: z chęci nieokazania obecnym swego wrażenia, bo mogłoby być zrozumianym inaczej, i zwalczania w sobie uczuć żalonych, zbyt ostro trąconych.

A zabawa kipiała życiem.

Bohdan i praktykanci głębowiccy zmieniali tancerki i unosili je wichrowym lotem. Zadowolony Sartaski częstował winem swoich gości, ale prawie równie szczerze darzył butelkami muzykantów. Na Bodzia patrzył rozpromieniony. Z demokratyzmem ordynata żył się, ale w Bohdana pod tym względem nie wierzył. Wiedział, że jest bystry i energiczny, lecz posądzał go o bardziej arystokratyczne cechy. Przekonał się obecnie, że jest inaczej. Młodziutki Michorowski nie różnił się postępowaniem ani od praktykantów, ani od synów Sartaskiego. Nie wybierał panien z lepszymi nazwiskami, jedynie to, co go porywało, to chyba uroda. Ale tańczył ze wszystkimi bez wyjątku. Wyciągał z kątów skromne panienki, domowniczkę, co nawet wywołało pewien grymas na ustach wyżej urodzonych. Sartaski cieszył się. Patrząc na ordynata i Bohdana, myślał:

„Czy to tylko jest w ich rodzie, czy w ogóle pleśń magnacka się przeciera!”

Lecz co do ogółu, miał jeszcze wątpliwości.

XXXI

Bohdan na wiosnę był na posadzie w dobrach rusłockich na Wołyniu. Właściciel, książkę Poniecki, mieszkał w głównym kluczu, prawie Bohdana nie widywał, gdyż ten, jako jeden z pomocników zarządzającego, przebywał stale w odległym folwarku Jary. Michorowski pracował od świtu to nocy. Nie czytywał, nawet ulubionych rysunków zaniechał.

⁷⁰*pro publico bono* (łac.) — dla dobra publicznego. [przypis edytorski]

Wieczorem, upadając ze zmęczenia, zasypiał snem twardym i doznawał wrażeń, że ktoś wali nań ogromne złomy kamieni. Budzono go przed wschodem słońca bez żadnych względów.

Praca i obowiązek wzięły go w swój gniojący tryb mozołu. W duszy młodzieńca powstawał bunt, lecz nieubłagana konieczność miażdżyła go.

Gdy maj rozkwitł w całej swej świetności, gdy natura wrzała życiem i pożądaniem, oceany białych kwiatów pokryły sady, lasy tryskały kwieciami, łąki wieńczyły swe czoła, Bohdan rwał się jak na łańcuchu. Wściekła przemoc tęsknoty za swobodą szarpała go niby obcęgami. Biec chciał na przepadle, byle otrząsnąć się z tego jarzma, byle dalej.

Zamierał z szumnych porywów życia.

Stał na polu buraczanym, dozorując pielienia, ale patrzył jak błędny na gromady kobiet, schylonych nad pracą. Często nie pojmował, co mówili do niego ekonomowie lub zarządzający, który sprawdzał pomocników. Wolął już ślęczeć przy biurku w kancelarii administracyjnej, snując niezliczoną ilość cyfr lub pisząc raporty. Wtedy nie widział przestrzeni, nie wciągał w nozdrza zapachu rozprażonej ziemi; mniej tęsknił. Zanurzał się w liczbach i nabierał humoru. Powierzone sobie księgi, rachunki prowadził tak sumiennie, że zarządzający obiecywał mu wyrobić posadę sekretarza. Bodzio uśmiechnął się ironicznie, trochę boleśnie.

Za to na polu zawsze irytował zwierzchnika, im ostrzejsze otrzymywał wymówki, tym bardziej stawał się niepoprawny. Stał raz na rozległym polu, pilnując fernali⁷¹ orzących zagony kartofli. Nudził się i ziewał.

W przejrzystym powietrzu cudnego poranka oddalone pola, jary obrosłe rozkwitłą tarniną, ciemne lasy — nabierały plastyki niesłychanej. Zdawało się, że horyzont, rozjaśniony do najdalszych krańców, skupia się i kładzie jak na dłoni najdrobniejsze szczegóły. Siny pasek źródła płynącego pod tarninami był tak wypukły, że Bohdan widział na nim z daleka nawet drobne falki. Pojedyncze kiście kwiatów białych chwiały się lekkim oddechem, gromada pszczół obsiadła krzewy, rywalizując z motylami, które wyglądały jak rozwiane piórka rajskiego ptaka.

Bohdan szedł wolno środkiem pola, bruzdami przemykał się do nęcących go tarnin. Głowę podniósł w górę i wisiał cały wśród błękitu, chwytając wzrokiem pajęczynki obłoczków; rozmarzone źrenice ścigały lot ptaków, tnących z impetem lub łagodnie ogrom powietrzny. Gdy skowronek wbijał się w błękit pyłkiem coraz drobniejszym, Bohdan szeptał z głębi swej duszy utęsknionej:

— Geniuszu swobody, potężny znawco lotu, ptaszyno, unieś mnie tam, unieś...

I coś go brało za gardło — rzewnie, ale dusząco, aż uczuł ból od napływających do oczu łez.

A w przestworzach było tyle pędu życiowego, taki szalony żyzny wicher miłości i żądz namiętnych gnał wskroś pól rozkwitłych, wskroś szafirowych baldachimów leśnych i wiorował rozkosznie, i targał sokami ziemi, i upijał odurzającym swym nektarem wszystko, co żyło.

Bohdan w kilku susach dopadł do gaju strojnych tarnin i rzucił się w nie jak młody zając w sałatę. Kolczaste gałęzie darły mu ubranie, kaleczyły ręce, do twarzy sięgały, ale Bodzio sam zanurzał głowę w najobfitszych splotach kwieciami i zdawał się polykać je pragnieniem gorących uczuć. Biegał wśród krzewów, ogarniał je ramionami.

Spłoszone ptaki wylatywały z gniazd z kwileniem głośnym. Kuropatwy furknęły mu spod nóg. Wówczas zatrzymał się.

Cicho usiadł pod najpyszniejszym krzewem, zmartwiony, że zmącił swobodę ptakom. Uspokojone ciszą powracały, on zaś przemawiał do nich jak do ludzi. I znowu biegł dalej łąkami, napawał się widokiem źródła, aż wszedł do lasu i stanął nad brzegiem dużego jaru. Prostopadle spod stóp Bohdana spadały ściany porośnięte odłamami skał. Kamienie pokryte mchem zielonym i siwym tworzyły tu piramidy i grotty, jakby ręką ludzką ułożone. Rosły brzozy płaczące, wieczną melancholią owiane, jakby i z maja, i z życia nierade. Młode dębczaki panoszyły się butnie, buki, klony i sosny pokręcone fantastycznie. Leszczyna rozwija się szeroko, a tu i tam bielily się śniegiem kwieciami rozkwitłe czeremchy. Na samym

⁷¹fornal — najemny robotnik rolny. [przypis edytorski]

dnie jaru z hukiem toczyła się wąska rzeczulka poprzerynana porostami kamiennymi, na których woda pięła się w wirach i skrętach.

Naprzeciw Bohdana, w perspektywie utworzonej pomiędzy drzwiami, widać było frontowy szczyt pałacu w Ruslocku. Słońce grało ogniście na blaszanym dachu, migotliwie krzesła płomyki w oknach szczytowych. Bohdan patrzył, patrzył i smutek okrył go niby płachtą żalobną. Twarz mu zmierzchła, chłód powiał od rzeczulki i wilgocią przejął aż do kości. Pałac ten przypominał mu Czerczyn, ale przede wszystkim Głębowicze. Rok spędzony w ordynackim zamku pozostawił w duszy Bohdana niezatarty, żywy blask. Wspomnienie dzieciństwa w Czerczynie, nauki, zabawy po świecie, były jakby odległą nutą, poprzedzającą tylko pyszny akord końcowy. Bohdan kochał Głębowicze i kochał ordynata, chociaż od czasu podjęcia posady w Ruslocku czuł do Waldemara w duszy swej jakiś drobny, niedający się określić żal, żal ten wzmagał się, gdy mu było bardzo źle, nikł prawie bez śladu, gdy jakieś przelotne wrażenie natchnęło go otuchą. W marzeniach swych widywał Waldemara z Lucią, skojarzonych już, i tęsknił nie tylko za nimi, Ramzesem i Haneczka, lecz i za pluskiem rzeki głębowickiej, i za gwarą drzew parkowych. Z rozrzewnieniem przypominał sobie swój pokój, gdzie usługiwał mu wyproszony u ordynata Murzyn, dozorca sal myśliwskich. Rozczulał się na wspomnienie robotników, którym dawał książki do czytania, strzelców zwierzynieckich, nawet ogrodów i buldogów z psiarni. Czerczyn oddalił się od jego myśli i uczuć jak obrazek zapamiętany z dziecinnej książki. Obojętność matki i brata były jedną więcej kartą, jaka go przesłaniała.

Ruslocka Bohdan nie lubił, do książąt Ponieckich nie mógł się przekonać. Patrzył teraz na ich błyszczący pałac i myślą leciał do Głębowicz. Zadrżał, usłyszawszy głośny tętent. Tuż przy sobie ujrzał nagle zarządzającego Holewicza, który osadził konia prawie na plecach Bohdana.

— A! Tak! Spodziewałem się tego! Pan tu patrzy, a tam groch z kapustą porobili! — krzyknął Holewicz.

Bodzio się zmieszał.

— Z pługami?... Co takiego?...

— Idź pan, zobacz, to się dowiesz! Parobcy pospali się na zagonach, tymczasem konie po kartoflach tratują. Do stu diabłów! Postawili pana tam, to pilnuj!

W Bohdanie ocknął się arystokrata. Wyprostowany, obrzucił dumnym wzrokiem Holewicza i rzekł z naciskiem:

— Niech pan raczy odzywać się uprzejmiej. Proszę!

Zarządzający zdumiał się. Ale postawa Bodzia jego z kolei zmieszała.

— Cóż to, może pan tu nie winien?... — rzekł spokojnie.

— Tak, po części jestem winien... lecz wymagam innego tonu; takiego jak pański nie zniosę. Do dozoru zaś nad parobkami niech pan stawia ekonomów. Ja odmawiam stanowczo.

— Pan jesteście przez księcia naznaczony na mego pomocnika i ode mnie zależy, gdzie pana stawiać będę.

— Ale do księcia jestem przysłany przez mego wuja, który nawet księciu nie pozwoliłby na ubliżanie mi, tym bardziej panu — odparł Bodzio.

Zawrócił i poszedł w las, nie zważając na Holewicza.

Bohdan od tej pory przeważnie zajmował się sprawami administracyjnymi. W pole wyruszał w chwilach wolnych lub w święta; wówczas swobodnie puszczał myśli w lot bezkresny.

XXXII

Z kancelarii Holewicza Bohdan wyszedł uśmiechnięty. Zręcznie wskoczył do bryczki i ruszył w drogę. Jechał do sąsiedniego majątku, Hulanki, do obywatela Wyroczyńskiego. Wiózł tam jakieś rachunki, pieniądze i list od Holewicza.

Bodzio cieszył się podróżą kilkumilową po pięknych okolicach wołyńskich, a wraz z nią — swobodą.

Gdy bryczka wytoczyła się z folwarku na drogę wśród dojrzałych zbóż, Bohdan zaczął gwizdać. Radośnie biegł wzrokiem po falistych rozłogach, strojnych w perskie dywany oziminy i jarzyn. Uczuł zadowolenie i błogi spokój. Te kilka godzin, które miał przed sobą,

wydawały mu się nową erą jego obecnego życia. Puścił wodze fantazji i wpadł w zadumę, chwilami tęskną, chwilami graniczącą z szałem.

Zły był, gdy w samo południe bryczka stanęła przed gankiem w Hulance.

Młody Michorowski wszedł do sieni.

Ukazał się lokaj w błyszczącej liberii, na której złote guzy były się z lampasami, lampasy z mniejszymi guzikami i kampasikami. Wszystko razem oślepiało i zarazem drażniło.

Bohdan patrzył na jaśniejącego lokaja niby na błazna z lichego cyrku. Usta złożyły mu się do uśmiechu.

— Czy jest pan?

Lokaj nic nie odpowiedział; otworzył drzwi i wpuścił Bohdana do dużego gabinetu.

Michorowski rozejrzył się. Był sam.

Rzucił kapelusz na krzesło i przechadzał się wzdłuż pokoju, rozprostowując nogi po podróży. Z ciekawością oczekiwał Wyroczyńskiego. Wiedział o nim, że jest bogaty, że się „jakoś tam tego” dorobił majątku, że jest bardzo sprytny i dumny.

Przepych gabinetu w tym samym stylu, co liberia lokaja, nasuwał pytanie, w jakim „rynsztunku” wystąpi właściciel.

Bohdan czekał długo, chodził, chrząkał, kaszłał.

Drzwi skrzyknęły. Wszedł Wyroczyński.

Jego okrągła figura zarysowała się w gabinecie okazale. Upierścienione palce zanurzył lekko w kieszeniach ubrania i spojrzał na Bohdana spod brwi, schylając głowę, jakby patrzył pod światło.

Michorowski skłonił się uprzejmie i podszedł bliżej w celu powitania. Miał już wypowiedzieć swe nazwisko, gdy osadził go na miejscu sztywny bas Wyroczyńskiego.

— Czy to z Jarów?...

Bohdan zaciął wargi. Doznał jakby uderzenia w twarz.

— Z Jarów.

— Jak godność... — indagował dalej Wyroczyński, nie zbliżając się i nie wyjmując rąk z kieszeni.

— Mi... o... ski — wykrztusił Bodzio, dusząc się z gniewu.

— Czy z rachunkami od Holewicza?

— Tak.

Wyroczyński wyciągnął rękę po papiery.

Michorowski rachunków szukał długo, trzęsąc się z oburzenia, palce latały mu niesfornie, krew opływała go burzą płomieni.

— Proszę prędkiej, prędkiej! — nalegał obywatel.

Bohdan wydobyl papiery z portfela i chciał rzucić je Wyroczyńskiemu, plunąc i natchmiasz wyjechać. Ale zadziwiająca siła woli opanował się. Wzgarda mu dopomogła. Spokojnie wręczył paczkę wraz z listem tłustemu jegomościowi, tylko rękę cofnął prędko, jakby jej nie ufając.

Wyroczyński dostrzegł gwałtowny ruch, spojrzał przelotnie na wzburzoną twarz młodzieńca.

— Proszę poczekać tu — rzekł wyniośle.

Zrobił dłonią ruch, wyraźnie wskazujący miejsce przy drzwiach w progu.

Bohdan jak ryś rzucił się całą figurą naprzód, lecz się powstrzymał. Zacisnął zęby, aż zgrzytnęły.

Wyroczyński już tego nie widział, szedł do biurka odwrócony plecami. Usiadł na wspaniałym fotelu, rozparł się, założył grube nogi jedną na drugą i bogatym nożem wolno rozcinał kopertę.

Bohdan został przy drzwiach zupełnie zapomniany.

Wrzało w nim. Nerwy waliły w pulsach niby huk raz po raz padających piorunów. Przechodził piekielne katusze zniewagi, mękę zduszonej w sobie dumy. Ale krzepił się ironią, ona była mu teraz siostrą miłosierdzia. Stał ogłuszony przez krótki moment. Potem podniósł głowę śmiało i wyzywająco patrzył na pękatą postać rozwaloną przy biurku. Lewą ręką zaczeplił o guzik od kamizelki, w prawej miętosił rękawiczki, rwąc ich skórę z pasją.

Trzymał się na wodzy, drżał, ale czekał.

Nagle Wyroczyński zdjął jedną nogę z drugiej i ociężale, jednak prędko, powstał. List trzymał otwarty, twarz wielka, lśniąca, rozszerzyła się zakłopotanym, lecz bardzo uprzejmym, niemal pokornym uśmiechem. Szedł do Bohdana, rozłożywszy ręce.

— Ach! Czego się dowiaduję! Mam honor... pana Michorowskiego?! Bardzo, bardzo uniżenie witam! Wprawdzie fama niosła nam, że Rusłock posiada... tak znakomite... nazwisko, ale któż przypuszczał?! Witam szanownego...

Wyciągnął obie dłonie z miną rozkoszną. List spadł na podłogę. Bohdan cofnął się o krok, nie zmieniając pozycji. Patrzył jak przez szybę lodu.

Ramiona Wyroczyńskiego chwiały się gościnnie do rąk Bohdana. Lecz ten ich nie podał. Stał bez ruchu i głosu.

Wyroczyński zrozumiał.

Dłonie mu opadły, twarz zrobiła się aż fioletowa od krwi. Wybełkotał w okropnym pomieszaniu, nie wiedząc, co mówi:

— Wszak pan... kuzyn ordynata Michorowskiego?... Nie wiedziałem... Chociaż fama niosła...

— Żałuję, że ta fama — odpowiedział Bohdan — nie ostrzegła mnie, że Hulanka posiada taki okaz, jakim pan jesteś, gardzący ludźmi pracy. Teraz wiem i wszelkie kwestie z panem załatwiać będziemy przez pocztę, bo nawet pastucha nie chciałbym tu przysłać. Żegnam.

Słowa te padały jak szpicróżgi.

Bohdan wyszedł z gabinetu.

Uspokoił się dopiero w polu. Długo kłął w myśli, czasem głośno, wreszcie machnął ręką.

XXXIII

W związku z imieninami księcia Ponieckiego cała wyższa administracja Rusłocka i przyległych folwarków zaproszona została na przedwieczorną herbatę. Zastrzeżenie „przed” było wyraźne. Potem miał być zjazd i bal dla arystokracji. Należało z administracją załatwić się wcześniej. Bohdan otrzymał wyłączną kartę od księżnej, zapraszającą nader uprzejmie już na obiad i na bal. Ale Bodzio od czasu swej bytności w Hulance solidaryzował się więcej z kolegami. Stał się ich szczerym przyjacielem. Własne porywy dumy magnackiej powstrzymywał umiejętnie, mając zawsze w pamięci brutalność Wyroczyńskiego. Odpisał księżnej, że zjawi się razem z kolegami przed wieczorem.

Przy herbacie Bodzio został umieszczony w bliskim sąsiedztwie księżnej, która siedziała przy stole. Książę natomiast wciąż spacerował. To zapalał cygaro, to zaglądał w okno. Przysiadł obok żony rzadko i na krótko. Odzywał się mało, rzucając przeważnie pytania. Panowie z administracji odpowiadali z mniejszym lub większym pośpiechem i w uroczystym skupieniu. Poniecki słuchał ich z uśmiezkiem pobłażliwo-apatycznym. Często także przemówił coś do żony w obcym języku, wprawdzie przyciszonym uprzejmie głosem, lecz przez to pogarszając tylko wrażenie. Bodzio się zdumiewał. Jakoś do innych porządków przywykł w Głębowiczach, a może już miał w swych żyłach krople innej krwi niż Ponieccy. Jednak bogata sala jadalna, rój lokajów wyfrakowanych, ogólna atmosfera maglinacka trochę na niego podziały. Mimo woli wchłaniał w siebie hojnie tu rozsypaną wielkość. Ożywił się, nabrał kolorów. W źrenicach miał wyraz już przyćmiony, trochę butny. Prostował smukłe plecy, głowę podnosząc wyżej, ruchem arystokratycznym.

Gawędził wesoło z księżną, ale po polsku. Księcia subtelnie ignorował. Pomimo bowiem wsiąkania w swe właściwe ramy, odczuwał nietakt Ponieckiego. W poczuciu swej wyższości był uprzedzająco grzeczny dla kolegów, zarazem wyróżniając siebie od nich, lecz bez objawów zewnętrznych. Bodzio obiecywał sobie zostać na wieczór i bawić się dobrze w tych swojskich warunkach. Oboje księstwo wyróżniali go wyraźnie. Bohdan czuł, że mu się to należy, ale rozkosz tego wrażenia psuł mu pewien niesmak. Chcąc go złagodzić, zwracał się z serdecznym słowem lub z dowcipem filuternym do kolegów i cieszyło go ich zadowolenie. Książę krzywił się na to nieznacznie, w duchu myślał: „natura Michorowskich” — i wielce był dumny, że się zowie Poniecki.

Zanim skończyła się proszona herbata, nadjechało kilka osób z sąsiedztwa, oczekiwanych na godziny późniejsze.

Księżtwa powarzyły się humory.

Jednym z przyjezdnych był hrabia zamieszkały w okolicy. Mówił powoli, łaskawie, patrząc w ziemię. Nad wyraz wstrzemięźliwie witał zebranych oficjalistów. Zdziwienie na ich widok osiadło w jego podniesionych brwiach, kręcił głowę. Księżę stał się jeszcze bardziej roztargniony. Miał już odpowiedniego partnera do rozmowy, ale dawał lekkie znaki księżnej, aby skróciła posiedzenie przy stole.

Do przedstawionego Bohdana hrabia poufale wyciągnął rękę.

— A! Z przyjemnością witam przedstawiciela rodu Michorowskich — rzekł z emfazą.
— Wszak głębowicka linia?...

— Nie, hrabio, tylko czerczyńska — odrzekł Bodzio.

— To, to samo, to samo. Znam, znam ordynata! Działacz, społecznik! A pan tu zapewne lekko praktykuje? — dodał hrabia z figlarnym grymasem porozumiewawczym.

— O tak! Naturalnie! — wyręczył Bodzia w odpowiedzi sam księżę Poniecki.

Bohdan się zmieszał. Może nie przyznałby, że właściwie jest oficjalistą, lecz interwencja księcia i jego uśmiech pobłażliwy zirytował go. Odparł dość szorstko.

— Przeciwnie, hrabio, pracuję na chleb bo... muszę. Praktykantem nie jestem.

Księżtwa i hrabia stropili się nieco, ale koledzy Bodzia spojrzeli na niego z uznaniem i to było mu nagrodą za dużą przykrość.

Wszedł nowy gość, zamożny obywatel. Witał zebranych z uprzejmą serdecznością bez wyjątków. Przemawiał tak samo do księcia, jak i do Holewicza. Jedynie z uwzględnieniem dla tytułu Ponieckiego. Hrabiemu radośnie podał prawicę.

— A! Kochany sąsiad! Moje uszanowanie.

— Witam mego plan... ta... tora — wycedził hrabia mniej gorąco oraz mniej żarliwie potrząsnął ręką obywatela.

— Cóż to za tytuł? — spytał cicho Holewicza Bohdan.

— A to, widzi pan, ten obywatel plantuje buraki do cukierni hrabiego, hrabia zaś, korzystając z sytuacji, nigdy go inaczej nie nazywa, jak tylko plantatorem. To także rodzaj wyższości.

Bodzio odczuł ironię w głosie Holewicza, ale i sam skrzywił nos.

Przez cały czas rozmowy hrabia istotnie przemawiał do obywatela, zawsze go tak samo tytułując. Obywatel marszczył się, było mu przykro, ale na tym poprzestawał.

Panowie z administracji prędko sami zrozumieli, że czas się wycofać, zaczęli się żegnać. Księżna wobec wszystkich zwróciła się nagle do Holewicza. Minę miała nieobiecującą:

— Czy pan pisał do hrabiego Borelskiego, mego ojca, list w kwestii gorzelni?

— Tak, proszę księżnej pani.

— A to szczególnie! Wie pan, że podziwialiśmy w Belcinach ten list. To list wprost koncertowy, niesłychany.

Holewicza odczuł niewyraźną jeszcze kompromitację.

— Dlaczego, proszę księżnej pani? — spytał głosem niepewnym.

Księżna mówiła teraz wyłącznie do obecnego hrabiego:

— To był bajeczny list. Proszę sobie wyobrazić nagłówek: „Szanowny panie!”... Do mego ojca!... Ha! ha! I poza tym w całym liście, dość długim, ani wzmianki żadnego więcej tytułu. To specjalna umiejętność: prawda?...

— Hm! Istotnie — mruknął hrabia, pilnie patrząc w ziemię. Nawet jemu było nieswojo.

Księżę chodził tylko po pokoju, na ustach błąkał się niby uśmiech zakłopotania, niby oburzenia.

Księżna ciągnęła dalej, ubawionym tonem:

— Ten list ojciec mój schował do archiwum. W zbiorze wszelkich osobliwości hrabiów Borelskich będzie unikatem. „Szanowny panie” i nic nadto?!...

Zaśmiała się nerwowo, niemal ze spazmem.

Holewicza stał ogłuszony, jak obity szyderstwem.

Wszyscy byli niewymownie zmieszani.

Księżna, nie zwracając już uwagi na obecność administracji, odwróciła się do męża i hrabiego. Lecz spostrzegłszy, że Holewicza złożył głęboki ukłon i odchodzi wraz z innymi, prędko podeszła do Michorowskiego.

— Panie Bohdanie, pan zostaje z nami, tylko przebierze się pan, naturalnie. To jeszcze potem, jak zbiorą się damy.

— Prosimy bardzo. Ale nawet już prosiliśmy! — dodał książę.

Bodzio oprzytomniał. Otrząsnął się z osłupienia i z szalonego gniewu.

— Dziękuję jasnie oświeconej księżnej pani za łaskawość, lecz odchodzę z kolegami — odrzekł, mocno akcentując słowa, zwłaszcza tytuł.

Skłonił się i wyszedł razem z Holewiczem.

W sieniach podał rękę zarządzającemu. Usta Bodzia trzęsły się, twarz była wzburzona. Nie rzekł nic, uściśnął przyjacielsko dłoń zwierzchnika z serdecznym spojrzeniem, które tamten odczuł i ocenił.

Bodzio w wyobraźni ujrzał się w przyszłości w położeniu Holewicza. Pochlebiał sobie tylko, że lepiej zna wymagania arystokratyczne i formy wobec nich obowiązujące.

XXXIV

Pani Kornelia Michorowska w jesieni znowu przyjechała do Głębowicz. Zarzuciła ordynata mnóstwem wyrzutów z powodu, że Bodzia zrobił ekonomem.

— Nigdy nie sądziłam, aby kuzyn tak źle z nim postąpił. Taki delikatny chłopiec, taki wątył, i on: do takiej pracy?!...

Ordynat tłumaczył, jak umiał, że Bodzio nie jest ekonomem, że pisze listy, z których widać, że jest zadowolony i cieszy się z rezultatów swej pracy. Ale pani Kornelia nie dała się przekonać.

— To nie zajęcie dla Michorowskiego! Ach, mój Boże, gdybyż to mój mąż widział?!... — wzdychała dama przesadnie.

— Gdyby żył ojciec, Bohdan nie zostałby zrujnowany — wybuchnął ordynat. — Teraz musi pracować, bo w przeciwnym razie nie będzie miał z czego żyć. U mnie na łasce nie zostanie: za dużo ma ambicji i za to nie wolno go ganić.

Waldemar przypomniał pani Kornelii jej własne słowa, jakie skierowała do Bodzia na temat tracenia pieniędzy ordynackich.

— Wobec tego nie pojmuję dzisiejszej niekonsekwencji. Kuzynka wyrzekła się go, a teraz chce mu zabronić pracy? — dodał podrażniony.

Pani Michorowska poczuła się jakby przyłapana. Sama nie wiedziała, czego chce, jadąc tu, i odjechała z niczym.

— Bodzio wyrabia się i będzie człowiekiem; ale chcąc nim zostać, musi poznać wiele spraw — rzekł jej ordynat na pożegnanie.

Sam jednak postanowił odwiedzić Bodzia. Ale najpierw był w Skłodkowcach. Pani Idalia, przebywszy lato z córką i ojcem, znowu wyjechała za granicę i połączyła się z Barskimi.

W kołach arystokratycznych mówiono nawet, że baronowa wychodzi za hrabiego Barskiego.

Ordynat wzruszył ramionami. Pan Maciej smutnie kiwał głową. A Lucia rzekła tylko:

— Możliwe i to.

Patrzyła na Waldemara z niemym błaganiem, jakby u niego szukając pociechy w swym sieroctwie. A on przyjeżdżał często, mówił do niej dobre, miłe słowa i Lucia była szczęśliwa.

Gdy Waldemar przyjechał do Słodkowic przed podróżą do Rusłocka, pan Maciej spał. Lucia malowała na tarasie. Przywitali się serdecznie i siedli oboje przy sztalugach, w cieniu drzewa pomarańczowego. Waldemar zapalił cygareto, Lucia rozcierała farby na palecie. Na sukni miała obszerny fartuch malarski z czarnej satyny, warkocze spuszczone na plecy.

Waldemar patrzył na jej profil owalny, obrzucał ją całą miękkiem wzrokiem.

— Czemu ty, Luciu, ubierasz się zawsze tak żałobnie? — spytał.

Milczała chwilę.

— Taki już mam gust. Zresztą...

— Dokończ.

— Zresztą to mimowolne. Wewnętrzny stan duszy odbija się na formie zewnętrznej.

— Więc zawsze tak ci smutno?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i z wymówką.

— Zawsze.
 — I... dlaczego?...
 — Żartujesz ze mnie, Waldy? — odrzekła sucho.
 On rzucił cygaro.
 — Nie żartuję, lecz uważam, że Słodkowce są dla ciebie zabójcze. Powinnaś wyjechać.
 Spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem.
 — Dokąd?
 — Aby z Słodkowic! Ja zaopiekuję się dziadkiem, ty zaś pojedziesz z babką Podhorecką do Paryża. Lubisz ją, prawda? Ona bardzo tego pragnie. Wyjeżdża na całą zimę.
 — Ja nie pojedę — stanowczo rzekła Lucia.
 — Nawet gdyby cię o to prosił dziadzio?...
 — Nawet wtedy. Dziadzio mnie przed rokiem z mamą wysłał za granicę, jednak nie pojechałam.
 — A gdybym... ja cię o to prosił?...
 Lucia przybladła. Zaczęła prędko mrugać powiekami, ale łzy nie dały się zatamować. Zaszklily na rzęsach bujnymi kroplami.
 Waldemar pochylił się do niej, delikatnie otoczył ją ramieniem i trochę przygarnął do siebie. Lucia omdlewała.
 — Czy wtedy pojechałabyś?... — spytał szeptem.
 — Chcesz się mnie pozbyć?... — jęknęła i łzy spadły na farby.
 — Ale pojechałabyś?
 — Tak...
 Paleta z brzękiem upadła na posadzkę tarasu. Lucia siedziała sztywna, z oczami przy-
 mkniętymi i ze zwieszoną głową.
 Niewypowiedziane uczucie radości i słodczy ogarnęło Waldemara. Przyciągnął ją bliżej, przechylił jej głowę na swe ramię i wpił się ustami w jej zapłakane oczy. Upoje-
 nie, równe chyba niezemskim wizjom, wzięło Lucię w swój szlak promienny. Zamierała w cudnym pół-śnie, pół-jawie. Rzęsiste, a palące iskierki szczęścia obsypały ją całą. Za-
 chwył sięgał zenitu, gdy usta Waldemara przycisnęły rozchylone wargi Luci.
 Błogość i szal runęły na nią potężnie, zatracając ją w niepamięci, w ekstazie bez wyjścia. Tylko te gorące usta ukochanego były dla niej wszystkim. Cały świat wokół niej przestał istnieć. Czowała w sobie boskość.
 Gwałtowna, niepojęta siła oderwała nagle Waldemara od ust Luci. Zatrząśł się i błąd, nienaturalny, ucałował jej rękę, nie patrząc w oczy.
 — Wybacz mi! — szepnął niespodziewanie.
 Lucia, rozjaśniona jak majowe słońce, przytuliła się do niego z ufnością dziecka. Głowę swą jasną złożyła na jego piersiach i spytała:
 — Waldy... Dlaczego ty mi każesz jechać?
 Waldemar pogładził dłonią jej lśniące włosy. Był zmieniony na twarzy.
 — Zapomnij o tym i... zostań — wyszeptał.
 Ona rozkosznie objęła ramionami jego szyję.
 — Dobry, jedyny... ukochany! — mówiła bezpamiętnie, z głębi kipiącej miłością duszy.
 Ucałował ją w czoło, ale już inaczej, po dawnemu. Chwila minęła, szal uleciał w po-
 szumie nieprzyjaznej fali myśli.
 Łagodnie odsunął ją od siebie i powstał. Brwi miał zmarszczone, w oczach niepewność i jakby żal.
 — Może się przejdiesz? — zaproponował Luci.
 Odpowiedziała mu rozmiłowanym spojrzeniem.
 Długo chodzili po parku, rozmawiając niby poufnie, ale z trudem, o rzeczach zwy-
 kłych.
 I męczyli się oboje.

Pocałunek

Ordynat jechał do Rusłocka. Na jednej ze stacji centralnych spotkał książąt Ponieckich. Wiedział, że ich nie ma w Rusłocku, dokąd dążył, ale też spotkania nie pragnął. Księstwo natomiast witali go z pietyzmem.

Waldemar pytał o Bodzia, księżna wystąpiła ze skargą, niby to utrzymaną w tonie żartobliwym, lecz tak, by ordynat mógł odczuć w jej słowach jad i ironię.

— Ach! Pan Bohdan? To skończony socjalista.

— Czyżby?... — zdziwił się Michorowski.

— Ależ tak! Ordynat pojęcia nie ma, jakie on w Rusłocku głosi idee, jakie podsuwa nam projekty... Zakrawa trochę na chłopomana.

— Doprawdy? Przestrasza mnie księżna! Cóż on tam robi?

Księżę pobłażliwie mrugnął oczami.

— No, nic złego, nic złego...

Poniecka się gorączkowała.

— Niech ordynat sobie wyobrazi, że pan Bohdan inicjuje u nas coraz nowe instytucje. Jakiś tam szkoły, jakieś kolejki wąskotorowe z lasów, aby się chłopci nie męczyli pracą. Słyszane rzeczy.

— No, no! Rzeczywiście!... Bajeczny!... — potakiwał Waldemar, dusząc się ze śmiechu, czego jednak księstwo nie spostrzegł.

— Albo jego filantropia? Wprost skandaliczna!... Rozbałamuca nawet służbę.

— Ale z administracją jest w zgodzie, o ile słyszałem?

— Zapewne! Bo ich także psuje swym liberalizmem. Mają w nim poplecznika. Do tego dochodzi, że się z niektórymi przyjaźni!

Księżę wciąż uśmiechał się uprzejmie.

— Tak, to jest młodzieniec nierokujący wielkich nadziei — mówił, sylabizując słowa. — Jego pochłoną niskie wartości społeczne. To nie jest karmazyn⁷², chociaż z nich pochodzi.

Usta ordynata zaczęły się przeciągać w krzywą linię szyderstwa, ale milczał.

Księżna trzepała dalej. Oczy jej, duże, czarne, nazbyt wypukłe, błyszczały chęcią zemsty.

— Niech ordynat wyobrazi sobie, co on mnie zrobił: Jechałam raz do kościoła z boną⁷³ i z dziećmi. Dzieci lokaj wiózł kucami, pana Bohdana zaprosiłam do powozu obok siebie. Bona naturalnie usiadła na przedzie. Tymczasem ten dziwoląg sam usiadł na przedzie, a tej starej babie wskazał miejsce przy mnie.

Ordynat zaśmiał się serdecznie. Wyobraził sobie wyłączną elegancję Bodzia i oburzenie księżnej. Najzabawniejsza jednak musiała być mina bony, nieprzyzwyczajonej w Rusłocku do takiej uprzejmości.

— Pan się śmieje? — zdziwiła się księżna.

— A to smarkacz ten Bodzio! I jakże się ta historia skończyła? — pytał ordynat zdławiony śmiech.

— Kazałam bonie zająć właściwe miejsce, jemu zaś zwróciłam uwagę. Ale... to na nic!

— Znowu babę przetransportował na siedzenie?

— Nie! Wysiadł z powozu, podziękował mi za towarzystwo i do kościoła pojechał z rządcą prostą bryczką.

— Fenomenalny Bodzio! No, no — lekko kpił ordynat.

— Albo jeszcze: namawia nas, żeby pobudować letniska nad jakimś tam ukochanym jarem, a wie pan dla kogo? Oto dla biednych suchotników, którzy nie mają na inne kurorty. Cały plan takich domków przedstawił nam i twierdzi, że mieszkanie i utrzymanie dla tych... miłych gości powinniśmy dawać bezpłatnie, bo nas stać na to. *Voyez vous*⁷⁴? On rozporządza naszym majątkiem.

— To dopiero śmiały! Oburza mnie niesłuchanie!

Księżę zauważył wreszcie, że ordynat odzywa się jakimś szczególnym tonem. Dotknięty przykro księżę przypomniał sobie nagle, że ma przed sobą również Michorowskiego,

⁷²karmazyn — tu: szlachcic. [przypis edytorski]

⁷³bona (daw.) — wychowawczyni małych dzieci w bogatych rodzinach. [przypis edytorski]

⁷⁴voyez vous? (fr.) — dosł.: widzi pan? [przypis edytorski]

którego opinia mniej więcej się zgadza z opinią Bodzia. Poniecki mrugnął dyskretnie na żonę. I ona się zmieszała. Zaczęła zagadywać o czym innym i prędko pożegnali ordynata. Gdy znikli w drzwiach sali pierwszej klasy, Waldemar zaśmiał się swobodnie.

— *Tableau*⁷⁵! — zawołał prawie głośno.

Michorowski zmienił zamiar; zamiast do Rusłocka, wstąpił naprzód do Biało-Czerkas. Tam, błędząc po lasach, snując się po staroświeckich komnatach pałacu, rozmyślał o Bodziu. Chwilami ogarniał ordynata gniew głuchy, że Bohdan zajmuje posadę u takich ludzi, jak Ponieccy. Jakież wpływy oni mogą wywierać na jego młody i wrażliwy umysł? Najgorszy! A jednak Bodzio widocznie się nie poddaje. Wygłasza śmiało swoje idee i może one zahartują się w warunkach przeciwnych.

Waldemara gnębiły obawy, aby pobyt w Rusłocku nie spaczył dobrych poglądów Bohdana. Uspokajał się jedynie tym, że oboje księstwo, zwłaszcza księżna, byli krańcowymi fanatykami swych pojęć, zacofanych zatem, jak każda krańcowość, i nie mogli być niebezpieczni.

Ordynat, rozmyślając, zanurzał się w niezgłębione cienie parku biało-czerkaskiego, w którym stuletnie drzewa tworzyły bezdenne otchłanie, pociągające ku sobie urokiem dziwnej tajemniczości. Mnóstwo drzew otaczało pałac, ramiona ich rozłożyste pufale opierały się na szarych murach, muskając wyniosłe okna.

Stare dworzysko tonęło w masie drzew, zlewając się z nimi w całość jednolitą i potężną. Sprawiało to wrażenie, że pałac i drzewa otaczające go wyrosły razem i chyba razem przetrwają wieki.

Sztuki w Biało-Czerkasach nie było wiele; natomiast natura niesłychanie bujna, trochę dzika, lecz piękna. Splątane gąszcze róż polnych, kaliny i krzewy kolące leśnej azalii, która na wiosnę rozkwita jaskrawo-żółtymi kielichami, odurza słodką, lecz mocną wonią i wzrostem dosięga człowieka, zwabiały do parku biało-czerkaskiego całe legiony ptaków. Niezliczone stada ich roznosiły jednolity krzyk, prawie niemilknący. Spotykało się tu pyszne okazy ptaków. Dziwnie były łaskawe, nie obawiały się ludzi, gospodarując śmiało wśród drzew jak we własnym państwie.

Gdy na jesieni opadły liście, drzewa i krzewy wyglądały niby oblepione olbrzymimi owocami, były to gniazda przeróżnych kształtów i wielkości.

„Do tej natury wspaniałej i do tych rojów ptasich potrzeba tylko Bodzia; ten by się cieszył” — myślał ordynat.

Napotykać pierzaste kępy paproci, Waldemar zatrzymał się w swej przechadzce i myślał sięgał w przeszłość.

— Miałem tu przyjechać... ze Stefcią, i ona kochała naturę, lubiła paprocie, świętojańskie robaczki; takie mnóstwo ich świeci po nocach tu, w tym parku. Nikt przy ich światelkach nie marzy, nikt nie kocha wśród tęsknych wieczorów. Natura tu żyje sama ze sobą i tworzy coraz to nowe cuda. Dla kogo? Czy zawsze tylko dla siebie?

Czy istotnie bywają takie miejsca, przeznaczone na wieczną pustkę? Tak jak i między ludźmi są osobniki z tęsknotą w sercu nigdy niezaspokojoną, z pustką w duszy nigdy niewypełnioną. Ale zawsze pragnącą, chociaż beznadziejnie.

Ordynat zamyślił się smutnie.

— A ten park? On żyje sam w sobie, ale tęskni i pragnie jeszcze żyć dla kogoś.

XXXVI

Bohdan i Holewicz stali na polu, gdzie kopano kartofle. Szeregi czerwonych spódnic i koszul białych, wyszywanych na ramionach, rozciągały się wzdłuż zagonów. Motyki śmigły żwawo. Gwar rozmów gromadnych rozbrzmiewał po polach, cichnąc lub nagle rwąc w górę z żywiołową siłą. Wrzaski dozorców wpadały jak bity w to mrowie kobiecych głosów.

Obok pola przechodził trakt, poza nim żółciły się i szarzały smutne rżyska, na których już babie lato przewiało swe miękkie włókna. Spokój jesienny szedł od czarnych borów, układał się wygodnie w miedzach i oddychał syty jakiś, ospały. Gęsto rozsiewały się w perspektywie pól długie, ogromne sterty ze zbożem, jak pomniki po minionym lecie. Powietrze przecinało chwilami głośne, pożegnalne gęganie odlatujących dzikich

Praca

Wieś

⁷⁵*tableau* (z fr.) — wydarzenie stawiające jakąś osobę w śmieszny położeniu. [przypis edytorski]

gęsi. Żurawie sunęły na południe krzywą linią, jak wąż piorunowy. Pustką i zarazem dobrobytem tchnęły lany, oswobodzone z ciężarów płodu.

Wiatr ochładzał im czoła, zimnym oddechem przygotowywał do nadciągających z daleka jeszcze mrozów.

I gładził wiatr obnażone ciała pól. Odkryte łona pszeniczne pieścił delikatnie, twarde, szpeciniaste żytniska targał zawzięcie, świszcząc w krótkich źdźbłach.

Smętne uśmiechy słoneczne spadały na odpoczywającą ziemię.

Ostatnie plody wydzierano glebie.

Na trakcie, równoległe z polem pełnym kopaczów, jechał kłusem długi, strojny zaprzęg. Ludzie spoglądali ciekawie.

— Ho, sie z daleka! To nie tutejsze — mówili do siebie kopacze gwarą miejscową.

— To konie biało-czerkaskie — rzekł Holewicz zdziwiony. — Znam te konie. Ale czyżby naprawdę?... Trochę za daleko.

Bohdan się zdumiał.

— Z Biało-Czerkas? Co znowu? Tyle mil?...

Holewicz przypatrywał się uważnie.

Lando zaprzęzone w czwórkę koni zatrzymało się nagle.

— Ano tak! To pewno ordynat. — potwierdził Holewicz.

Bodzio pędem puścił się przez zagony. Krzyknął radośnie, ujrzawszy wychyloną z landa postać Waldemara.

Powitali się z pewnym rozczuleniem.

— Siadaj i pojedziemy — rzekł ordynat.

— Do Rusłocka? Ponięccy wyjechali.

— Wiem. Przyjechałem do ciebie, nie do nich.

Bohdan serdecznie uściśnął mu rękę.

— Dziękuję ci, wuju. Nawet nie myślałem, że dla mnie... zechcesz tyle mil...

— Jechałem rozstawnymi końmi. Ale cóż ci to, Bodziu? Czemuś taki przejęty?

Bohdan smutno spojrział mu w oczy.

— Bo myślałem, że już wszyscy... zapomnieli o mnie.

W głosie jego zadrgał bezmierny żal.

Waldemar się wzruszył.

— Słuchaj, chłopcze, listy piszesz swobodnie, jednak nie wydajesz mi się zadowolony.

Żle ci jest? Mów.

Bohdan ściał wargi. Walczył ze sobą, i Waldemar to widział. Ale młodzieniec odparł spokojnie, nawet z uśmiechem:

— Ha! Wuju: pracuję: to trudno. Minęły dla mnie czasy różane.

— Więc wytrwasz; prawda?

— Tak, do roku. W Rusłocku dłużej nie zostanę.

— Ale wiesz?... Była u mnie twoja matka.

— Pewno z pretensjami? I do mnie pisała oburzona, że pracuję.

— Chce, abys wrócił do Czerczyna i był administratorem Wiktora.

Bohdan z fantazją poprawił czapkę.

— Tego się nie da zrobić — zawołał rezolutnie.

— Wiktora nie ma w Czerczynie.

— A gdzież jest?

— W świecie, jak ty dawniej! — rzekł ordynat, badając wrazenie.

— Jak to?... Traci!...

— Nawet bardzo. Hula, awanturuje się, gra...

Bohdan zbladł, w oczach mignęła mu rozpacz, coś w nich błysnęło wilgotnego.

— Biedna, biedna mama! Dwóch nas ma i obaj... łotry! — szepnął drżącymi ustami.

Waldemar, wzruszony do głębi, objął go i pocałował.

— Jesteś dobry, chłopcze. Nie nazywaj się łotrem; właściwie nigdy nie byłeś nim.

— Wyratowałem się, wuju, przez ciebie. Ale cóż z mamą?

Ruchem zbolałym i tragicznym splótł palce u rąk.

— Ojej! Jak ja muszę wziąć się w kupę i pracować, żeby mamie... Bo Wiktor zatraci ją: on bez serca.

— I bez sumienia, dodaj — rzekł Waldemar. — Jego nikt i nic nie poprawi.
Jechali, milcząc; nagle Bodzio wziął Waldemara za rękę. Przemówił, wahając się, niepewnie:

— Wuju, a co z Lucią?... Czy już... mogę wam... powinszować i cieszyć się?

Waldemar poczerwieniał. Zsunął brwi. Zakłopotanie drgało mu na twarzy.

— Czy... chciałbyś tego? — spytał trochę badawczo.

Bodzio gwałtownie ścisnął jego dłoń.

— Bardzo, bardzo, wuju! Ona godna być twoją żoną i ordynatową głębowicką. Ona cię kocha!...

— No dobrze. To są rzeczy dalsze. Mówmy o twojej pracy i projektach.

Bodzio odczuł w samym tonie Waldemara, że to są rzeczy bardzo bliskie, ale delikatnie zmienił temat.

Był szczerze zadowolony.

XXXVII

W zamku głębowickim uroczyste obchodzono wilię⁷⁶ Bożego Narodzenia.

Stary pan Maciej, otulony troskliwie przez wnuczkę, przyjechał razem z nią.

Po wieszce, w wielkiej sali przyjęć tłum dzieci ze szkoły i z ochronek głębowickiej i słodkowickiej, który przyjechał na kilku saniach, otaczał przepyszną choinkę. Właściwie była to jodła, sięgająca pod sufit wysokiej sali, zatopiona w powodzi światła, lśniąca jak skarbiec z klejnotami. Lucia rozdawała podarki, chodząc wśród gromady dzieci niby ich wieszczka. W gładkiej, czarnej, aksamitnej sukni, ozdobionej tylko sznurem pereł, smukła i wiotka, robiła wrażenie cichej kapłanki. Jej popielate włosy w kontraście z czernią aksamitu mieniły się bogatą masą, żywe i nęcące. Waldemar patrzył na nią uparcie. Przypominała mu się nazwa dana przed rokiem w Warszawie: westalka.

„Tak, ona istotnie ma w sobie coś z westalki: powagę i wdzięk...” — pomyślał.

Bohdan, który przyjechał na święta z Ruslocka, widocznie zauważył to samo. Szepnął do ordynata:

— Wie wuj, że ta Lucia robi wrażenie... mistyczne. Ma w sobie coś tajemniczego...

Przypatrywał się jej jak psycholog, wreszcie rzekł prędko, z akcentem dziwnej pewności i zarazem obawy:

— Tak, takie kobiety bywają albo bardzo szczęśliwe, albo... bardzo nieszczęśliwe. Tragiczne! Połowiczność nie dla nich...

Ordynat, przykro dotknięty, odszedł w inną stronę.

Bohdan nie spuszczał oczu z Luci.

Dzieci po otrzymaniu podarków śpiewały chórem kolędy, potem orkiestra miejscowa zaczęła grać i rozpoczęły się zabawy. Marszałek dworu i ochmistrzyni czuwali nad porządkiem.

Późno w nocy, przed rozpoczęciem w kaplicy zamkowej pasterki, Waldemar, Lucia i Bohdan wyszli na najwyższy taras od strony rzeki.

Noc zimowa była i ciepła, i cicha, ale szara. Chmury popielate rozmazały się po niebie, grożąc zapowiedzią nowych śniegów. Park, obficie zasypany bielą, spał spokojnie. Na jodłach leżały śnieżne kapy, wielkie błamy⁷⁷, niby skóry białego niedźwiedzia, okrywały, hojnie zbite, mnóstwo ciemnych, nagich drzew. Słał się puszysty, śnieżny pokrowiec na marmurowych schodach przystani i wałem białego alabastru otaczał zielonkawy lód na rzece, wymieciony czysto, jak lustrzana posadzka.

Oszroniony zwierzyniec widniał z daleka, niby sędziwy starzec w bujnej grzywie siwych włosów i gęstej, długiej brodzie. Szarość i biel zlewały się harmonijnie. Ponad inne wrażenia górowała senność, obumarłość niezgłębiona.

Waldemar z Lucią stali oparci o balustradę i patrzyli w głębiny parku. Coś stamtąd wołało na nich głosami misterium uroczych, duchy snuły się w czeluściach gąszczów.

Dobrze było im obojgu, nie przerywali chwili.

Lucia zarzuciła na głowę blade-niebieski gazowy welon, w którym twarz jej nikła prawie, tylko oczy gorzały. Były jak gwiazdy w rozwianym tumanie obłoku.

⁷⁶wilię (daw.) — wigilia; dzień poprzedzający inny, szczególnie ważny. [przypis edytorski]

⁷⁷błam — zszyte skóry zwierzęce, tworzące rodzaj pledu; tu przen.: płachta, płat. [przypis edytorski]

A oni stali, stali bez słów.
 Lucia pierwsza szepnęła, jakby lękając się zbudzić śpiącą noc:
 — Waldy... ładnie tu; prawda?...
 — Lubię park w tym stroju. I ten taras — odrzekł.
 — Marzysz tu często?... Zawsze sam!...
 — Nie, z myślami i... z wspomnieniami.
 Lucia zadrżała.
 — Zimno ci? Poczekaj.
 Wyszedł prędko. Wkrótce powrócił, niosąc futrzany płaszcz.
 Otulił nim Lucię. Ona pochyliła się ku niemu całą postacią. Uczuł jej ciężar na swym ramieniu. Błysk jej oczu gorejących przeniknął go dreszczem; ciepło ciała kobiecego zawięją rozkoszną musnęło nerwy. Wstrzymał się, aby nie porwać jej w objęcia. Stał obok niej przy balustradzie, siłąc się na spokój. Lucia przysunęła się bliźniutko.
 — Waldy.
 Waldemar ścierpl. Szept jej był dziwny, jakby pochodził nie z jej własnych ust, jakby mówiła najgłębsza tajnia jej istoty, jakby samo serce bez pomocy warg.
 Ordynat się przeraził.
 Miało nastąpić wyjaśnienie. Czuł, że to już konieczne. Mgła Luci rozpadła się; ukazuje swój ukryty cud. Świadomość o nim błędziła w dotychczasowej mgłę, ale nieobjawiona.
 Teraz zapada wyrok.
 Waldemar nie śmiał odetchnąć.
 — Waldy... — powtórzyła dziewczyna niby we śnie czy w malignie, lecz wyczekująco.
 Targnęła nim rozpacz.
 Nie ma, nie ma sił! A każdym momentem ludzi ją, każdą chwilą staje się winniejszy, bezczelniejszy — wobec niej!...
 Zerwać uludę! Brutalnie rozwiać miraż.
 Rozniecić prawdę! Ale prawda schłoczce ich oboje.
 Być szczerym — jak światło.
 Odważnym — jak zbrodnia.
 Więc popełnić zbrodnię? Zabić tę kobietę nagą prawdą, ratować zaś własną, by nie spadła w odmet obłudy?
 Popełnić obowiązujące kłamstwo i zaprzeć się duszy nieskażonej?
 Dla litości?...
 Dla przeogromnego współczucia, które wszakże nie jest nawet podnóżkiem uczuć miłosnych?...
 Dla kilku roznieconych pożarów we krwi, która zgoła nie płonie?...
 Dla nędznych podniet ciała?...
 Nie, nie! Przenigdy nie!
 Waldemar zdusił w sobie wzruszenie, siłę zamknął w swym postanowieniu.
 Aby odważnie.
 Lucia, nie słysząc jego głosu, wyczuwała drżenie jego ramienia. Pochylając głowę, włosami dotknęła jego twarzy.
 Waldemar stał chłodny, otworzył usta, ale słowa ciężkie z trudnością mógł wydobywać z piersi.
 — Luciu moja... Dawno już widzę... czuję... że... ty...
 Słuchała, bez tchu, nie widząc się nawet brzmieniu tych słów. Były ciche, łagodne, a złowrogie. Może straszne?...
 Wtem trzask, światło lampy.
 Wszedł na taras hrabia Trestka i lokaj.
 Waldemar i Lucia odskoczyli od siebie. Ona wściekła, on — jeszcze uratowany.
 — Co się stało?...
 Trestka przywitał ich w milczeniu.
 — Nie dziwi was tak późna moja wizyta? — spytał, patrząc na nich ciekawie.
 Waldemar oprzytomniał.
 — Żona pańska?... — zawołał.

Prawda

— Dziękuję, zdrowa. Mamy syna. Ale właśnie dlatego nie mogłem żony wzruszać. Chłopak urodził się nam rano; w południe otrzymałem depeszę. Oto ona.
Ordynat i Lucia przeczytali razem.
— Z Paryża, od babki. Ciężko chora — rzekł Waldemar, jakby do kogoś jeszcze.
Weszli do salonu. Trestka mówił:
— Przyjechałem z tym do was. Rycia nic nie wie i oczywiście nie pojedzie. To zaś jest niezbędne.
— Więc ja pojedę — rzekł ordynat.
— No, nie! Tam potrzeba opieki kobiecej. Dobrzysia poczciwa nie wystarczy, to jest rola...
Trestka umilkł, nie wiedząc, jak to przyjąć.
— Moja! — podchwyciła Lucia.
— Tak.
Wszyscy troje umilkli. Lucia była podniecona. Wypieki ostre, nagle, wybuchły jej na policzkach.
Spojrzała na Waldemara. On unikał jej wzroku.
Trestka uściśnął rękę dziewczyny.
— Panno Luciu, w pani cały ratunek. Księżnej zostawić tak wśród obcych nie można. Oboje z Rycią będziemy niezmiernie wdzięczni — mówił serdecznie.
Lucia z rozdrażnieniem wysunęła dłoń z jego uścisku. Rzekła spiesznie:
— Zbyteczne prośby. Muszę i pojedę pielęgnować księżną dziś zaraz. Ona jest babką...
Waldemara — dodała ciszej.
Popatrzyła pytająco i nagle w jego oczy, jakby oczekując protestu czy jakiegoś rozwiązania.
Ale on, tak jak i Trestka, pocałował ją w rękę, za całą zaś odpowiedź rzekł tylko:
— O dziadka bądź spokojna; pozostanie u mnie.

XXVIII

Na wiosnę Bohdan opuścił Ruslock. Administracja zegnała go z żalem. I Bodzio był wzruszony, żył się z kolegami, jedynie nie żałował Ponieckich.

Przybył na krótko do Głębowicz i z listami polecającymi od ordynata wyjechał zwiedzić kulturalniejsze majątki w kraju.

Najdłużej przebywał u książąt Giersztorfów, gdzie pod kierunkiem starego księcia odbył paromiesięczną praktykę.

List księcia do Waldemara, po wyjeździe Bohdana, pełny był uznania dla młodzieńca. Między innymi zawierał słowa: „Twoja krew, panie ordynacie, płynie w żyłach twego kuzyna. Wyda kiedyś rezultaty wyborne. Umiejętnie wydzwignąłeś go z czerczyńskich tradycji, i to jedna z twych zasług najpierwszych”.

Waldemar cieszył się niewymownie.

Bohdan nie poprzestał na kraju. Wyjechał do Galicji, do Węgier. Potem zwiedzał gospodarstwa czeskie, poznańskie. Jako wolny słuchacz uczęszczał jakiś czas na wykłady agronomiczne w Taborze. Bywał na różnych próbach w stacjach doświadczalnych.

Ordynat otrzymywał od niego listy zawierające moc projektów. Listy tchnące zapalem młodzieńczym. Przemawiała w nich dusza obudzona już do życia i czynu, rwąca się naprzód, żądna działania. Dawna rozterka wewnętrzna przeistoczyła się w pewne zamiłowanie do walki z losem. Smutek, żal — pierzchy, zabite wrodzoną, lecz śpiącą dawniej, energią. Skłonność do marzeń została niezmienna, jednak zbyt szeroki jej wzrost hamował pozytywizm nabyty wśród ludzi. Bodzio był idealistą, lecz trzeźwość miał zawsze w pogotowiu. Używał jej w warunkach wyłącznych. Szeroka i hojna jego natura szarpała się jeszcze gwałtownie w ciasnym zakresie swego lotu. Pomimo to Bohdan umiał się ścieścić, bodaj okrwawiając połamane skrzydła. Znalazł w swej duszy pęta na nią właśnie i używał ich czasem bezwzględnie.

Dojrzewał duchowo i umysłowo.

Cenił ordynata nade wszystko, idąc jego śladem. Waldemar był czynnikiem i twórcą jego odrodzenia. Ale sytuacja matki, przykra z powodu prawie już zrujnowanego przez Wiktora Czerczyna, stała się dla Bohdana równie silną pobudką, jak i pędem ambicji.

Zawziętość ogarnęła go, wielkie pragnienie osiągnięcia pracy owocnej, która postawiłaby go na nieprzewidywanych, lecz trwałych podstawach bytu.

Tak przeszło pół roku.

Księżna Podhorecka po ciężkiej chorobie wyzdrowiała, lecz nie powróciła do kraju. Lucia pozostała przy niej z własnej chęci. Obie mieszkały w Szwajcarii.

Hrabina Trestkowa, która odwiedziła księżnę, mówiła potem Waldemarowi, że Lucia jest stworzona na pielęgniarkę chorych, że księżna bardzo wiele zawdzięcza jej troskliwości i że pokochała ją jak rodzoną wnuczkę.

Zapytana przez Macieja, czy Lucia prędko powróci do Słodkowic, pani Rita odrzekła, patrząc nieznacznie na Waldemara:

— Obecnie o tym nie myśl; jest jednak niewyraźna. Tęskni widocznie, ale... mówi, że jest tu zbyt uczona.

Pan Maciej westchnął.

— Przeciwnie! Jest tu niezbędna!

— Gdyby o tym wiedziała, może zmieniłaby zdanie?... — rzekła Rita bez przekonania.

— Tak... gdyby jej tylko o mnie chodziło — szepnął staruszek.

Waldemar udał, że nie słyszy.

On rozumiał Lucię i jej uczucia. Po owej scenie na tarasie wyjechała z nadzieją, że on pośpieszy do niej lub wreszcie jakimś sposobem, choćby listownie, zakończy trapiącą ich wspólnie mękę niepewności. Ale słowa, niedopowiedziane, wsiąkły wraz ze śniegiem w zaśnieżony park i stopniały. Lucia, nie widząc wówczas twarzy Waldemara i nie odgadując należytej zmiany w jego głosie, nie przeczuła, jaki miał być dalszy ciąg jego słów.

Pozostała w złudzeniu.

Minęła zima, wiosna i lato.

Waldemar nie przyjechał.

Lucia zacięła się w zranionej dumie; nie chciała wracać.

Przeszło już pięć lat od śmierci Stefcy Rudeckiej, narzeczonej Waldemara, i pięć lat od czasu rozbudzonej po raz pierwszy w sercu Luci miłości do niego.

Pięć lat nadziei, walk, cierpień potęgujących się stale; chwilowych ułud, pryskających prędko; wątpliwości i niepewności.

Prawda zbyt widoczna się stała.

Lucia, w przystępie krańcowego tragizmu, postanowiła wyjść za Brochwicza.

XXXIX

Księżna Podhorecka patrzyła z żalem na żalobną twarz Luci. Staruszka rozumiała wszystko. Nie uszło jej uwagi wzruszenie baronówny przy odczytywaniu każdego listu od Waldemara, przy każdej o nim wzmiance. Milczały obie; jedna nie wyjawiała swych uczuć, druga swych pragnień. Księżna życzyła sobie małżeństwa wnuka z Lucią, lecz nie dla partii, lecz chcąc nareszcie widzieć go szczęśliwym. Dawne marzenia świetnego ożenku dla ordynata przestały już nurtować staruszkę.

Ale teraz Lucia niepokoiła księżną. Smutek osiadł na rysach dziewczyny, lecz wzbudziła się w niej ironia i jakaś zawziętość względem Waldemara. Nie chciała teraz o nim słuchać, nie czytała jego listów. W błękitnych oczach dziewczyny błyszczał chłód metaliczny, stała się sztywna, dumna. Księżna pewnego dnia wrześnie się złąła, gdy oznajmiono Luci, że w salonie czeka Brochwicz. Baronówna złożyła książkę, którą głośno czytała, zaśmiała się przykrym chichotem i rzekła nerwowo:

— Prosiłabym babcię o błogosławieństwo, gdyby... gdyby nie było to szczytem komedii.

Wybiegła z pokoju.

Rozmowa z Jerzym ułożyła się od razu, bez wstępów.

— Pan chciał się ze mną pożegnać, więc pan wyjeżdża? — spytała Lucia po przywitaniu.

Brochwicz był jak martwy, obsyty w sztuczną obojętność.

— Tak, jadę jutro rano.

— Dokąd?

— To mniejsza...

— No, przecież nie na zdobycie bieguna?
Zmarszczył się, usta mu drgnęły.

— Czy nic lepszego nie ma mi pani do powiedzenia?
— Owszem... jeszcze coś — odrzekła Lucia innym tonem i usiadła na pluszowej kanapce.

Hrabia stał przy oknie, złożył ramiona na piersiach i patrzył na nią takim wzrokiem, jakby oczekując nowego szyderstwa.

Baronówna chwilę zmagala się ze sobą, po czym śmiało podniosła głowę.

— Czy pan mnie... stale kocha? — wypłynął cichy szept z jej ust.

Jerzy oburzył się.

— Pani wie o tym najlepiej!
— No, a ta... wenejanka?... Ta, która usidliła pana na lagunach?

Głos Luci trochę syczał.

Brochwicz nie poruszył się, tylko ogień czerwony przefrunął przez jego twarz.

— Więc pani o tym wie? Więc panią to interesowało, może niepokoiło?
Ożywił się nagle; głos jego stał się cieplejszy.

Lucia odparła obojętnie.

— Wiedziałam, bo zbyt głośno szeptano o tym w buduarach, interesowałam się zaś o tyle, że sądziłam, że pan uleczony.

— A czy pani wie, dlaczego tamta mnie porywała? Dlaczego mdlałem w jej uścisku, dlaczego... szalałem?

— Ach! Nie badam psychologii pańskich namiętności.

— Więc ja pani to wytłumaczę. Ta piękność wenecka miała kolor włosów pani, kolor jej oczu i imię miała Lucji „Luci”... Teraz pani rozumie? Kocham nad życie i bez wzajemności. Dlatego właśnie oszalałem chwilowo dla tamtej...

— Szkoda, że tamta nie nazywała się Julia Capuletti i że się to nie działo w Weronie. Na Romea ma pan duże zdolności — szydziła Lucia.

Brochwicz stał jak biczowany, bez słowa, niemal z rozkoszą bolesną.

Baronówna powstała z kanapki.

— Niechże pan nareszcie nie pozwoli na szyderstwa. Niech pan zabroni mi tego! Niech pan nie będzie tak tragicznie zgnębiony i... i... taki pokorny. Nie znoszę tego! Brzydę się pokorą! — wybuchnęła z irytacją.

Hrabia podszedł do niej i wyciągnął ręce.

— Żegnam panią! Odchodzę. Ironia kobiety ukochanej może w mężczyźnie wywołać nawet brutalność, ale tylko wtedy, gdy on posiada jej miłość. Gdy jest przeciwnie, ona jest panią położenia, jemu zaś pozostaje jako jedyna obrona... cierpliwość.

Ucałował ręce Luci z uczuciem. Dwie łzy zaszkliły mu się na rzęsach.

— Żegnam panią i... proszę...

— Panie Jerzy... A gdybym ja... pomimo wszystko... chciała być pańską żoną?... Czy... pan by mnie zechciał — rzekła Lucia, poruszona do głębi.

— Czy to nowe szyderstwo? — spytał, patrząc jej w oczy.

— Nie: mówię szczerze.

— Panno Luciu!... Więc pani?...
— Niestety, nie kocham pana, pan wie o tym, ale... męczę się i ja strasznie. Jeśli mnie pan zechce taką, to... może będziemy... uspokojeni...

Jerzy tulił jej ręce do piersi. Szeptem ledwo słyszalnym zapytał:

— A... tamte nadzieje... pani już pogrzebała!

Lucia wzdrygnęła się.

— Prawie.

— Jednak... pani jest niepewna?...

Baronówna spojrzała błagalnie.

— Proszę, nie mówmy o tym. Chce mnie pan czy nie?
— Pragnę cię, wielbię i chciałbym cię ukoić, upieścić, abys zapomniała o swej niedoli. Jednak... daj mi trochę nadziei, że... z czasem pokochasz mnie, Luciu!... Luciu moja!

Jerzy mówił z przejmującym uczuciem, ustami pełnymi płomieni.

— Nadzieja? — odszepnęła Lucia. — Ha! Niech ją pan ma. Miejmy ją oboje! Ale nadzieja to ślepy magnes, wciągający ludzi na kolce życia, na jego ostrza. Lecz miejmy ją:

może ujarzmimy ten zły magnes? Może złagodzą się nasze dramaty, nasze bóle? Jeśli pan chce, jestem jego...

Brochwicz uściskał jej dłoń. Rzekł smutno:

— Nie dziękuję ci, bo za ofiarę dziękować nie można. Do uczuć moich dodałaś jeszcze twogę, by cię nie stracić, Luciu, ale mam wiarę.

— I pan się nie boi? — spytała z podziwem.

— Nie. Zdaje mi się, że oboje nie mamy nic do stracenia — rzekł z mocą. — I jeszcze, upoważniam cię, jedyna, do zerwania ze mną, gdyby... tamte nadzieje ożyły.

Twarz mu się skurczyła cierpieniem, oczy zaszyły ponurą mgłą. Szarpał własną duszę, ale chciał ją mieć czystą.

Lucia spuściła oczy.

— Ty jesteś szlachetny, ja zaś... podła!

Objął ją ramieniem delikatnie jak dziecko, wyszeptał łagodnie, schylony nad jej jasną głową:

— Nie, ty jesteś prawa i szcera, tylko bardzo biedna, i masz bardzo starganą duszę.

Wieść o ich zaręczynach doszła do Głębowicz w jesieni. Zgnębiła pana Macieja boleśnie, Waldemara zaś przestraszyła.

— Ona zabija się — jęknął Michorowski, łamiąc ręce nad głową.

Tego samego dnia ordynat otrzymał list od hrabiego Herbskiego z Wiednia, donoszący mu, że w Jockey-Clubie spotkał Bohdana.

Waldemar natychmiast wyjechał za granicę.

XL

Ostatnie piękne dni jesienne rzucały na Prater wiedeński mnóstwo rozświetlonych plam powietrznych. Drzewa okryła purpura królewska oraz chińska barwa gorąco-żółta. Jeszcze szaty kolorowe otulały grube korony drzew, a różnorodność ich pociągała oczy.

Park kipiał życiem. Używano resztek pogody. Powozy prywatne, zaprzęgi dworskie, częstokroć niczym kosze bogate w kwiaty pięknych kobiet, lśniły swym przepychem w przepychu słonecznym. Aleje dla jeźdźców gęsto zdobiły zręczne amazonki, otoczone sportsmenami pierwszej mody. Szyk wiedeński rozlał się tu szeroką, bujną falą, oślepił swą świetnością, łagodnie pieścił umiłowanie piękna, budził wytworność.

Wśród grona jeźdźców mała cokolwiek, ale nie zniknął Bohdan Michorowski. Jeździł na ślicznej klaczy angielskiej, pochodzącej ze stajen hrabiego Elemera Szötenyi, Węgry, byłego partnera ordynata Michorowskiego z zabaw klubowych. Teraz towarzyszył Bodziowi.

Hrabia Elemer, śniady brunet, wrzący temperamentem, młodszy od ordynata i również kawaler, wciągał Bohdana w niebezpieczne dla niego kółka hulackie. Zabrał go do Wiednia ze swego majątku, który Bodzio zwiedzał, i trzymał młodzieńczyka w ciągłym podnieceniu nerwów.

Bohdan zanurzył się w rozkosznej kąpieli życia stołecznego, już trochę zasnutego w jego pamięci. Czuł za plecami obowiązek szepczący morały, ale udawał, że ich nie słyszy. Jedynie, co go kłuło aż do utraty zmysłów, to obawa pożyczki. Lękał się stracić pieniądze, które posiadał, drżał na myśl przegrania grubszej sumy, i ciągnięty przez Szötenyiego siadał do stolika z miną miliardera, ale z duszą pełną strachu. Trzymał się jednak na wodzy i bronił, jak umiał, swej kieszeni. Chwilami, gdy niebezpieczeństwo już, już zaglądało do niej, Bodzio w nagłej rozpaczce pragnął trzęsienia ziemi albo pożaru, byle tylko móc zemknąć z tego piekielnego klubu. Kiedy raz przeczul, że będzie musiał postawić grubszą stawkę, uległ zwykłej szczeroci i rzekł do Elemera — tonem opryskliwym.

— Hrabia myśli pewno, że każdy Michorowski jest Rotszyldem⁷⁸ i może złotem pokrywać dachy. Ja jestem z tych... miedzianych Michorowskich i radzę wam, dajcie mi spokój, bo będzie kłopot, jak się udławię tymi kartami.

— Och! Głębowicze to krezusowa⁷⁹ fortuna! Nie ma obawy — wnioskował paniczyk galicyjski, przerobiony na wiedeńskiego barona.

⁷⁸Rotszyldowie (z niem. Rotschild) — bogata rodzina pochodząca od niemieckich Żydów, tu: synonim bogacza. [przypis edytorski]

⁷⁹krezus — bogacz. [przypis edytorski]

Bodzio się rozgniewał.

— Ja mam takie same prawa do fortuny głębowickiej, jak do hiszpańskiego tronu. Nawet gdybym zaczął bardzo szperać, to... kto wie! Może zostałbym kandydatem do korony Bourbonów, ale do eksploatawania kasy głębowickiej nie mogę mieć pretensji.

Od tej pory przestał grać.

Hrabia Elmer, ujęty jego szczerością, nie nalegał. W inny sposób zabawiał umysł młodzieńca. Wprowadzał go do salonów arystokratycznych i do ukraszonych buduarów sezonowych piękności. Anny nicejskiej Bodzio nie spotkał, ale zawarł parę innych, równie ryzykownych znajomości. Jeżdżąc w Praterze, Szötenyi wskazywał mu oczami pierwszorzędne meteory półświatka i damy wysokich sfer. Bohdan, zależnie od humoru, albo gapił się, albo ziewał, objawiając tę czynność lekkim krzywieniem nosa.

Ujrzał raz w powozie dworskim młodą osobę w ciemnym kostiumie i w dużym czarnym kapeluszu. Zrobiła na nim dziwnie miłe wrażenie; przypomniała dobre chwile, ściśle spojone z Głębowiczami.

— Ach, tak! Lucia! Bajecznie do Luci podobna — rzekł głośno z uśmiechem.

Wskazał powóz Szötenyiemu, pytając, kto w nim jedzie.

— Arcyksiężna Maria Beatrycza — odrzekł hrabia.

— Jaka ona śliczna!

Elemer się uśmiechnął.

— Aż śliczna?! To za wiele. Jest przystojna i bardzo wdzięczna. Zawsze poważna, trochę posągowa.

Bodzio się zamyślił. Wreszcie rzekł:

— Mam kuzynkę, podobną do niej, która będzie prędko...

Zaciął się umilkł. Hrabia Elemer zauważył jego zmieszanie. Podchwycił skwapliwie.

— Która będzie pańską żoną?

Bohdan poczerwieniał, aż skoczył na siodle. Spojrzał podejrzliwie na hrabiego i wybuchnął.

— Ach nie!... Co znowu. Żoną ordynata Michorowskiego.

— Aa!

Bodzio się zląkł. Uczuł pałacy wstyd.

— Hrabio, ale... proszę o dyskrecję.

— Ależ... naturalnie. Cieszę się, że już o tamtej zapomniał. O tej... wie pan... szlachciance, która umarła. Dziwiliśmy się w naszym świecie, że ordynat zszedł po żonę, zamiast wspiąć się po nią, do czego miał prawo. Bo też to był szczególny pomysł. Magnat i szlachcianeczka!

Bohdan uczuł nagłą złość do Szötenyiego, do Luci — nie wiadomo za co, i nawet do ordynata. Zmarłej Stefci współczuł serdecznie, kochał ją. Wydała mu się jakby łąką polską, po której tratują kopyta austriacko-węgierskie. Złość swą skierował na hrabiego. Rzekł trochę ironicznie:

— Już kto jak kto, ale wy tu, wiecieńczycy, nie powinniście urągać na nierówne małżeństwa. Wasi arcyksiężęta mogli was do tego przyzwycząić; są bowiem swobodni w dobieraniu partii i niewybredni.

— Ja nie jestem arcyksięciem, lecz magnatem węgierskim i cenię wysoko starożytny rody — rzekł sucho Szötenyi.

Bodzio się uspokoił.

— Prawda! Węgierscy magnaci sami żenią się z arcyksiężniczkami. Zapomniałem! Zresztą... Mało mnie to obchodzi — dodał szeptem.

Od tego dnia Bohdan bywał często w Praterze tylko w celu ujrzenia Marii Beatryczy. Jeździł w ślad za jej powozem; gdy była konno, trzymał się opodal i zjadał ją oczami. Szötenyi nie mógł zrozumieć, czy młodzieniec zakochał się w arcyksiężniczce dla niej samej, czy dla wspomnienia kuzynki.

Ale i Bodzio z pewnością odpowiedzieć na to nie umiał.

Hrabia Elemer polubił młodego towarzysza, bawił się doskonale jego dowcipem i zabawną nieraz otwartością.

Wybierali się obaj na bal do Burgu. Bohdan promieniał. Uczył się od Szötenyiego pewnych form ceremoniału dworskiego i coraz ognistej wzdychał do arcyksiężniczki.

Gdy wreszcie karetą węgierskiego magnata wjechała na dziedziniec Burgu, serce Bohdana tłuło się jak u panny przed pierwszym występem w świat. Rozpalone rżęsiście okna cesarskiej siedziby, wielka ich moc i ciężkie mury dokoła przygniotły trochę swobodę Michorowskiego. Na jeden moment stanął mu w myśli zamek głębowicki, lecz nagle zapadł się z łoskotem, jak gdyby pokonany, i w umyśle Bohdana zapanował wyłącznie starożytny gmach Habsburgów.

— Tam jest arcyksiężniczka Maria Beatrycza... Beatrycza... — powtarzał w myśli młodzieniec, lubując się tym imieniem.

Wspaniałe przedśionki, zastępy służby strojonej, schody ubrane palmami i cyprysami, mnóstwo potoków białego światła, szum materii drogocennych, poważny szept rozmów: wszystko to nieco Bodzia odurzyło. Do głowy buchnął mu niby mus szampana rozkoszy, targnął nerwami, roziskrzył ciemne źrenice. Bohdan uczył w sobie bezmiar zdobywczej werwy, taki niesłychany prąd radości i szczęścia, że chciał głośno krzyżeć. Gdyby mu się teraz Maria Beatrycza rzuciła na szyję, wcale by się nie dziwił.

W sali balowej znalazł już znajomych. Szötenyi zaś jeszcze go przedstawiał magnaterii węgierskiej i austriackiej. Bodzio wirował swobodnie wśród utytułowanych grup męskich, zręcznie wymijał dworskie treny dam, mówił dobrze i z zapalem. Wspomnienie ordynata Waldemara żyło jeszcze w tych towarzystwach, więc to samo nazwisko znakomicie torowało drogę młodzieńcowi. Wpadł w otchłań przepychu i chciwie zgarniał do swej piersi skarby życia zewnętrznego.

Spoglądał wyczekująco na drzwi, skąd miał wejść dwór.

Silne wrażenie zrobiło na nim ukazanie się starczej postaci cesarza. Prosty, w swym wojskowym uniformie, głowę tylko pochylał nieco naprzód i witał uprzejmie zebranych, których mu przedstawiali dworacy. Mało było takich; przeważnie salę zapełniał wielki świat, stale tu uczestniczący.

Bohdan, przedstawiony cesarzowi, złożył dworski ukłon. Usłyszał parę miłych słów monarchy, skierowanych do siebie, ale tyżących się raczej nazwiska, które nosił. Rozmawiał z dworzanami, na ich wyraźne wzmianki o ordynacie, Bohdan odpowiadał co należało, ale jednocześnie doznawał uczucia przykrej niechęci.

„Cóż oni wszyscy tylko o ordynacie?...” — pomyślał.

W podnieceniu swym zapomniał na razie, że jest jakiś Michorowski więcej znany od niego.

Złe wrażenie minęło prędko pod wpływem siwych oczu Franciszka Józefa. Cesarz rozmawiał z innymi, Bodzio zaś stał bez ruchu, patrząc na łagodne, głębokie źrenice starca, wyblakłe już, ocienione brwią siwą, trochę apatyczne. Te oczy, bruzdy na czole i fałdy twarzy, wchłonęły w siebie dużo smutków i tragedii. Bohdan czytał w nich jakby historię nieszczęść Habsburgów, z dominującym krwawym dramatem następcy tronu Rudolfa⁸⁰, z zabójstwem cesarzowej Elżbiety⁸¹. Przypomniał sobie, że jest w murach nasiąknięty fatalizmem, że grasuje tu legenda o szarym człowieku, który ukazaniem się poprzedza nieszczęścia. Bodzio wzdrygnął się. Odwrócił oczy od cesarza i zobaczył przed sobą arcyksiężniczkę Beatryczę.

Na jego ukłon odpowiedziała łagodnym uśmiechem i pochyleniem głowy. Odeszła w gronie dam, poważna, niepokalana w swej białej sukni. Bodzio zobaczył dziewiczy kark, otoczony perłami, falę lśniących włosów i wśród nich migotliwy brylant. Posunął się za nią, lecz odgradziły go złociste mundury orszaku cesarskiego, fraki ministrów, sążniste treny pań. Arcyksiężniczka znikła w świetnym tłumie.

Bohdan był zły. Musiał słuchać ciągłej gadaniny młodego galicjanina — barona, który dzielił się z nim wrażeniami.

— Niech pan spojrzy na tę damę w złotej gazie. Stylowa, co? Jaka koafiura! To księżna Montano. Szalałbym za nią, ale musiałaby zmienić uczesanie: nie lubię takich gruszek perłowych na czole. A ta, w tych sznurach perł, to księżna Fürztberg. Strasznie dumna. A teraz idą dwie Grünendorfki, hrabianki. Jedna taka sobie, uszłaby na szarym końcu przy

⁸⁰Rudolf Habsburg Lotaryński (1858–1889) — arcyksiążę austriacki, następca tronu po ojcu, Franciszku Józefie. Zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach, jedną z hipotez jest samobójstwo. [przypis edytorski]

⁸¹Elżbieta Bawarska (1837–1898) — cesarzowa Austrii i królowa Węgier, żona cesarza Franciszka Józefa, znana jako Sisi. W 1898 r. zamordowana przez włoskiego anarchistę. [przypis edytorski]

stole, ale ta druga... Właściwsza byłaby w jej ręku warząchew niż wachlarz. Co? Prawda? Zupełnie nie dla sali w Burgu. Cóż za policzki!

Bodzio patrzył bez zajęcia. Szukał migotliwego brylantu we włosach.

Baron dotknął jego ręki.

— Niech się pan lekko obejrzy. Widzi pan tę oryginalną twarz w lokach? To hrabina Matylda! Wiecznie pozuje na prababkę z portretu. Kocha się w niej podobno jakiś arcyksiążę. A ta, która rozmawia z arcyksięciem D'Este, co ma takie ukośne brwi, à la gejsza, to hrabina Gizela Wichy. Cudne ma ramiona. Szaleje za nią pół Pesztu.

Baron mówił z miną niedbałą i z dumą, że zna wszystkie damy, jak gdyby chciał Michorowskiemu zaimponować. Ale ten odrzekł bez zachwytu:

— Z pana, widzę, niezły ekspert salonowy. Ocenia pan jak padyszach szeregi dziewic przeznaczonych do haremu.

Galicjanin zabawnie stulił usta.

— Ja je wszystkie znam! Muszę jeszcze pokazać panu hrabinę Dalmy. Oczy: bajeczne! Szyja, jak to mówią: łabędzia... Chociaż długa szyja u kobiety jest wstrętna. Nogę Dalmy ma piękną, bo te inne, to co do nóg stoją niżej. No, wiedenki zawsze górą. Pokażę panu i hrabinę Szatek. Biust ma jak świątynia Wenery, biały, wypukły!...

Bodzio uczuł gniew.

— Co mnie tam Niemki obchodzą? Widziałem piękniejsze.

Baronik się obraził.

— Nie zna pan nazwisk, bo są tu i Węgierki.

— Wszystko jedno!

Panicz odszedł. Bohdan mógł swobodnie szukać arcyksiężniczki.

Rozpoczęły się tańce. Michorowski mile został zdziwiony widokiem par płynących przy dźwiękach poloneza. Widział tańczących Polaków, którzy wyróżniali się majestatycznością ruchów i panie polskie, wdzięczne jak prawdziwe księżne. Wkrótce ujrzał i arcyksiężniczkę. Tańczyła z jednym z dygnitarzy. Oczy jej, duże, szczere, jakby trochę smutne i zdziwione, oczy dziewczynki w magazynie pięknych lalek zatrzymały się na twarzy Bohdana. Jego zachwycony wzrok wywołał słaby uśmiech na ustach Beatryczy.

Minęła go powiewnie, uniesiona tańcem, jak pasemko białe piany na fali rzecznej.

Przemknął koło niego Szötenyi.

— Pan nie tańczy? — spytał.

Pochylił się do swej damy i znikł.

Michorowski ruszył wytrwale w stronę arcyksiężniczki. Migwały mu przed oczami cudne twarze, skrzyły się klejnoty. Pomimo gwaru w sali był dziwny stygmat uroczysty. Etykieta królowała, i ona właśnie wzięła salę w swe zakłete państwo, nadając jej tonu. Pachniał, szeleścił, błyszczał długi wąż tancerzy. Mnóstwo rozmaitych figur ludzkich, jak gdyby zaszytych w złociste pokrowce, tworzyło jaskrawe grupy przy wejściach i pod ścianami. Kwiaty sypały się wszędzie.

Bodzio znowu dojrzał z daleka Marię Beatryczę z jakimś magnatem węgierskim, ubranym w przepyszny strój narodowy. Gdy już byli blisko, Bohdan szybko oderwał z krzewu tuberozy smukłą gałązkę, oblepioną białymi kieliszkami kwiatów. Serce biło mu gwałtownie; zabrakło mu tchu.

Beatrycze i jej tancerz zrównali się z nim. Magnat spojrział na Bodzia obojętnie, ona lekko rozchyliła usta. Michorowski ślicznym, łagodnym ruchem rzucił kwiecistą gałązkę pod stopy księżniczki.

Ona nie spostrzegła tego. Pantofelkiem zgniotła tuberozę, i pociągnięta przez tancerza, znowu znikła.

Tren sukni odrzucił gałązkę na środek sali.

Zakochany skoczył, porwał zmięte kwiaty i nieznacznie przycisnął je do ust.

Po czym schował pod kłapę fraka.

Jeszcze coś słyszał dokoła siebie. Coś szumiało, grało, płynęło, ale to wszystko przestało już Bodzia zajmować.

— Dwór odchodzi — rzekł ktoś w pobliżu.

Bohdan nie zobaczył już arcyksiężniczki.

Taniec

XLI

Zamglony poranek jesienny osnuł wilgotnym pyłem ulice Wiednia. Nad Burgiem zwi-
sały pajęczyny mgielek. Mury cesarskiej rezydencji wznosiły się ciężkie, wiekowe i jakieś
groźne. Dokoła osiadła mokra ocieźność.

Michorowski chodził wolno w bliskości pałacu, oczyma przebijał okna.

Tęsknił i marzył.

Pragnął odgadnąć, za którym oknem jest ona. Imaginacją rozważał mury pałacowe
i widział arcyksiężniczkę taką, jak na balu: białą, poważną, z rozchylonymi ustami, dep-
czącą jego tuberozę.

W duszy swej czuł zgrzyt, jakby się w niej coś ścierało. Niesmak ogarniał go uparty,
przykry.

„Co ja tu robię pod tymi murami?” — myślał.

Ale coś go trzymało.

Zobaczył małego chłopca, roznosiciela gazet. Obdartusek stał z plikiem pism pod
pachą i gapił się z otwartą gębą na pałac. Od czasu do czasu drapał się w kolano, popra-
wiał wypłowiałą czapkę i patrzył, patrzył. Bohdan zauważył straszną ironię w porównaniu
wspaniałości gmachu i otoczenia z tym biedakiem ulicznym. Chłopczyzna spoglądał na
Burg jak na cud świata, jak na rzecz niedostępną dla niego całkowicie. A patrzył chciwie,
z widoczną rozkoszą, z zachwytem, niemal z pobożnością.

Bohdana myśl nagła tchnęła niemile.

„Ten obdartus... to ja!”

Wybuchnął złym śmiechem — i odszedł.

Niesmak potęgował się. Myśl buntowała uczucia. Słyszał wewnętrzny jej szept.

— Po co ty łazisz, biedaku zrujnowany? To już dla ciebie tylko świat snów. Po coś
był na balu?... Ty: oficjalista! Pożegnaj się z wielkim światem, miej dumę... Nie bądź
nędzarzem szukającym zmiłowania pod pańskim progim...

— Porzuc złudzenia. Idź w swój istotny świat, o dawnym środowisku zapomnij.

Młodzieniec wstrząsnął się jak pod zimnym prysznicem. Duma wezbrana złością
ugryzła go boleśnie.

— Prawda! Prawda! Po co ja tu?!

Żal niesłychany błagał o litość, ale trzeźwa rzeczywistość chłostała. Obowiązek zaczął
go coraz ostrzej tyranizować swą mową.

— Przyjechałeś uczyć się, korzystać; płacą za ciebie, a ty: hulasz?!...

Serce zalała mu krew.

Duma cisnęła mu do oczu straszny widok zrujnowanego Czerczyna, matkę opuszczo-
ną, biedną, bankrutkę po dwóch synach i jego samego ze zgiętym karkiem pod drzwiami
magnackiego zamku. Cisnęła mu nędzę przyszłych upokorzeń, wiecznej żebraniny i pu-
kania do łaskawości milionowego wuja, ordynata. Cisnęła mu wzdęty i niechęć.

Pokusa dawała mu słodkie nadzieje.

Duma rzucała obelgę.

Bohdan snuł się obok Burgu niby pijany. Chciał wyrwać pokusę z piersi, ale i dumę
chciał odrzucić precz.

Obie mu dokuczały.

Zjawa upadłego Czerczyna zwyciężyła.

Michorowski stanowczym krokiem ruszył przed siebie, mijając pałac.

Wtem zobaczył, że chłopak z gazetami ucieka, ile sił starczy. Papiery rozpadały się po
drodze.

Bodzio się obejrzał.

Szyldwach⁸² w bramie pałacu stał przed swą budką i prezentował broń.

Ukazał się odkryty powóz, w nim zaś cesarz i arcyksiężniczka Maria Beatrycza.

Młodzieniec stanął jak zdrętwiały.

Paru przechodzących mężczyzn odryło głowy w ukłonach.

⁸²*szyldwach* (daw.) — żołnierz stojący na warcie. [przypis edytorski]

Bohdanem szarpnął nagły wstyd. Wtem spotkał wzrok arcyksiężniczki. Wzrok chłodny, obojętny, matowy, taki sam, jakim patrzyła na szyldwachę w bramie. Zanim ochłonął, zobaczył już daleko lśniący powóz i duży kapelusz Beatryczy.

— Nie poznała mnie.

Śmiech szydery, wściekły, śmiech zwyciężonej dumy zatargał jego piersią.

— Dobrze ci tak, ośle!... — wyrzucił Bodzio przez zwarte zęby.

Jednocześnie uczuł ulgę niezmierną, jakby przebudzenie po śnie, w którym się topił. Odrodzony na nowo, z obrazem miłowanej idei w duszy, opuścił Burg. Wracał do rzeczywistości.

XLII

W Wiedniu ordynat Waldemar Michorowski udał się przede wszystkim do hrabiego Dominika. Ten go uspokoił.

— Zaalarmowałem ordynata niepotrzebnie. Bohdan bywa wprawdzie wśród klubowców, ale się nie hazarduje. Węgierscy magnaci wciągają go w grę w karty, lecz daremnie, bo on zbyt powściągliwy.

Herbski opowiedział Waldemarowi parę faktów rzucających dobre światło na Bodzia. Młodzieniec umiał się zwalczyć.

Hrabia, prawie przekonany do niego, nie mógł się dość nadziwić zmianie, zaszłej w jego naturze. Mówił zdumiony, składając zwykłym ruchem splecione ręce na żołądka.

— Był urwis, teraz jest zuch. O! Inaczej określić go nie można. Ordynat dobrze mu przepowiedział: będzie z niego człowiek.

— A widzi hrabia! — odrzekł Michorowski z niezwykłym ożywieniem. — Ja go wcześniej przeczułem.

— No, narowy⁸³ jeszcze ma — poprawił się Herbski — ale już mniej szkodliwe. Takie narowy...

— Michorowskich — dodał Waldemar.

Hrabia się skrzywił.

— Niezupełnie; mniej kulturalne. Ale może, może... Bohdanem kieruje jakaś idea, tylko trudno ją zbadać. Może miłość?...

Waldemar spoważniał.

— Co pan mówi?... E, nie! Chyba coś nowego?

— W każdym razie jakiś ideał ma w duszy — potwierdził Herbski.

Z ulubieńcem swoim ordynat zobaczył się w mieszkaniu hrabiego. Chłopak był uszczęśliwiony tym spotkaniem. Opowiedział Waldemarowi przebieg swej podróży, odniesione z niej korzyści; wykladał śmiało i ze znajomością.

— Jakie masz zamiary? — spytał ordynat.

Bodzio nagle poczerwieniał.

— Bardzo szerokie, wuju!... — rzekł trochę nieśmiało.

Waldemar zdziwił się, nie z powodu słów, lecz wyrazem jego twarzy.

— Na przykład jakie?...

— Widzi wuj, to może śmieszne w moim położeniu, ale zdaje mi się, że nie głupie. Chcę bardzo pracować, intensywnie. Być popychadłem, jak w Ruslocku, nie potrafię. Myślę o objęciu posady rozległych zakresów, dającej duże poloty i korzyści materialne.

— Czy pan wydola? — spytał Herbski.

— Chcę i muszę. Lecz pierwsze jest dla mnie ważniejsze. Musem nie wszędzie dam się zaprowadzić, ale własna wola poniesie mnie daleko.

Bohdan mówił z przejęciem. Stał prosty, z zapalem w piwnych oczach. Młodzienicza pierś jego gromadziła w sobie jakby siłę przemożną, która zdawała się ją rozszerzać. Szlachetna egzaltacja zdobyła jego bladą twarz.

— Hrabia pyta, czy podołam? Już zrobiłem wiele z siebie samego; zrobię więcej. Czuję młodość; coś we mnie rwie, ale... brak mi rozpędu!

Nerwowo zatrząsł dłońmi.

— Jednak wyjadę dla siebie dalszy widnokrąg. Pragnienie mam ogromne. Ale znowu myślę, że gdybym celu dosięgnął, może straciłbym już werwę... Tego się boję. Mam

⁸³narów — zły nawyk. [przypis edytorski]

wrażenie, że człowiek, zdobywszy jakąś placówkę wymarzoną, choćby szedł do niej z poszarpanymi od trudu stopami, gdy już ją ma, jest... jakby to powiedzieć?... Jakiś skończony, czyli ma świadomość, że nic już nad to nie robi. To smutne! Bo wtedy się pewno gnuśniej?

— Dlaczego? Można iść stale wzwyż — rzekł Waldemar.

Bohdan skrzywił usta z powątpiewaniem.

— To rzadko! Przeważnie w takich razach oczekuje się tylko... oklasków, jeśli nawet nie pomnika. Sytość duchowa to to samo, co pełność żołądka: napawa sennością i zatracą czyn.

Nagle roześmiał się szczerze, swawolnie i błysnął oczyma.

— Ha! Ha! Przedwcześnie się martwię. Ja i... oklaski? Ja i... pomnik?... Sytość duchowa i zbytki tym podobne. Ha! To nie dla ciebie, Bodziu, ty tego nie osiągniesz.

Śmiał się trochę boleśnie i znowu rzekł, zaciskając dłonie.

— A jednak będę lał do swego celu, zapatrzony w swą ideę, i doleżę. Choć, być może, całe życie na to poświęcę.

Ordynat i Herbski zamienili ze sobą spojrzenia. Ordynat rzekł:

— Wybacz mi, Bohdanie, niedyskrecję, lecz... powiedz mi... Mam pewne prawa za-
pytać się o to.

— Pytaj wuju.

— Powiedz mi, jaki jest twój główny cel i co jest ową ideą?

Bodzio zmarszczył brwi. Trochę się wahał, ociągał. Wreszcie rzekł odmiennym tonem:

— Chcę, wuju, z czasem, naturalnie, wyratować i odzyskać Czerczyn; oddać mamie jej sumę, wchłoniętą przez majątek, i Wiktora może... własnym przykładem ocalić. Chcę, aby Czerczyn stał się podobny do Głębowicz.

— I aby był pańską własnością?... — spytał ciekawie hrabia Dominik.

Bohdan zapłonął gniewem.

— Nie, zaborcą nie będę. To dziedzictwo Wiktora. Ja chcę ich ratować, ale nie okradać podstępnie. Swoje wybrałem.

Waldemar rozpromieniony spojrzał na przyjaciela.

— Oto jest idea i jego cel — rzekł ze wzruszeniem.

Bohdan spuścił oczy, trochę się zmieszał. Ordynat to zauważył.

„On jeszcze coś ukrywa” — pomyślał niespokojnie.

Herbski zdumiewał się, wieszował młodzieńcowi zapachu i szczerze życzył powodzenia.

Bodzio odpowiedział ze śmiechem:

— Panie hrabio. Dopiero zaczynam piąć się, jak niegdyś na zwierzyński plot w Głębowiczach. Ale mnie krzepi wiara, że cel opanuję. To duża siła.

— Tak, i twórcza — dodał Waldemar.

XLIII

Bohdan bez żalu zegnał Wiedeń. Na zaproszenie Szötenyiego odpowiedział szczerze, że nie prędko znowu odwiedzi stolicę naddunajską. Ale gdy pociąg ruszał, Bodzio patrzył w stronę Burgu z jakąś smętną tęsknotą, której nawet nie rozumiał. Zostawiał tu swoje dni zapomnienia, dni upojen i swobody. Cieszył się, że opuszcza rozpustne zabawy, bo po nich pozostał mu jedynie niesmak. Burg zaś i arcyksiężniczka byli jak gdyby symbolem nadziemskiego świata, zeganego może na zawsze.

Ordynat, widząc dziwny stan młodzieńca, nie pytał o nic, lecz starał się wy badać, co mu jest. I Bodzio wyznał, co miał na duszy. Lecz o arcyksiężniczkę zamilkł. Wstydił się swych zapalów. Bohdan nie skarżył się przed Waldemarem na los: jedynie mówił ze smutkiem, przez który przebijała ironia, skierowana do samego siebie. Ordynat jednakże odgadł, że uczucia chłopca były dotknięte, z paru zaś słów jego przeczuł bohaterkę. Może dostrzegł fotografię Marii Beatryczy w portfelu kuzyna?

Waldemar nie czuł obawy; wydało mu się to dzieciństwem i zarazem niegroźnym, bo obudzeniem się marzeń idealnych, poczętych niby w ślicznej woni konwalii wiosennych. Wołał dla Bodzia to niż Annę nicejską lub primabalerinę warszawską.

Wśród jednej z takich rozmów Bodzio spytał:

— Dlaczego ty, wuju, tak mało teraz uczęszczasz w świecie? Na przykład w Burgu wiele osób o ciebie pytało, nawet cesarz.

— Cóż im odpowiedziałeś?

— Rozmaicie. Jak komu. Cesarzowi powiedziałem, że pracujesz w kraju, Szötenyiemu szepnąłem w sekrecie, że zubożałeś, wuju, bo on ma zamiary na twoją kieszeń, chce pożyczyć grubą sumę. Spojrzał tylko na mnie powątpiewająco. Paniom zaś mówiłem, żeś stetryczał⁸⁴, i wyobraź sobie, wuju, nie chciały wierzyć!

— Wcale dobrą wyrabiałeś mi opinię — uśmiechnął się Waldemar.

Gdy mijali cudowne okolice Styrii Bohdan, przylepiony do szyby wagonu, cicho marzył. Ordynat usłyszał raz jego śpiew. W tęsknej, rozwlekłej melodii Bodzio zamykał jakieś słowa. Brzmienie ich zastanowiło Waldemara. Wsłuchał się uważnie.

Młodzieniec śpiewał:

Za Wołyniom skuczaju⁸⁵ i w dzień i w nocy,
Bo wołyńską ziemię⁸⁶ każdocho zauroczy,
Kto na Wołyn przyde, toho oczaruje;
Lisami i kwiatami⁸⁷ swoimi zwojuje.
Oj, Wołyniu ridnieńkij⁸⁸, tebe ne zabudu⁸⁹,
Aż do samej smerti wspomynaty⁹⁰ budu.
Na Wołyniu, hde ne hłanesz⁹¹, tam ziemia czornaja,
Złotoju pszenyciu ciła usianaja⁹².
Tam: koły⁹³ wesna nastane, to wże⁹⁴ taka krasna,
Taka harna, zelenaja, myleńka i jasna!
Oj, Wołyniu, Wołyniu, tebe ne zabudu
Aż do samej smerti wspomynaty budu...

Ordynat zwrócił się z pytaniem:

— Bodziu, co to za śpiew? Nie znam go.

Chłopak się zaczerwienił.

— Sam go sobie ułożyłem, wuju.

— Ty?! No, i tu, w Styrii tak czule wspominasz Wołyn.

— Bo ja te kraje tu znam i podziwiam, lecz przeniosłem się myślą nad taki boski parów w Rusłocku, gdzie marzyłem. Żebyś ty go znał, wuju! Wiesz? Zawsze sobie wyobrażałem, że ten głęboki jar, przepastny, wykopało piekło na zgubę ludzi, a niebo usiało go cudną roślinnością, ubrało skałami pysznymi, ocieniło dziewiczą puszcza drzew, aby ludziom, ot takim jak ja wariatom, dać trochę przyjemności.

— Więc kochasz Wołyn? A jednak Rusłocka nie lubiłeś...

— Nawet nie cierpiałem. Ale samej rezydencji i Ponieckich. Kraj kocham i lud kocham. Wszystko to harmonijnie dostraja się do mej natury; to tak, jakby kto buńczuk omotał w pajęczynę melancholii. Cudny kraj!

Ordynat spoglądał na sylwetkę profilu kuzyna na tle szyby i myślał nie bez wzruszenia:

„To porównanie, jakie zrobił do Wołynia, stosuje się do niego... Buńczuk owiany melancholią i poezją, i zapalem, lecz... złamany!... Jednak takiego warto ratować... To jeden z tych Michorowskich, którzy nie umieją słuchać, ale potrafią przewodzić”.

Ordynat czuł, że w sercu wzbiera mu uczucie dla Bodzia — niemal ojcowskie.

Sam nad sobą zamyślił się poważnie, gdy byli już blisko Szwajcarii.

I oto na granicy pierwszego kantonu Waldemar zmienił nagle swój projekt.

⁸⁴stetryczeć — zgorzknieć. [przypis edytorski]

⁸⁵skuczaju (z ros. *скупать*) — tęsknić. [przypis edytorski]

⁸⁶ziemia (z ros. *земля*) — ziemia. [przypis edytorski]

⁸⁷lisami i kwiatami (z ukr.) — lasami i kwiatami. [przypis edytorski]

⁸⁸ridnieńkij (z ukr.) — rodzinny (tu: zdrobn.) [przypis edytorski]

⁸⁹ne zabudu (z ukr., ros. *забыть*) — nie zapomnę. [przypis edytorski]

⁹⁰wspomynaty (ukr.) — wspominać. [przypis edytorski]

⁹¹hde ne hłanesz (z ukr.) — gdzie nie spojrzysz. [przypis edytorski]

⁹²ciła usianaja (z ukr.) — cała zasiana. [przypis edytorski]

⁹³koły (z ukr.) — kiedy. [przypis edytorski]

⁹⁴wże (ukr.) — już. [przypis edytorski]

— Wracamy do Głębowicz — rzekł do Bohdana.
 — Jak to, wuju?!... Myślałem, że teraz wahać się już nie będziesz co do Luci i że po to jedziesz...
 — Ona jest narzeczoną Brochwicza.
 — Ach! — skrzywił się Bodzio. — Wuj w to wierzy? Sam fakt niczego nie dowodzi. Ona Jerzego nie kocha.
 Waldemar się wstrząsnął.
 — Tym bardziej jestem tam zbyt czyny.
 Bohdan wpadł w ponure zamyślenie. Nie rozmawiał więcej z ordynatem o Luci. Przechodził zbliżający się ostateczny przełom, ale niepojęty stan ordynata tłumaczył uporem.
 Bodzio w Głębowiczach przyznał się Waldemarowi, że porobił starania o posadę administratora.
 — Czy czujesz się na siłach? — spytał ordynat.
 — Najzupełniej. Zacznę od małego zakresu, ale tam, gdzie będą perspektywy.
 Waldemar zaproponował mu stanowisko takie w Biało-Czerkasach. Bohdan zamiast się ucieszyć, był zmieszany.
 — Ufasz mi, wuju? — bąknął niewyraźnie.
 — Tak.
 Młodzieniec milczał.
 — Nie jesteś, widzę, zadowolony — rzekł starszy Michorowski. — Zostawiam ci zatem swobodę.
 Bodzio z nagłą szczerością wyznał swą myśl.
 — Nie. Wuju, to nie to. Jestem ci bardzo obowiązany za zaufanie, ale ja w Biało-Czerkasach byłbym zawsze na sznureczku... Owszem, wpływ uznaję do pewnego stopnia, lecz wędzidła nawet z twej ręki nie ścierpię.
 — A jak będzie u obcych?
 — U obcych działalność swą tak bym unormował, że wszelkie pęta dla mnie byłyby zbyt czyny.
 Waldemar zaśmiał się wesoło.
 — Dobrze. Podobasz mi się! Wiedz o tym, że żaden Michorowski nigdy wędzidła nie znosił i nigdy go nikomu nie nakładał. Despotyzmem się brzydę; miałeś chyba czas to poznać. Będziesz w Biało-Czerkasach administratorem z całkowitą plenipotecją. Posadę obejmiesz na wiosnę. Przez zimę będziesz się jeszcze kształcił. Zgoda?
 — A. Jeżeli tak...
 Uścinęli się jak bracia.

XLIV

Księżna Podhorecka powróciła ze Szwajcarii. W listopadzie cała rodzina zgromadziła się w Głębowiczach, gdzie od pewnego czasu zamieszkiwał i pan Maciej z niedostępnym panem Ksawerym. Brakło tylko baronowej Elzonowskiej. Mówiono powszechnie, że małżeństwo jej z Barskim jest już postanowione.

Razem z Lucią przyjechał Brochwicz.

Stosunek jego do ordynata stał się znamienny.

Brochwicz kochał narzeczoną i bał się jej utracić. Do Głębowicz jechał niechętnie, przeczuwając, że będą one dla Luci powodem nowych walk, odświeżeniem niezaschłej zresztą męki uczuć. Młody hrabia nieufnie patrzył na ordynata, wstydział się tego wrażenia sam przed sobą i był skrzępowany.

Lucia pod pozorną odwagą, nawet brawurą, drżała wewnątrz.

Chciała wyjaśnić od Waldemara i szukała odpowiedniej chwili.

Gdy cały zamek zapadł w głuchą ciszę nocy, Lucia śmiało weszła do gabinetu Waldemara. Była blada, lecz spokojna.

On powstał na jej widok. Serce biło mu żalem, dramat miał w piersi.

Stała tuż przy nim. W ostatniej chwili zabrakło jej odwagi. Słowa przemówić nie mogła. Przestrach mignął w jej oczach. Trzęsła się okropnie.

Waldemar wziął jej dłonie, zimne jak umarłej.

— Luciu... Droga, dziecko, więcej... spokoju... — szepnął.

— Waldy... Ty wiedz, że... idę za Jerzego.
 — Wiem — odparł zdziwiony.
 — Ja jego... nie kocham! — wybuchnęła.
 Ostatnia kropla krwi uciekła z serca Waldemara.
 — Nie kocham, i ty wiesz o tym! Waldy!
 Szalonym ruchem załamała ręce, zakrywając nimi oczy. Z ust jej wybiegł straszliwy krzyk.
 — Ciebie jednego kocham! Miłuję! Tylko ciebie! Słyszysz?! Tyś mój, w duszy zaryty! Za tamtego... jedynie z rozpaczy. Waldy! Czyś ty bez serca?!
 Spazm okrutnego płaczu targnął nią przeraźliwie.
 Waldemar czuł, że leci w otchłań.
 — Luciu! Na miłość Boga!...
 Załamał mu się głos bezradnie.
 Upadł na fotel i schował twarz w dłoniach. Ona płakała.
 Ponura cisza smutnych przeznaczeń omotała ich tragicznie.
 On pierwszy ocknął się z bolesnej wrzawy duchowej.
 Wstał i ręce jej przytulił do piersi.
 — Cicho, dziecko... nie płacz. Wiedziałem... o twych uczuciach i... walczyłem. Na tarasie wówczas postanowiłem cię ostrzec. Pamiętasz?...
 Lucia wyrwała rękę z jego uścisku i zakryła mu usta.
 — Nie mów! Nie mów więcej. Niech ta złuda zostanie, ten jedyny błysk.
 — Luciu, źle mnie wtedy zrozumiałaś.
 — Milcz, milcz Waldy! Powiedz: tyś mnie nigdy nie kochał? Och! Nie miłością braterską! Ale tą inną, tą... dawną swoją... Czy nigdy?...
 Starli się wzrokiem. Jej był drapieżny, jego zboląły, lecz stanowczy.
 — Nie, Luciu.
 — Boże mój! A ja myślałam, a ja!... Tak cię strasznie kochałam!
 Rzuciła się znowu do niego.
 — Waldy... Były chwile... Pamiętasz?...
 — Wiem. I przepraszam cię za nie, Luciu. Byłem nieuważny, może... bezczelny, ale nie mogę być niesumiennym. Tamto były chwile krótkiego szału... nerwów. Jestem mężczyzną... działałaś na mnie, przyznaję. Jednak to nie... miłość.
 — Więc nic dla mnie w twym sercu nie ma, nic?!...
 — Jest głęboka miłość braterska i żal, i boleść, i współczucie, i wielkie pragnienie, abyś była szczęśliwa, Luciu. I dlatego...
 — Odradzasz mi pewno iść za Jurka? — syknęła ze straszonym śmiechem.
 — Nie, tylko lękam się o ciebie.
 — Więc uratuj! Zechciej, żądaj, rozkaż, abym była twoją żoną! Zostanę. Bądź pewny: niewolnicą będę!
 Waldemar milczał.
 — Nie powiesz tego, prawda?
 Nie dał odpowiedzi.
 Lucia po chwili znów zbliżyła się do ordynata. Ręce oparła na biurku i pochyłona całą postacią naprzód, mówiła urywanie:
 — Wybrałam Jurka... bo on mnie kocha. Wie wszystko, co ja cierpię, i chce mi dać ukojenie. Matki nie mam! Ona już Barska. Przy dziadziu, obok ciebie, nie będę!... Cóż pocznę?... A Jurek mnie kocha. Będę żyła dla innych... Może wytrzymam...
 Łzy spadły jej z oczu.
 — Czemu nie mogę dać ci szczęścia, czemu?! — zawołał Waldemar głosem tak wzruszonym i tak szczerze żalonym, że Lucia rozrzewniła się, ale smutno.
 W milczeniu podała mu rękę.
 — Roz... chodzimy się... bo los... — szepnęła i nie mogła dokończyć. Płacz zdusił ją znowu.
 Ordynat dłoń jej ucałował gorąco.
 Dziewczyna wolno wyszła z pokoju.
 Przebiegła szeregi salonów i korytarzy, błędząc trochę po ciemku. Łkanie jej budziło żalodne skargi w głuchych komnatach.

Miłość niespełniona

W sali portretowej rozjaśniła elektryczne światło.
Stała przed portretem narzeczonej ordynata. Nienawistny wzrok wpiła w jej twarzy.
— To przez ciebie — wyrzuciły zsiniałe usta dziewczyny.
Patrzyła długo... Ostre źrenice miały w sobie jad, piołun i bojaźń.
Patrzyła z zapartym tchem, czując w sercu napływ czarnej krwi.
Patrzyła jak obłąkana, bo wzrok jej gasł, tępiał, łagodniał.
Podsunała się bliżej obrazu. Oczy jej zmiękły w wyrazie. Pozostał w nich tylko smutek bezdenny.
Szept jej warg wionął cichutko.
— On twój... Zawsze twój!
I Lucia zwiesiła głowę.
Światło ją opromieniało. Z portretu spływała na nią słodycz — tamtej. Postać schodziła do niej ze smugą gwiazd w oczach.
Wtem Lucia uczuła przerażenie. Do sali zmierzały kroki męskie. Poznała je.
Ukryć się nie było sposobu.
Baronówna, wyprostowana, odważnie podeszła do drzwi.
Otworzyła. Na wprost niej stał Waldemar.
Zmierzyli się oczami. Zawstydzona, spuściła powieki. Minęli się w milczeniu. Waldemar wszedł do sali. Lucia wpadła w ciemną głębię korytarza.
Gdy dobiegła już do przeciwnego wyjścia, cichutko, na palcach powróciła i lekko uchyliła drzwi od sali, ocienione aksamitną kotarą.
Waldemar na portret zmarłej Stefci patrzył z takim wyrazem w oczach, jak gdyby oddawał jej całą swą przyszłość lub składał przysięgę wierności.
Lucia zatamowała jęk w piersiach i znikła bez szmeru w przestrzeni korytarza.

XLV

Ślub Luci z Brochwiczem miał się odbyć w Paryżu w połowie stycznia.

Księżna Podhorecka stała się jedyną opiekunką osamotnionej dziewczyny. Mieszkała z nią razem we Francji, gdyż Lucia po ostatecznej rozmowie z ordynatem wyjechała natychmiast za granicę i nie chciała wracać do kraju.

Zbliżała się chwila stanowcza. Baronówna żyła jak w letargu. Rozpacz i obawa przed przyszłością zabiły w niej duszę. Chwilami budziła się z tego snu straszego, budziła się dotknięciem rzeczywistości, która porywała ją w wir szalony niezgłębionych rozpadlin. Rosła w niej bezbrzeżna niechęć do Brochwicza i pogarda, i żal, i wstręt do siebie. Jerzego czyniła winnym, że chce ją mieć za żonę, siebie — że się na to zgadza, wreszcie Waldemara — że był demonem rzucającym ją w bezden.

Miłość do Waldemara, wszystkie walki i cierpienia zmalowały wobec grozy przyszłości, idącej nieubłaganie, z demoniczną siłą.

Nic jej nie wstrzyma. Oboje z Jerzym brną na oślep nad przepaść, nad krawędź niedoli, widzą ją niemal przed sobą, nędzną, urągliwą, lecz kuszącą jak grzech. Oboje zamknęli oczy, odrzucili precz od siebie wszelkie podszepty sumienia. Mocą stała się dla nich jakaś konieczność i rezygnacja. Co będzie — to będzie, byle prędzej. Bez analizy, bez uwag szli do swego celu jak pijani. Gdyby siła nieznaną a wielką otworzyła im oczy, wzywałiby ratunku. Taka siła mogłaby ich ocalić... lecz jej nie było.

Własny rozsądek i zastanowienie uśpili narkotykiem uczuć osobistych, starganych doszczętnie i boleśnie.

Lucia w chwilach przebudzenia zrywała pierścionek z palca, pisała do Jerzego listy, zwracając mu słowo, lecz potem — darła papier na strzępy i znowu poddawała się beczuciu letargicznemu. Teraz już tylko smutny obraz przyszłego życia rysował się w jej duszy; osnuty był paniczną obawą.

Strach ogarniał ją coraz silniejszy, strach dławił, systematycznie truł i ciągnął zarazem w toń.

Lucia przeistoczyła się w bryłę bezwolną i jakby zmiętą.

Czasem przeciwnie, bunt w niej powstawał przeogromny, krzyk protestu wydzierał się z serca, które dobrowolnie okuwała w blachy zimne nieszczęścia. Wówczas Brochwicz ginął, jak drobny liść zmiażdżony nawałnicą wichru. Ordynat zapadał się w ciemnię.

Wszystko małało. Na serce zaś cierpiące spływał ciepły promyk przeczcucia niesłychanego, nieuchwytny halucynacji ocalenia i złagodzone tą pieszczotą serce uciszało się jak po haszyszu.

W takich łagodnych jaśniach, niby w błyskawicach wśród chmur, ukazywała się w zmęczonej wyobraźni Luci postać Bohdana Michorowskiego. Jego oczy ciemne i twarz szczupła, nerwowa, jego uśmiech szczerzy, dziwnie pociągający, napawał dziewczynę otuchą niezrozumiałą. Baronówna wzruszała się, wspominając jego dobre chęci i dążenia w celu uratowania jej od uczuć nieodwzajemnionych lub też rzucenia w ramiona ordynata.

Wszystko zawiodło.

Pozostał niebezpieczny szlak, idący w głąb życia, albo pozbawienie się go przez samobójstwo.

Śmierć własna przedstawiała się baronównie bez właściwej grozy, lecz jakby symboliczna Marzanna.

Niech nadejdzie, niech się spełni.

Myśl samobójstwa nawiedzała Lucię, lecz na krótko i niezbyt silnie. Bywała raczej wykwittem wybujałej fantazji i pewnego lubowania się własnym dramatem. Nie przychodziły te myśli bezpośrednio, aby zniewolić ducha, lecz snuły się śladem wyobraźni, zarazem przejawiając ją.

Umrzeć — nie było dla Luci koniecznością duszy, odtworzoną jasno i wyraźnie, ale najważniejszym zakończeniem, do czego jednakże brakowało jej postanowienia.

Lucia na dnie swej jaźni pragnęła żyć, tylko obawiała się rozpocząć walkę z życiem i biernie poddawała się prawom krańcowej apatii.

Pani Idalia Elzonowska, już jako narzeczona hrabiego Barskiego, przyjechała do Paryża, lecz przyjęcie, jakie doznała od córki, zniechęciło ją do pozostania na jej ślubie.

Lucia nie chciała widzieć matki przy tej uroczystości. Z rodziny mieli być tylko księżna Podhorecka i hrabiostwo Trestkowie.

Baronówna oczekiwała jeszcze dziadka Macieja, ale on dla braku zdrowia nie obiecywał przyjazdu.

Księżna, z pomocą hrabiny Rity, zajęła się wyprawą Luci, ona sama do niczego nie chciała się bowiem wtrącać.

Do ślubu pozostało tylko kilka ostatnich dni.

Lucia zachowywała się tak, jakby ją miano żywcem zamurować. Jej lęk okrutny dosięgnął największego napięcia. Lucia była prawie niepoczytalna i trawiona przez gorączkę. Myślała o chwili ślubu jak suchotnica o śmierci przewidzianej niemal co do godziny. Czowała, że ginie, i czowała, że od niej samej zależy ocalenie własne, ale śmiech nieludzki, jakiś śmiech targający nerwy wybuchał z jej piersi i tłumiał akcję ratunkową. Przeraziłwie jasno widziała swój grób otwarty i zbliżała się doń z całą świadomością, ale zarazem z szarpaniną wewnętrzną, która pozornie wydawała się brakiem przytomności i lekceważeniem.

Gdy pewnego dnia Brochwicz ujrzał ją w podnieceniu niebywale drażliwym, zląkł się. Po raz pierwszy od czasu zaręczyn zadał sobie pytanie, co on robi.

Upiór nieszczęścia ukazał mu się groźny, szydwczy i bezlitosny. Jerzy ścierpl. Sumienie i etyka wzburzyły całą jego istotę, ale zamknąć tej ciemnej pieczary złej przyszłości, usunąć jej — nie miał sił. Grzął i pociągał Lucię nieszczęsną, będącą jak w agonii.

Brochwicz odszedł zraniony moralnie, Lucia zaś powróciła do swego półżycia, wkraczającego w newrozę.

Siedziała w buduarze skurczona, z głową wtuloną w poręcz wysokiego fotela. Oczy smutne, o niezmierzonej głębinie, wpatrywały się w wysokie szyby okien, poza którymi jaśniał dzień styczniowy, kipiało wrzątkiem bujne życie Paryża. I oto nagle spadło na Lucię jasne przeczcucie. Ujrzała w przestrzeni genialną moc swych przeznaczeń, dalekich od otwartego grobu, skąd wiało na nią pustką i chłodem. Ukazanie się tej zjawy niespodziewanej było silne i plastyczne; wrażenie olbrzymie.

Mara, gnioząca ją niemiłosiernie, zginęła na sekundę, oślepią pionunowym zygziem cudowengo objawienia, co w glorię swą potężną porwało umysł Luci.

Wtem zamarła ze zdumienia, podnosząc się szybko.

Smutek, Szaleństwo

Naprzeciw niej, w drzwiach, stał Bohdan Michorowski.
Poważny, spokojny, inny niż zwykle.
W oczach miał stanowczość, usta lekko uśmiechnięte, pewne siebie.
Tchnął zuchwałością — i dziwną siłą.
Lucia pozostała bez ruchu. On podszedł i wziął jej rękę.
— Bodziu! Skąd ty... tu?... — spytała z przerażeniem.
— Przyjechałem, aby ratować cię, kuzynko...
— Mnie... ratować?...
— Tak.
Lucia patrzyła, jakby nie rozumiejąc.
Przerażenie jej rosło.
Spazmatyczny śmiech runął jej z piersi.
— Mnie ratować?! Ha! ha! Za późno! Mój ślub za kilka dni.
— Otrzymałem zaproszenie i na szczęście zdążyłem, aby zerwać to małżeństwo. Nie wierzyłem do ostatniej chwili, że popełnisz taką... niegodziwość.
— Bohdanie!
— Tak, niegodziwość. Ale ja na ślub nie pozwalałam! Ślub wasz się nie odbędzie, bo to byłoby zbrodnią.
Baronówna wyrwała rękę z jego uścisku. Brwi jej się zbiegły.
— Jakim prawem to robisz?! Kto cię upoważnił? — zawołała wzburzona.
Bodzio zapłonął.
— Prawem jest mi moja własna pewność, że czynię dobrze, że cię zatrzymuję w tym szalonym, nieprzytomnym pędzie do zatury, że pragnę twojego szczęścia. A na twą zgubę nie pozwolę!
— Jeśli chcę jednak zatracenia?
— Kłamiesz!
— Chcę! I dopnę celu.
— To nie cel, to upór, to kaprys... To... zemsta.
— Bodziu! Jak śmiesz?!...
Michorowski delikatnie objął palcami jej dłonie, zajął głęboko w oczy dziewczyny. Ona znieruchomiała. Usiadła na fotelu, Bohdan zajął sąsiednie miejsce.
Oboje milczeli.
W duszy Luci rozsznuwał się niepokój, owładnęła nią nagle trwoga, jakby chęć do ucieczki. Bała się spojrzeć na Bohdana, by w oczach jego nie doczytać wyroku na siebie. Ten Bodzio, wesoły kuzynek, od razu w umyśle jej spotęźniał, stał się nowym i ciekawym. Nawet zastraszającym.
„Po co on przyjechał... Co znaczą jego słowa?...”
Pytania wirowały w mózgu baronówny, uparte, domagające się wyjawienia prawdy.
Bohdan ją zainteresował, lecz jednocześnie jakby ogłuszył. Wrażenia, wręcz przeciwne sobie, gromadziły się natarczywie. Serce Luci uderzyło parę razy wdzięcznością dla Bohdana, aż oto znowu Brochwicz wypłynął na serdecznych falach jej uczuć. Obudziła się śpiąca etyka i myśl głęboka, owiana apatią, lenistwem, bezczynna, szarpnęła się; oburzona za spokój zmałowany do dna. Senne majaki moralności zostały przez Bodzia targnięte zbyt gwałtownie. Więc dominowała niechęć.
„Po co on mnie otrzeźwia? Chcę spać, nawet w udręce snów tragicznych.
Idąc na przepadłe, nie chcę otwierać oczu. Po co on mi je otwiera?
Czy dlatego, aby ból uczynić nieznośniejszym?
Czy dlatego, aby zeń drwić?”
Wtem, jak meteor, wpadł do duszy Luci błysk nadziei:
Bodzio chce zerwać małżeństwo, upoważniony przez ordynata.
Myśl ta wydała się Luci jedynie motywującą postępowanie Bodzia. Nie śmiała wyja-
wić jej głośno, tchu zabrakło piersiom dziewczyny. Bohdan, odgadnięty już, małał w po-
jęciu baronówny. Stał się nędznym pośrednikiem ordynata; ordynat — tchórzem, ukry-
wającym się za plecami kuzyna.
Obaj spodleli w wyobraźni Luci, a ponad nimi wykwitła delikatna błonka współczucia dla Brochwicza. On posiadał chwilowo wszystkie uderzenia serca Luci, całą jej dobroć i uznanie. On był ofiarą spisku Michorowskich. Narzeczona zapragnęła być mu wierną.

Szyderstwem chciała zasypać Bohdana. Dać mu odczuć swą pogardę. Śmiech pełzał po nerwach, drażnił dziewczynę. Za chwilę wybuchnie okropny, zły... i nieszczerzy.

Bodzio uprzedził go; ściskając Luci ręce, rzekł głosem miękkim, ale stanowczo, jak gdyby stwierdzał fakt.

— Nie kochasz Brochwicza...

— Nie Kocham! — odrzekła jak echo.

— Więc popełniasz... niegodziwość. I to z powodu zranionej ambicji; przez upór i znęcanie się nad sobą; rozmyślne, bezlitosne znęcanie się.

Milczała, cała drżąca. Sugestionował ją władzą niepojętą, niweczył jej wolę.

Bohdan mówił nieubłaganie:

— Z rozpaczy można się zabić, ale nie wychodzić za mąż. To nie zabójstwo, to tylko kalectwo na całe życie. Luciu, ty ordynata nie kochasz.

Wstrząsnęła się.

W jej głosie zabrzmiały gniew, zdumienie niesłychane nad zuchwałością Bohdana.

Okropny wir zapanował we wszystkich uczuciach Luci. Usłyszane słowa były dla niej obelgą, raniły ją pręgiem barbarzyńskim. Ale w swym jestestwie dziewczyna odczuwała najmocniej zawód z powodu, że upadły jej domysły o spisku. Ordynat nie mógł ukrywać się za Bodziem, skoro ten ośmiela się profanować jej uczucia dla Waldemara przez rzucenie co do nich wątpliwości.

„Jaki ma w tym cel?” — pomyślała. — Co to wszystko znaczy? Czego oni od niej chcą?

Niepewność i lęk wewnętrzny odmalowały się na twarzy Luci. Chłód wystąpił z równą siłą. Popatrzyła prosto w oczy Bohdana i rzekła bezdźwięcznie:

— Nie rozumiem ciebie! Czyś ty nieprzytomny, czy ja?

— Luciu, posłuchaj mnie...

— Powiedz, co twoje słowa znaczyły! — przerwała mu nerwowo.

— Moje słowa?... Mówiły prawdę: ordynata nie kochał i nie kochasz.

Baronówna wstała z fotela.

— Dosyć! — przerwała. — Żegnam ciebie. Jesteś dziecinny... i śmieszny.

Prędko wyszła z pokoju.

Bohdan słyszał jej śmiech, nienaturalny, krztuszący się nienawiścią do niego, drażniący — i pełen żalu.

Jad, wszczepiony słowami Bodzia, wsiąkał w duszę Luci i zaczynał powoli działać.

XLVI

Lucia całą noc przemęczyła się rozterką duchową. Trapiła ją walka z porywami wewnętrznych zagadnień, z szeptem buntowniczym sumienia. Gwałt, zadany sercu, mścił się już w przededniu spełnionego faktu. Małżeństwo swe widziała jako rzecz konieczną, ale pragnienie zerwania go świeciło w tajemnicy nawet przed tą cząstką duszy, z której się poczęło. Ogarnęła Lucię mętna abstrakcja i pytania, obłądne pytania:

— Co robić?...

Jak pozbyć się ciasnych pęt, będących dotychczas tylko nieprzyjaznymi, dziś już niewiastnymi?

Jeśli się zaś ich pozbędzie: gdzież ratunek i jaki?

Pozostać z dawnym ciężarem w duszy, ale już bez nowego i stokroć cięższego.

Brzemienia niedoli nie zwiększać, dźwigać nędzę moralną, ale bez gorzkich wyrzutów, bez grzechu samobójstwa.

Bohdan — to duch opatrnościowy, który jej podaje rękę, aby wynieść z odmętu. Nie odtrącać jej! Dobrowolnie usunąć zaporę, jak się ją dobrowolnie nasunęło. Zamknąć otwarty grób, bez siebie.

Ale czy można zabijać tamtego człowieka dla pobudek egoistycznych?... Czy ta bezwzględność popełniona nad Brochwiczem nie byłaby większa od zadania kłamu własnym uczuciom?

Czy uczciwość pozwala na wydzieranie szczęścia z serca, które kocha? Gdzież wreszcie jest uczciwość: czy w szczerzej prawdzie, wypowiedzianej bez obłudy, czy we współczuciu dla czyjejś miłości?...

Konflikt wewnętrzny

Lucia pragnęła rozcząstkować swe serce, aby ujrzeć zagadkę wyjaśnioną i prawą drogę do czynu.

Dusiła się w atmosferze zwątpień.

Przed Bodziem czuła lęk, ale go nie unikała. On był natarczywy. Rozmawiali ze sobą całymi godzinami. On ją przekonywał, ona się broniła.

Jej dziwny stan, gorączkowy, niepokoił księżną, zastanawiał Brochwicza i drażnił go. Knulo się w jego duszy podejrzenie mętne, że Bohdan jest początkiem jego epilogu.

Po paru dniach Lucia szukała rozmów z Bodziem. Jego szczerość i sąd bezwzględny napawały baronównę otuchą. Gniewał ją, męczył, ale przekonywał każdym słowem. Nie przyznawała się do tego nawet przed sobą, ale Bohdan czynił w niej wyłom wyraźny. Przejrzała, że poświęcić siebie Brochwiczowi nie potrafi. Miała wrażenie, jakby wróg, czyhający na nią od dawna, stracił jej ślad, bo się już ukrywała za niezwalczoną moc wahania, które przeważało na jej stronę i było groźniejsze od wielu skryzalizowanych postanowień. Znalazła się w przestrzeni brzemiennej w najważniejsze wypadki swego życia. Czuła to i drżała z lęku, z egzaltacji, unoszącej ją na rozdroża. Ordynat majaczył z oddali, jak oaza ginąca wśród nowych wód, Brochwicz rysował się nikłym wzorem, chociaż go co dzień widywała. Tonął w chaosie nowych pojęć, które osnuły Lucię z władzą hipnotyczną.

Wypukło odbitym w jej wyobraźni był tylko Bohdan. Działał na nią tyranicznie, denerwował często swoją argumentacją, miażdżył jej wolę, stawiał motywy miarodajne.

Lucia, podniecona bardzo już bliskim dniem ślubu, pełna kolizji, chwytła się rozpaczliwie dowodzeń Bohdana i łaknęła rozwiązania zagadki, bez uwagi na to wszystko, co ją przedtem wstrzymywało. Michorowski mówił do niej coraz śmielej, odczuwał swoją przewagę, stał się arbitralny. Lucia błędziła w domysłach, co Bohdanem powoduje. Głównie tłumaczył jej, że ona nie może wychodzić za Brochwicza, ponieważ go nie kocha i nie kochała również ordynata miłością wyłączną kobiety do mężczyzny, jedynie czciła go i wielbiła w nim ideał wymarzony.

Lucia zdumiewała się często trafnością spostrzeżeń Bodzia i w skrytości duszy przyznawała mu słusność. Wpadła w rebus z własnym sumieniem. Rozmawiali raz szczególnie gorączkowo. Lucia była zdecydowana co do Brochwicza, ale wyrzucała Bohdanowi krzywdę, jaką czynił, niwecząc jej wiarę w miłość do Waldemara.

— Nie znasz mojej psychologii — rzekła z pasją.

— Owszem, Luciu. Twoją psychologię poznałem — i powtarzam: nie kochałaś go miłością prawdziwą, głęboką i tą jedyną, tą wielką! Szalałaś za nim od lat dziecińczych, potęgowałaś w sobie ten szal z lubością, żyłaś w sferze egzaltacji i uwielbienia dla ordynata. Wienczyłaś go, jako człowieka szerokich idei społecznych, jako wzór człowieka, godnego najwyższego szacunku i miłowania. Lecz to jeszcze nie miłość pełna i święta.

— Bohdanie! Zmiłuj się, nie profanuj ołtarza, na którym tyle lat... składałam ofiary z mego serca, z duszy...

— A teraz sama ten ołtarz burzysz — przerwał Bodzio z goryczą. — Ach! Luciu, czy ty rozumiesz, co popełniasz? Kilka lat marzyłaś o Waldemarze.

— Kochałam go.

— Nie, marzyłaś tylko. W marzeniach dziecińczych, potem w dziewiczych, idealizowałaś go stale, aż stał się geniuszem twym. Zaręczyłaś się z Brochwiczem dlatego, aby pobudzić ordynata do stanowczych czynów.

Lucia spuściła oczy, usta jej drżały.

— Co i kiedy między wami zaszło, nie wiem, ale sądzę, że w Głębowiczach na jesieni przekonanaś się, że ordynat... nigdy ciebie nie kochał. Odgadłem to po tobie i po wuju. Cierpiałem, bo chciałem dla was szczęścia. Ale cierpiałem stokroć więcej po otrzymaniu zawiadomienia o twym fatalnym ślubie. To mnie zdecydowało: moje zamiary stały się już niewzruszone. Jestem: i nie pozwalam! Brochwicza nie zaślubisz.

— Drażnisz mnie, mój drogi! Proszę, abys nie interesował się mną. Co robię, to robię z rozmysłem.

— Ale ratunku pragniesz — rzekł Bodzio.

Lucia rozumiała, że się wikła niepotrzebnie. Lęk się wzmógł.

— Czekalaś ocalenia. Lecz kto cię miał ratować?

— Nikt do tego nie ma prawa! — wybuchnęła nieszczerze, ale z rozpaczą.

Bohdan chwycił ją za dłoń, rozpalone jak płomienie.

Sumienie

— Ja mam prawo i wyzyskam je — rzekł z energią.

— Jakie... prawo?

— Bo cię Kocham!

— Ty... mnie?!

— Tak.

Patrzyli na siebie prawie bez tchu. Bodzio był zmieszany i wzruszony. Fale uczuć przelatywały przez jego szczupłą, ale męską twarz.

— Czy to litość, czy sposób na zatrzymanie mnie od... fałszywego kroku? — spytała Lucia, cała drżąca.

Michorowski ręce jej ucałował. Głos mu się gwał, gdy zaczął mówić:

— Luciu, wybac mi nagłość wyznania. Kochałem cię od dawna, lecz nie było to jeszcze uczucie uwypuklone; nie pojmwalem sam siebie. Szczęście, które widziałas w małżeństwie z ordynatem, chciałem ci uczynić realnym. Cierpiałem, że się ludzisz, ubolewałem nad tobą i nad nim. Bo widzisz: Waldemar Stefcię kochał prawdziwie, to była miłość wyjątkowa i trwała. Pozostała świętą. Ty tak nie kochałaś. Prawda?

Lucia zaczęła mrugać powiekami.

W duszy jej coś się łamało, coś zapadło w przestrzeń, z której sphywał ciepły strumień ukojenia. Otucha wielka, nadzieja wszechwładna zakwitła nagle, owiała ją przepięknym ogniem szczęścia, niepojętego jeszcze, lecz już świtającego.

Szczęścia, że ocalenie przyszło.

Szczęścia, że kwiat życia nie zwiadł, ale może się rozwinąć.

Szczęścia, że przestraszająca ją mara nędzy przyszłego bytowania, nicości moralnej runęła zabita odwagą Bohdana.

Bodzio Luci zaimponował. Poddawała się pod jego władzę, w jej sercu wdzięczność dla niego rosła w uwielbienie.

On ją zaprowadził na kanapkę pod kwitnący rododendron, siedział obok niej i milczał. Odczuwał chwilę przełomową, której się w niej domyślał. Może i sam siebie badał do głębi, ale wyznania nie żałował.

Minęła długa godzina, zanim Lucia ocknęła się z oszołomienia, z burzy wzruszeń zwichrzonych, słodkich i niepokojących, z targaniny wahań, z nadziei promiennych, z odmętu poróżnionych ze sobą wyrzutów gorzkich i pragnień jaśniejszego istnienia.

Bohdan zbudził ją zapytaniem:

— Luciu, nie dałaś mi odpowiedzi. Powiedz: czy nie odnajdujesz różnicy pomiędzy miłością Waldemara dla Stefci a swoim do niego uczuciem?

Lucia spojrzała mu śmiało w oczy.

— Tak, on kochał inaczej. Ale i ja kochałam! Nie mówmy już o tym. Ty, Bodziu, również nie wyjaśniłeś mi... swego wyznania.

Bohdan się zarumienił.

— Przysięgam ci, że jechałem tu, powodowany tylko uczuciem brata dążącego na ratunek siostry. Gdy ujrzałem ciebie, przemówiła w mym sercu miłość, tłumiona dotychczas usilnie i... nierozwijana. Kocham cię, Luciu, ale chcę cię ocalić nie z powodu osobistych pragnień. Bądź rozumna i z Brochwiczem zerwij. Szkoda i ciebie, i jego.

Lucia załamała dłonie.

— Jak on to zniesie, jak mu to powiem! Jednak już to... konieczne.

XLVII

Hrabia Brochwicz oczekiwał ślubu z niecierpliwością.

Pewnego dnia do jego gabinetu, gdy hrabia wybierał się odwiedzić narzeczoną, wszedł niespodziewanie kamerdyner księżnej Podhoreckiej i wręczył mu list wraz z paczką. Szepnął tajemniczo:

— Jaśnie panie hrabio, u nas stało się jakieś nieszczęście.

— Co się stało? Mów.

— Coś jest źle z naszą panią, i to od przyjazdu młodego pana Michorowskiego.

Brochwiczem wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz. On wiedział najlepiej, że z Lucią dzieje się coś, co mu rozwieje szczęście.

Kamerdyner mówił dalej.

Szczęście

— Baronówna często rozmawia z panem Bohdanem, a potem płacze i po całych nocach nie sypia.

— Dobrze, dobrze; dosyć! — z niesłychanym rozdrażnieniem rzekł Brochwicz.

Po wyjściu służącego Jerzy przeczytał list. Z dołączonego pudełeczka wypadł zaręczynowy pierścionek Luci. Brochwicz spodziewał się tego; jednakże wrażenie, jakiego doznał, było ogromne i rujnujące jego istotę. Dusza jego żalosna, zmordowana tyloletnią męką, została ostatecznie zmiażdżona nieszczęściem.

Jerzy patrzył na pierścionek i powoli zgnębienie mijało, ustępując miejsca nienawiści. Pytania skłębily się, ale nie umiał na nie odpowiadać.

Dlaczego Lucia zrywa w prawie ostatniej chwili? Skąd wyłoniła się w niej ta walka, która zmogła jej postanowienie?!...

Już była zdecydowana na życie z nim, wierzyła w przyszłość i jemu pozwalała mieć nadzieję. A teraz suche słowa:

„Musimy się rozstać, bo szczęście nie dla nas. Przejrzałam i brak mi odwagi do zaślubienia pana. Lepiej, że przecierpimy wspólnie, niż gdybym pana i siebie oszukiwała. Chcę być uczciwa”.

Brochwicz zrozumiał, co przyczyniło się do zerwania.

To obecność Bohdana.

Wściekłość ogarnęła duszę Jerzego.

Uczuł się zdeptany, upokorzony. Gdybyż tylko przez Lucię, ale tu winnym był głównie Bohdan! On, jak szatan-kusiciel, zjawił się tu niespodziewanie i siłą jakąś niezwykłą wywarł na niej wpływ, wydzierając mu szczęście.

Brochwiczowi, tak samo jak Luci, przyszedł na myśl ordynat, działający przez Bohdana. Ten podstęp, niegodny Waldemara, rozgoryczył Jerzego, zbudził w nim szalony gniew. Ale Brochwicz miał świadomość, że Luci już nie odzyska. Na razie egoizm przeważał, hrabia myślał o zemście za swoją porażkę, nie troszczył się o psychologię Luci i o jej los, siebie tylko widział, swoją odczuwał nędzę. Luci zlorzeczył. Lecz przede wszystkim chciał prawdy. Co zaszło?

Jerzy, jak konający, ujrzał w wyobraźni cały szereg lat zawierających w sobie miłość nieszczęsną dla Luci. Tyle starań daremnych, tyle walk i udręki wewnętrznej, tyle rojeń słodkich, które oto już spełnić się miały. Wszystko zostało mirażem...

Marzenie, doprowadzone do progu szczęśliwości bezmiernej, okazało się złudą okropną. Gorzki fakt zajął miejsce nadziei, pielęgnowanej troskliwie. Ironia szydziła i nasuwała potworne myśli, ukazując zdarzenia minione w całej ich nagości. To, co wydawało się dawniej w barwach pastelowych, dziś było bezczelnie kolorowe. Brochwicz widział swe uczucia bez osłon. Zdawało mu się, że kocha Lucię miłością bardziej duchową, że przede wszystkim pragnie jej szczęścia. Uczucie to się wzmogło, gdy została jego narzeczoną. Bliskość małżeństwa pobudziła altruizm duchowy, widzenie własnego szczęścia spowodowało hojność niesłychaną, lecz bez określonych granic.

A teraz wszystko to umarło! Pozostała zawiść, że ukochana kobieta jest mu odebrana, że posiadzie ją ktoś inny. Instynkt zwierzęcy pędził do zemsty.

Zemsta powinna być wywarta na tym, kto go Luci pozbawił.

— Ale kto nim jest?...

Pozornie Bohdan — i on będzie odpowiadał. Jeśli poza nim jest zrećźnie ukryty ordynat, to i on powinien ponieść karę.

Brochwicz zdławił rozpacz i postanowił działać.

Zaczął szukać sposobności zobaczenia się z Bohdanem na gruncie neutralnym. Wiedział, gdzie szukać Michorowskiego, i tegoż dnia spotkał go w jednej z sal Luwru.

Bohdan, ujrawszy Brochwicza, zdziwił się, ale podszedł i wyciągnął rękę z powitaniem.

Hrabia cofnął swoją dłoń.

Michorowski zapłonął.

„Chce ze mną awantury” — pomyślał.

Patrzyli na siebie przez chwilę.

Wreszcie Bodzio przemówił:

Kłótnia

— Wiem, jaki jest powód pańskiego zachowania się, i dlatego wybaczam je hrabiemu. Gorycz bywa tak silna, że skłania nawet do niegrzeczności.

— Więc pan sądzi, że ja popełniłem tylko niegrzeczność i że nie podaję panu ręki bez powodu? — spytał Brochwicz głosem wprost policzkującym.

— Tak. Hrabia powinien być trzeźwiejszy i nie szafować obelgą bez racji.

Jerzy się zdumiał. Pewność siebie Bohdana zaniepokoiła go.

— Pan intrygami swymi zerwał moje małżeństwo!

— Owszem, skłoniłem do tego baronównę. Przekonałem ją, że popełnia czyn bardzo ryzykowny i nierozważny.

— Jakie pan miał do tego prawo?! — w uniesieniu zawołał Brochwicz.

— Prawo uczciwości.

— Czy pan działał za siebie... czy za kogoś?

— Wyłącznie z własnej inicjatywy.

— Więc jak mam pana nazwać?... — wybuchnął Jerzy.

— Hrabio, proszę się uspokoić. Ja was oboje ocaliłem. Wchodziliście w nieszczęście bez zastanowienia. Lucia pana nigdy nie kochała i nie kocha. Nie mogło się stać to, do czegoście dążyli.

— I pan zostałeś aniołem stróżem Luci, pasterzem jej i mojej moralności. Zbytek łaski! Interwencja pańska jest nikczemna i śmieszna.

Bodzio panował nad sobą, ale czuł, że się wyczerpuje.

— Jesteś, hrabio, niesprawiedliwy i nadużywasz mej pobłażliwości dla swego rozdrażnienia. Powtarzam, że wasze małżeństwo dojść do skutku nie mogło. Chciałem ratować kuzynkę od tej toni, i celu dopiąłem. Czuję się w zupełnej zgodzie z własnym honorem i sumieniem. Hrabia wiedział, że narzeczona nie kocha go, i pomimo to nie wahał się zakuwać ją w związek dla niej tragiczny. A zatem, kto z nas więcej pragnął szczęścia dla Luci?...

Brochwicz miał w sercu przerażenie, zgrozę. Ale gniew przemógł wszelkie inne uczucia.

— Pomimo pańskich wykrętów czyn jego jest podły i podstępny. Gardzę panem!

— Hrabio, proszę się liczyć ze słowami! — wykrztusił Bodzio nieswoim głosem.

— Nie liczę się z panem wcale! Cofam panu swoją dłoń i brzydzę się panem. Jesteś bezczelny! Plugawisz nazwisko, które nosisz! — krzyczał Brochwicz bez opamiętania.

Bohdan pobladł straszliwie. Zrobiło mu się ciemno w oczach. Spadł na niego cios niespodziewany, bolesny, pierwszy w życiu i ogłuszył do chwilowego zaniku myśli.

Gdy się ocknął, Brochwicza już nie było.

Zdrój krwi gorącej buchnął do mózgu Bohdana. Obrażona duma zażądała odwetu.

Bodzio wyszedł z Luvru z gotowym postanowieniem.

Cierpliwie znosił obelgi dla miłości Luci, lecz już nawet dla niej poświęcenie okazało się zbyt hańbiące.

Szedł do swego mieszkania uspokojony, prawie wesół. Przypomniał sobie pierwszy pojedynek w Warszawie i to go znowu rozdrażniło.

„Jaka różnica między tamtym a tym, który nastąpi!” — myślał.

Żałował Luci i z nią razem życia. Bardzo jasno i wyraźnie odczuł teraz miłość do niej i cześć, i uwielbienie, i współczucie nad losem jej nieszczęsnym.

— Co się z nią stanie? — pytał siebie Bodzio.

Pojedynek zmalał wobec tego pytania, które pochłaniało całą istotę młodzieńca.

— Co się stanie z Lucią?

I bez odpowiedzi, mogącej go uspokoić, Bohdan męczył się całą noc.

XLVIII

Brochwicz chciał wyrwać z siebie tę prawdę okrutną, którą mu rzucił Michorowski. Lecz nie mógł. Gorzka, wstrętna prawda rozrosła się w jego duszy i unicestwiła ją. Następowaly myśli bardzo trzeźwe i bardzo bolesne.

— Bohdan ma słuszność! Ona by mnie znienawidziła. Ona mną gardzi, tamtego ceni jako swego wybawiciela. Bohdan postąpił z Lucią uczciwie, tylko ja chciałem ją poświęcić dla własnego egoizmu.

Jerzy poczuł w duszy ciężar, niebywały⁹⁵ dotychczas. Wątpliwość co do siebie rosła; szacunek dla Luci i Bohdana wykwitł nagle i potężnie. Hrabia myślał i walczył ze sobą. Odbył spowiedź przed własną duszą, najtajniejszą myśl swoją wydobyl z ukrycia i przyjrzał się jej w świetle trzeźwej analizy. Zbadał uczucia i to było przesilenie rozpaczliwego gniewu. Tylko jawa nieszczęścia pozostała wciąż tak samo straszna.

Brochwicz ujrzał pustkę przed sobą, pustkę życiową niby marę włóczącą się za nim bezlitośnie. I zatrząsł nim dreszcz przerażenia, bo oto zrozumiał, że w tę pustynię bez oazy iść musi samotny, z duszą zranioną, z sercem krwawiącym.

Hrabia odczuwał płacz wewnętrzny, rozrywający mu klatkę piersiową, lecz łzami nie płakał. Oczy były suche, ponure.

„Bohdan zwyciężył!” — myślał hrabia bez przerwy.

Jaką tamten ma przewagę w pojęciu Luci, o ile wyżej ona go cenić może od tego, który ciągnął ją na bezdroża! Jerzy porównywał siebie z Bohdanem, ale od razu sam sobie wydał się karykaturą.

Tamten działał na chłodno, on głównie dążył do zadowolenia swych pragnień. Ale... czy Bodzio był zupełnie obojętny w swych uczuciach, gdy zrywał ich małżeństwo? Działał bez wiadomości ordynata — to widoczne! Czy tylko powodowany szlachetnością czy też z powodów osobistych?

Hrabia zastanawiał się, dlaczego Bohdan, taki zapalczywy, tym razem był spokojny. Pierwszą obelgę, gdy mu cofnięto dłoń, wy tłumaczył pobłaźliwie; na słowa wyzywające odpowiadał bez wybuchów, mocował się ze sobą, ale potrafił utrzymać takt, którego się w nim Brochwicz nie domyślał.

Co go tak zmieniło?...

Jaka siła wstrzymała go od gwałtowności, znanej u niego powszechnie?

— Jedna jest jedynie możliwa: on kocha Lucię.

Ta myśl zarysowała się od razu jako pewnik. Zgnębiła ostatecznie Brochwicza, bo na tle swego nieszczęścia ujrzał on znowu — rywala.

A jednak żałował, że obraził Bodzia. Niepokoił się, podziwiał zimną krew młodzieńca, czynił sobie wyrzuty. Zamknięty w swym gabinecie męczył się i cierpiał, nie widząc ratunku.

Zrozumiał, że nie dość jest kobietę kochać szalenie i okazywać jej głębi swych uczuć, nie dość jest miłować duchem i pożądać zmysłami, ale trzeba posiadać tę moc wyłączną, odrębną siłę psychologiczną, która zniewala kobietę do wzajemności. Trzeba umieć otoczyć ukochaną siecią swej przewagi, delikatną i subtelną, ale trwałą, nieulegającą zniszczeniu. Trzeba z ostrożnością niesłychaną odróżnić despotyzm od tej odmiennej formy despotycznej, mającej władzę bóstwa, a wytworność i barwę storczyka.

Nie żebrać miłości, ale brać ją stanowczo jak swoją własność.

Iść do celu bez wahań, bez skrępułów, lecz krokiem śmiałym, druzgocącym wszystko po drodze.

Michorowski szedł z taką właśnie zuchwałością życiową, wszystko rzucił na szalę jednym zamachem i... wygrał.

Lucia odczuwała przewagę Bohdana, łamiącą bezwzględnie jej niepewność.

Brochwicz rozmyślał, czasem ze spokojem dziwnym, czasem — do głębi wzburzony.

Powtarzał sobie, że świat i życie ludzkie to błaga, obłuda i wielka fatamorgana. Optymizm, zwykły towarzysz młodości, gdy zanika, zostawia po sobie w istocie człowieka martwoję i niechęć zupełną. Wszystko jest fałszem, to podstawa świata.

Świat jest jak teatr, odgrywają się w nim tragedie, dramaty najczęściej i komedie, zmieniają się aktorzy, dekoracje, lecz treść główna i scena pozostają te same. Treść oparta na wiecznym, subtelny, ordynarnym oszukiwaniu siebie.

Mówią: kochać — to żyć! Paradoks.

Kochać — to morfina; bez niej zamiera się, a nią się zatruwa.

Kochać z wzajemnością to szczęście wielkie, to odurzenie narkotyczne.

Kochać bez wzajemności to trąd, śmierć, to gorsze od śmierci.

Ale kochać i bez wzajemności, i bez jednego atomu nadziei, to powolna, okrutna agonia.

⁹⁵niebywały — tu w znaczeniu dosł.: jakiego (dotąd) nie było. [przypis edytorski]

Zazdrość szarpała Brochwiczem. Zabiorą mu Lucię... I kto ją zabierze? Gdybyż umarła... Gdybyż nikt nie miał do niej prawa!

Egoizm i mściwość podniecały się w duszy Jerzego. Ale zastanowienie przemawiało ciszej wprawdzie, lecz samowolniej.

Brochwicz zmagął się ze sobą.

Wieczorem oznajmiono mu nadejście dwóch panów. Nazwiska ich objaśniły Jerzego. „Sekundanci Bohdana” — pomyślał.

Odetchnął spokojnie, lecz zanim wyszedł do salonu, gdzie go oczekiwano, przebył ze sobą krótką, ale straszną walkę. To, co miał uczynić, pruć mu żyły. Zatał krzyk protestu wyrwywający się z wyżyn ambicji i wyszedł do sekundantów zimny, poważny. Był zwycięzcą — samego siebie.

Przyjaciele Bohdana zrozumieli inaczej. Postawa Brochwicza wydała się im groźna.

„Podyktuje ostre warunki” — pomyśleli jednocześnie.

Po wymianie ukłonów starszy z panów wyjawiał cel ich wizyty. Hrabia słuchał bez wrażenia i milczał.

Sekundanci spoglądali na siebie porozumiewawczo, nie pojmując zachowania się wyzwanego.

Nagle Brochwicz rzekł głosem stanowczym, ale zupełnie odmiennym niż zwykle.

— Ja z panem Michorowskim pojedynkować się nie będę.

Sekundanci się zdziwili.

— Jak to?! Hrabia odmawia pojedynku, będąc wyzwanym? — spytał jeden ze świadków Bohdana.

— Tak, odmawiam zadośćuczynienia z bronią w ręku.

— Hrabio! Jaki pan ma powód?!...

Brochwicz spojrział im śmiało w oczy, wzrokiem jasnym, prawym.

— Panowie! — przemówił dobitnie. — Obraziłem pana Michorowskiego bardzo poważnie i z rozmysłem. On był wyrozumiały, ja zaś niesprawiedliwy. Cisnąłem mu obelgę niesłusznie, prawda jest po jego stronie.

Świadkowie mieli miny niesłychanie zdumione.

Jerzy, głosem załamany, ciągnął dalej.

— Proszę panów zawiadomić pana Michorowskiego, że gotów jestem przeprosić go, gdyż uznaję się winnym. Jeśli wówczas zechce on pojedynku, będę do usług. Żegnam panów.

Hrabia cofnął się do gabinetu.

Miał wrażenie, że zdmuchnął ostatni płomyk w świątyni, w której królowała Lucia, owiana dymem tajemniczym uludy.

Buchały mu w mózgu wulkany, ziejąc ogniem i lawą rozpaloną. Coraz więcej ich przybywało i coraz wściekleszych. Jerzy pragnął śmierci, lecz nie z ręki Bohdana, nie w pojedynku o Lucię. Tęsknił za czymś, co mu dać może zapomnienie.

W parę godzin potem, kiedy Brochwicz drażnił się już brakiem wiadomości od Michorowskiego i miał do niego jechać, nagle sam Bohdan zjawił się przed zdumionym hrabią.

Jerzy, niezmiernie ujęty, ręce wyciągnął do Bodzia szczerze i serdecznie.

— Więc mi pan wybacz? — spytał.

— Tak, chcę, abyśmy się rozstali w zgodzie bez przykrych wspomnień. Zatuszujmy je. Chciałem pana zabić, teraz pragnę zgody.

Uścisnęli się przyjaźnie.

Brochwicz chciał wyczerpać sprawę. Rzekł ze wzruszeniem:

— Drogi nasze rozchodzą się, może na zawsze: kto wie? Proszę pana pożegnać ode mnie baronównę i księżną. Nie mogę spełnić tego osobiście. Ale... pan mi nie odmówi ostatniego pytania. Jestem w prawie zadać je panu.

Bodzio przeczuł dalszy ciąg.

— Proszę!

— Pan... kocha ją. Czy tak?!

— Kocham! — odrzekł Bodzio śmiało i dumnie.

Brochwicz zzieleniał. Żółć zalała mu krew w sercu. Rzekł cicho:

— Tylko to chciałem wiedzieć.
Pożegnali się w milczeniu.

XLIX

Księżna Podhorecka z Lucią wracały do kraju, Bohdan im towarzyszył.

Baronówna pragnęła ciszy, zaczęła marzyć o wstąpieniu do klasztoru. Ale myśl ta była jedynie przywłaszczona, nie zaś istotna.

Lucia chciała od razu w Belgii pozostać w klasztorze, w którym przebywała po śmierci Stefci Rudeckiej. Lecz oparł się temu Bodzio, i ona znowu mu uległa.

Gdy jechali we troje na dworzec kolejowy, Lucia w nerwowym podnieceniu spoglądała przez okno karety na zaśnieżone ulice Paryża.

Nareszcie rzekła:

— Pozostawiam tu swoją przeszłość.

— Tak, i zapomnij o niej — odrzekł Bohdan. — Byłaś, kuzynko, pogrążona we śnie przez szereg lat. Dopiero teraz otwiera się przed tobą...

— Furta klasztorna. Powinnam była dawno ją przekroczyć — wybuchnęła Lucia ze spazmatycznym dreszczem.

Księżna położyła swą miękką dłoń na rękę dziewczyny.

— Wierz mi, dziecko, są nieszczęśliwsi od ciebie. Są tacy, których nikt nie kocha, a jednak idą w świat samotni i dążą do czegoś, i zawsze pragną.

— I w końcu rozbijają głowę o bramę, za którą jest tylko utopia — odparła baronówna.

— Nie, bywa za nią czasem nowy horyzont i taka ogromna perspektywa, że przeszłość wydaje się malutką łączką wobec tego obszaru.

Dziewczyna uważnie sięgnęła wzrokiem do oczu księżnej, jakby chcąc wywlec z niej duszę.

— Mnie już taka... niespodzianka nie czeka — rzekła ponuro.

— Ach, dziecko moje! Jesteś tylko widzem swego życia i jego krytykiem, ale nie autorem. Możesz się domyślać epilogu, lecz go nie znasz. Los to twórca genialny, dowcipny! I... często złośliwy. A ja ci mówię, że bywają epilogi o większej wartości niż najpiękniejszy prolog. Ostatnie słowo w danym dziele czasem się staje pierwsze w nieznanym nam sztuce, będące w przestrzeni. Tylko nikt się tego nie domyśla.

— Więc babcia sądzi, że ja...

Lucia spotkała palący wzrok Bohdana i zająknęła się.

— Sądzę — odrzekła księżna — że to wszystko, co przeżyła, jest pierwszą i małą częścią dużego tomu. I jeszcze nie byłaś dotychczas w pełnym świetle. Otaczały cię roje świetlików, chodziłaś w ich smudze tęczowej, ale migocącej, nieumiejscowionej. One zagasły; przed tobą wschód słońca! Zaszlepiona ułudnymi błyskami, nie od razu ujrzysz tę nową, odmienną i prawdziwą jasność. Gdy ją zobaczysz, wówczas odczujesz moc ducha i powiesz sobie: Idę w życie. To będzie dopiero twoim odrodzeniem...

Lucia zamyślona, zasłuchana, nie spostrzegła się, że lzy wielkie spadły jej z oczu, i że Bohdan patrzył na nie chciwie a łagodnie, jak słońce na rosę kwiatu. Rzewność miał w żenicach i powagę, i myśl głęboką. Lucia wiedziona czułością, rzadką u niej, pochyliła się i ucałowała rękę księżnej; jednocześnie Bohdan zrobił to samo. Głowy ich się zetknęły, w ślad za tym spotkały się oczy.

Lucia ujrziała w nich tyle uczuć, tyle promieni sypiących się kaskadą, że z dreszczem trwogi spuściła powieki. Oczy Bohdana były dopełnieniem słów księżnej.

„Oto wschód!” — mignęła myśl nagła.

Lucia przestraszyła się jej, jakby objawienia nieziemskiego.

Dojechali do dworca.

Baronówna zmierzała już do wagonu, gdy wtem stanęła. Ukrop krwi wartkiej oblał ją całą.

Ujrzała Brochwicza tuż przed sobą.

Parzył na nią prawie przerażony.

Żal, współczucie odezwały się w niej.

Wyciągnęła rękę do hrabiego.

Życie jako wędrówka

Theatrum mundi

— Żegnamy się. Wszak prawda? — szepnęła z uczuciem.

Uściskał jej dłoń w milczeniu.

— Czy i pan wyjeżdża?

— Tak.

— Dokąd?

Jerzym zatrząsł gniew. Chciał odejść, ale przemógł się i odparł spokojnie:

— W przestrzeń nieznaną.

Lucia rozjaśniła się, jakby po cieniu padła na nią smuga świetlista.

— Ja także! Więc może i pan znajdzie... wschód?! Nowy, odmienny, prawdziwy wschód!

Mocno ścisnęła palce Brochwicza i prędko wbiegła do wagonu.

Hrabia ścigał oczyma znikający pociąg, który unosił Lucię, wytężał wzrok, by do ostatka nie stracić ani jednego szczegółu, ani jednego ruchu uciekającej masy wagonów. Krwawa luna rozlała się w żrenicach Jerzego i przez nią widział szczątki swego snu.

Gdyby nie przytomność umysłu, Jerzy rozdarłby piersi swoje i pokazał pustkę w nich — czarną jamę, wyżłobioną przez gorzyc, przez rozpacz, przez zawód bolesny.

„Ona mi na końcu o wschodzie mówiła” — myślał błędnie.

Jaki wschód? Czy dla niej świta?...

Wschód dla mnie... Ha, ha!

Brochwicz zapragnął nagle ruchu, gwaru. Ujrzał w wyobraźni morza, oceany, góry lodowe, skały nieprzebyte. Usłyszał krok bałwanów, zgrzyt wichru o maszty, trzask, łomot lodowców.

W podróż! W podróż!

Uczuł szaloną wolę, konieczność podróżowania...

W przestrzeń! Do...

— Wschodu — szepnął głos Luci.

— Nie! W przestrzeń do ukojenia.

L

Matka-ziemia, odmłodzona i pachnąca, wyszła już z kąpeli wiosennej. Spłynęły z niej brudne strugi wód, znikły kałuże i zwinne potoki. Przyroda wychlustuje ze swej wanny resztki zapienionych mydlin. Czystą, ożywczą wodą deszczów płucze ziemię i namaszcza ją wonnościami.

Są cudne.

Pachną żywiczne soki sosen i świerków. Brzozy rozmarzone ronią woń subtelną, lecz odurzającą. Już i źródła okadzają się pachnidłami i leśne grzęzawiska-moczary. Rozkołysany zew ziemi, twórczy podzwon rodzicielki wzmacnia się i gotuje wszystko do uroczystości kwitnienia.

Zaczęły się próby. Wytworne zapachy uderzyły w powietrze.

Sypią się kwiaty białe, modre i żółte.

Pękają pączki drzew.

Radość urodziła się słoneczna i pływa w przestrzeni.

Niebo i ziemia wznoszą hymn.

Ono lazurowe jak toń Adriatyku, ona cała kwiecista. Niebo żeni się z ziemią; odprawia swe gody hucznie, ze śpiewaniem chórów ptasich, z dzwonieniem owadów, z kipiącą potęgą rozrostu.

Poróżowiwały nasiąknięte sokiem lipy. Tu i tam buja biały motyl.

Poranek roku zaświtał przecudny.

Uczucia nagromadzone szczerze rosną z każdą chwilą. Uczucia, duchem poczęte, więc przeogromne, trawiące wszystko.

Zda się, że na ziemię zstąpiło serce. Wielkie serce miłowania. I tuli ziemię, i pieści, jak ojciec stęsknione dziecko. Serce przygarnia do siebie wszeistność, łączy twory ziemi w rodzinę jedną, zespoloną szczęściem. Wchodzi do dusz roślin, stworzeń wszelakich i do dusz ludzkich.

A gdzie wstąpi — rosną skrzydła.

A gdzie zajrzy — promień się budzi.

Wiosna

I śpiew upojny, wyrwany rozkoszą z piersi brzmi dziękczynieniem.

Nadzieja wzbogaca się, otucha stroi w złotolite szaty. Rany goją się łatwiej; cierpienia przekwitają lub schną.

Bo serce wszechbytu, serce rozpalone miłością, serce z wiosną nadeszłe⁹⁶ balsam kładzie do duszy, kropi płynem czarodziejskim wiary i natchnienia.

Wszystko głębiej czuje, bujniej myśli.

Wszystko się kocha. Tylko jeszcze nie staje na ślubnym kobiercu, jeszcze nie osiąga najwyższej ekstazy. Zaledwie początek niezmiernego piękna — a już zachwyca.

Idzie rozkosz, idzie! Podwaja swój pęd, rozkosz dla ducha, dla serc upojenie.

Lucia Elzonowska witała wiosnę w Obronnem. Mieszkała tu od powrotu z Paryża, będąc pod opieką księżnej Podhoreckiej.

Trzy miesiące, przebyte w cichym pałacu, pozostawiły na Luci ślad wybitny. Uspokoila się pozornie, w rzeczywistości jednak walki wewnętrzne nie ustały, tylko były już inne niż przedtem.

Lucia w pierwszych czasach powrotu z zagranicy spotykała ordynata z pewnym wstydem. Ale widząc jego zadowolenie z powodu zerwania małżeństwa, odczuwając jego serdeczność dla siebie, pozbyła się fałszywego uczucia. Wróciła jej dawno zaginiona swoboda w obcowaniu z Waldemarem; była mu siostrą i spostrzegą z ulgą niezmierną, że gwałtowne przejścia duchowe w Paryżu unicestwiły jej miłość. Uwielbienie, cześć dla ordynata nie uległy zmianie, ale teraz dziewczyna już umiała nazwać te uczucia po imieniu.

Widywali się dość często, stosunek ich z dniem każdym stawał się naturalniejszy. Częściej jednakże Lucia przebywała z Bohdanem, który kończył praktykę w Głębowiczach przed wyjazdem na posadę do Biało-Czerkas.

Rozmowy Luci z Bodziem były wyczerpujące dla niej, ale ich pragnęła. Jego śmiałość poglądów brała Lucię w swe jarzmo, nakazując jej mimowolne poddaństwo.

Bohdan humorem swoim rozbawił ją, nadał inny kierunek jej myślom, łagodził jej duszę, powracając do zdrowia. O miłości swej nie mówił.

Bawili się ze sobą jak dzieci, razem odbywali spacer, razem czytali i grali w bilard. Szukali się wzajemnie.

Gdy śniegi stopniały, Lucia i Bohdan lubili zrywać pierwiosnki po mokrych gajach w Obronnem.

On opowiadał jej wiele ciekawych szczegółów ze swego życia przed poznaniem ordynata. Drażnił ją wybrykami dowcipów i czasem łobuzerską brawurą w obejściu. Sprzeczki ich bywały częste i nieraz w tonie ostrym. Oburzenia Luci chłopak dowcipnie wyśmiewał, krytykował pewne jej poglądy, był albo subtelny jak rzeźbiarz kamei, albo też nawet szorstki. Lucia nigdy nie mogła być pewna, jak skończy się ich rozmowa, jak go pożegna po najlepszym powitaniu. Nie zdołała zgłębić jego natury. Zaciekawiała się, gorączkowała i wciąż spotykały ją niespodzianki.

Bohdan opowiedział Luci epizod z Burgu wiedeńskiego; swój zapal do arcyksiężniczki odmalował szczerze, ale go trochę mocniej oświecił.

Lucię to wyznanie rozgniewało. Nadąsała się, nie chciała słuchać poetycznych opisów o arcyksiężniczce, która w słowach Bohdana wyrosła na zaczarowaną królową z bajki. Gdy Bodzio spytał Lucię, co ją tak gniewa, odrzekła chmurnie:

— Sądziłam, że Don Juanem nigdy nie byłeś.

— Owszem! Ojej! I jakim jeszcze! Maria Beatrycza to taka duchowa słabotka... Miewałem szaty innego rodzaju. Pamiętasz w Warszawie mój pojedynek o jakąś tam diwę z baletu? No, przedtem była słodka Anni. Z jej objęć wpadłem w uścisk rulety. Maluczko, a nie ujrzelibyście mnie, ale, wedle pojęć księżnej-babki, ten mój pozorny finał był właśnie uwerturą mego życia.

Baronówna nie lubiła takich zwierzeń.

Księżna cieszyła się, patrząc na Lucię jakby odmłodzoną. Staruszka przeczuła, co się dzieje w sercu dziewczyny, ale była dyskretna. Bohdana księżna lubiła, ujął ją sobie ocaleniem Luci od związku z Brochwiczem. Ceniła młodzieńca, że potrafił złamać jej upór, że umiejętnie leczył ją od przebytych cierpień, że miał na nią wpływ dobroczynny.

⁹⁶nadeszłe — przym. odczasownikowy: to, które nadeszło. [przypis edytorski]

Oni się zaś oboje dopełniali. Wysoki Bodzia Lucia umiejętnie normowała; jej kaprysy Bodzio zręcznie obracał w żart; jej smutki rozpraszał, narzucał jej siebie łagodnie, lecz uparcie, tak że w końcu ciągle był w jej myślach. Lucia staczała ze sobą utarczki wewnętrzne. Nic nie pomogło: Bohdan porywał ją i podziwem karmił duszę dziewczyny.

Zaczynała się w niej budzić trwoga przed nim. Lucię ogarniał szal niepokojący, bo odczuwała w sobie nowe prądy. Nowe — a inne.

Baronówna chciała się ratować.

Wmawiała w siebie, że kocha jeszcze Waldemara. Umyslnie jeździła często do Głębowicz; gdzie mieszkał i pan Maciej; wspominała przeszłość, hipnotyzując się nią uporczywie.

Lecz wszystkie te zabiegi były tylko złudzeniem ratunku. Postać Bohdana prześladowała Lucię.

Pochłaniał ją całą.

Ordynat odgadł w kuzynie miłość dla Luci i wiedział, że pozyska jej wzajemność. Nie dziwił się niczemu, tylko rozmyślał nad psychologią dziewczyny, gdyż była dla niego ciekawa.

Waldemar śledził Lucię badawczo, chociaż z ostrożnością. Jej skłonność do Bohdana, wzrastająca niesłuchanie szybko, zaczynała go trochę drażnić. Nie mógł sobie uświadomić plastycznie skojarzenia różnych wrażeń, które mu się nasuwały. Czuł jednorazowo: radość z powodu, że Lucia wyzwoliła się ze swej nieszczęśliwej miłości dla niego, że nowe uczucie dla Bohdana już w niej kiełkuje, że teraz może być szczęśliwa i... leciuchny cień zawodu, żalu nieuchwytnego jak mgielka, że jednak Bohdan wziął ją całą, i że ta dawna ubóstwiająca go kobieta jest już pod wpływem innego. Były to wrażenia przykre, ale lekkie i wątłe, rozplywające się w ogromie dobrych, radosnych uczuć, jak niemiła woń kantarydy w bujnie rozkwitłym gaju bżów. Ordynata przerażało małżeństwo Luci z Brochwiczem, ale nie stawiał energicznych przeszkód, ponieważ brakło mu w duszy tego, co posiadał Bohdan względem Luci. Nie mając ściśle określonej metody działania, nie mógł działać. Jej zwrot do Bohdana nie był dla ordynata nawet chwilową podniecią do zatrzymania jej przy sobie. Nigdy nie zmieniłby swej idei przewodniej, która przyczyniła się do odepchnięcia Luci, jednakże denerwowało go nieco jej odejście. Objaw ten Waldemar tłumaczył niezmiennością swoich uczuć, w przeciwstawieniu do wrażliwej natury Luci, potrzebującej oparcia. Usposobienie jej poważne, ale namiętne, śmiałe, lecz melancholijne, musiało harmonizować z gorącą i poetyczną naturą Bohdana, jak również musiało ulec jego woli i stanowczości, przewyższającej jej wolę i stanowczość.

Brochwicz utracił ją dlatego, że był pod jej władzą, Bohdan ją pozyskał, gdyż umiał wyłącznie nad nią zapanować.

Pomimo wszystkiego Waldemar obawiał się rozwiązania tej sprawy. Nowe zawody Luci byłyby dla niego ciosem, nie przewidywał ich, ale przeczuł nerwowym lękał się nawet myśli o nich. Lucię miał zawsze trochę na sumieniu. Niepewna jej przyszłość dręczyła go.

Ten sam powód smutkiem przenikał starczą duszę pana Macieja.

LI

Na rzece głębowickiej burzyły się fale wiosenne, roznosząc dokoła huk i zapach wilgotnej piany. Woda błękitno-zielona, trochę mętna, najeżona białymi grzywami bałwanów, waliła szerokim korytem w wirach i skrętach, rycząc, jakby się w jej głębinach odbywały orgie wodników⁹⁷ z najadami⁹⁸. Gdy fale płynęły spokojnie, z szumem i bełkotem jednostajnym a melodyjnym, z toni wydobywały się jakieś głosy przedziwne, niby szepety miłosne, niby westchnienia i zaklęcia. I niby śpiew syreny biegł wówczas po nurtach pełen słodczy, ponętnych obietnic.

Najpiękniejsze załomy i najgłębsza toń na rzece były pomiędzy parkiem i zwierzyńcem głębowickim. Tam zdobyły wodę z obydwu stron olbrzymie masy drzew, które daleko rzucały swój cień głęboki, drgający. Gdy ściany te niebotycznie zazieleniły się, rzeka płynęła

Kobieta, Mężczyzna,
Władza, Miłość

Rzeka

⁹⁷wodnik — w wierzeniach słowiańskich demon i władca wód śródłądowych. [przypis edytorski]

⁹⁸najady (mit. gr.) — nimfy wód śródłądowych. [przypis edytorski]

jak w przepaścistym parowie wśród boru. Ptactwo wodne zaczynało się już gromadzić i kwilić. Zjawily się białoskrzydłe mewy i dumne ze swej urody perkozy.

Bohdan Michorowski nie straszyl ptaków, płynąc w wąskiej łodzi i prawie nie poruszając wiosłami. Codziennie, o ile nie był w Obronnem, zjawiał się na rzece. Tu marzył, snuł zdobywcze projekty i często głośno je wypowiadał, jakby mówiąc do fal. Zebrało się w jego duszy mnóstwo zapytań i zagadnień, odpowiadał na nie śmiało, bez wahania, lecz one wciąż nasuwały się uparcie zawsze te same. Pragnął Luci i wiedział, że już ją zdobył. Ale chciał, aby myśli jej należały do niego i uczucia, i każde drgnienie serca. Pragnął ze swej strony ofiarować jej to samo i był pewny siebie. Nie miał żadnych wątpliwości, że Lucię kocha i że zabezpieczy jej szczęście, gdyż znał dokładnie stan swojej jaźni duchowej. Odczuwał w sobie wiele porywów uspokajających go. Brzydził się istnieniem pospolitego światowca, gogusia, żyjącego zmysłami, dobrym śniadaniem i zabawą, który dba jedynie o poprawny krawat, jeszcze poprawniejszy smoking, najpoprawniejszy kapelusz. Bohdan chciał dążyć do poznania prawd głębokich, do ujarznienia swych namiętności i osiągnięcia ideału życiowego. Chciał zdobyć szczęście, uważał je jeśli nie za jawny, to za utajony cel każdego człowieka. Ale on chciał szczęścia zdobytego mocą ideału. Rozumiał, że z brudnej kopalni przeróżnych pokładów, jaką jest istota ludzka, wydobyć czysty kryształ to praca żmudna; chcąc ją spełnić, nie należy opuszczać rąk, lecz pracować ze wzrokiem zapatrzonym wwyż. Pić ten prąd ożywczy, który nie każdy zdoła uchwycić w porę, by wchłonąć go do duszy skurczonej ziemskością.

Idealista

Młody Michorowski, jakkolwiek liczył zaledwie dwadzieścia pięć lat, przeżył już dużo walk, rozterek, zawodów i życiowych goryczy. W tym odmęcie nie zatracił duszy, nie zohydził serca. Teraz, gdy owładnęło nim uczucie szczere i czyste, żałował, że w jego krótkiej przeszłości były męty... były i błyskawice. Ale każdy mniej więcej przechodzi w życiu przez szlak błyskawic, zanim dosięgnie istotnego i trwałego światła szczęścia. Bagienko pustoty i nędzy moralnej każdemu choć chwilowo zachłupie pod stopami, tylko jeden grzęźnie bez wyjścia, drugiego zaś jakaś twórcza potęga wyniesie na suchy, ale żyzny grunt. Ta moc zbawcza znajduje się w duszy ludzkiej, tylko trzeba ją poznać w sobie i pobudzić niezłomną wolą. Słabość usypia ją, bierność — niweczy zupełnie.

Bohdan w Rusłocku pierwszy raz odczuł w sobie tę siłę, długo z nią walczył, zanim popchnął do czynu. Dźwignią była przemożna wola i miłość do Luci, również w Rusłocku poczęta. Poprzedziła ją tęsknota, której Bodzio wyraźnie nie pojmował. Dopiero w Głębowiczach, podczas świąt Bożego Narodzenia, przed wyjazdem Luci do Paryża przekonał się, że ją kocha. Pomimo to zgodziłby się, aby została żoną Waldemara, ale znając stan uczuć Waldemara, lękał się o szczęście Luci. Przeczuyał, że u niej to neurastenia, ale nie miłość.

Zaręczyny baronówny z Brochwiczem upewniły Bodzia w jego uczuciach, i zarazem stały się zachętą do ryzykownej walki. Podjęta w celu ratowania Luci od zguby, z głęboko ukrytą w sercu młodzieńczą samolubną myślą, walka skończyła się dla niego zwycięstwem.

Teraz marzył o szerokich zakresach w życiu dla siebie i dla Luci. Posada administratora w Biało-Czerkasach była dla Michorowskiego na razie wystarczająca; dobra wołyńskie, bardzo rozległe, ale mniej kulturalne niż Głębowicze, przedstawiały duży teren pracy. Bodzio tworzył obszerne widoki swej działalności, pragnął iść w ślady Waldemara i ufał w swoje siły. Lecz jego bujna fantazja, sięgając w przyszłość, unosiła go ponad Biało-Czerkasy; sokolim lotem rwał się do nieznanych jeszcze obszarów marzeń. Odczuwszy w sobie hart i wolę, doznawał gorączkowych żądz, aby je uczynić niezłomnymi.

Szczupła twarz młodziana i wydatne rysy odtwarzały wiernie prądy wirujące w jego duszy. Ciemne oczy gorzały zapalem i myślą, cała postać odznaczała się czystością linii odrębnych, śmiałych, nie tracąc wytworności. Ruchy były zdecydowane, głos dźwięczny nabrał tonów niskich i brzmiał swobodnie, wyrzucany z piersi bogatą skalą.

Bohdan kipiał niezmiernie żywym temperamentem.

Ordynat wyczuwał przełomy wewnętrzne swego ulubieńca, sprawiały mu one wielkie zadowolenie. Mimo woli nasuwały się mu pytania, co by się stało z Bodziem, gdyby go nie spotkał w Nicei.

I Waldemar doszedł do wniosku że tą czy inną drogą Bohdan zawsze by się wydzwignął, bo nosił w swej istocie zarodek męstwa, niemogący być zdławiony przez nędzę bytu,

i nawet brnąć po nizinach moralnych, wspiąłby się z czasem na ich wyżyny. Waldemar nie czuł się dumny, jedynie szczęśliwy, że odrodzenie kuzyna stało się za jego pośrednictwem.

Już teraz ordynat nie obawiał się o przyszłość młodzieńca. Wierzył w jego siły do zdobywania życia.

Zbliżał się termin wyjazdu Bohdana do Biało-Czerkas.

Baronówna sposepniała.

Ogarnął ją przestach, co pocnie bez niego. Stał się dla niej koniecznym. Już umiała sobie zdać sprawę z uczuć nurtujących ją, chciała Bohdana zatrzymać bezwarunkowo.

Kilka tygodni żyła nadzieją, że on nie wyjedzie. Nieznacznie nadmieniła o tym ordynatowi, że Bohdan powinien dłużej być praktykantem w Głębowiczach. Mówiła to samo Bodziowi, jednocześnie karcąc się za swój egoizm.

Chłopak odkładał wyjazd z dnia na dzień. Ale Waldemar, pomijając wszystko, był stanowczy. Oznajmił swemu faworytowi, że powinien jechać zaraz albo wcale.

W przeddzień wyjazdu młodzieniec zjawił się w Obrońnem późnym wieczorem. Po kolacji pożegnał się oficjalnie z księżną i z Lucią. Ściskając rękę dziewczyny popatrzył jej w oczy z taką siłą i wymową, że zarumieniała się gwałtownie, ale zrozumiała.

Odrzekła szeptem:

— Czekaj na mnie: będę.

Bohdan pochwycił obie jej dłonie.

Gdy pałac pogrążył się w ciszy nocnej, młody człowiek zgasił światło, otworzył okno w swoim pokoju i czekał z drzeniem w sercu.

„Tylko tu przyjść może, skoro zrozumiała” — myślał.

Niepokój szarpał mu nerwy.

Przez okno wpływały szumy wiosennej nocy i zapachy wilgotne a delikatne z krzewów i sypiących się traw. Gdzieś w oddali rechotały żaby, księżyc majaczył słabo, błądzący, jakby powleczony srebrem. Cisza trwała poetyczna, rozpinająca na swych krosnach pajęczyny marzeń, tajemne westchnienia tęsknoty.

Rzewność sączyła się z mętnej pomroki nocnej, okadzzonej wonią świeżej ziemi.

Przed północą zaszemrały w pokoju ciche kroki Luci.

Bohdan przyciągnął ją do otwartego okna.

— Przyszłaś?... Jesteś u mnie! Jakaś ty dobra! — szeptał szczęśliwy i całował jej ręce.

Lucia zawisła mu na ramieniu.

Bodzio, pomimo szarości w pokoju, ujrzał blisko siebie duże oczy dziewczyny, pałające i smutne.

— Luciu, ja wyjadę do Biało-Czerkas, ale... z tobą — szepnął, poruszony do głębi.

Ona potrząsnęła głową.

— To niemożliwe.

— Teraz będziesz ze mną duchem, w sercu cię powiozę, ale... ja przyjadę, by zabrać cię całą, swoją własność, już na zawsze. Boś ty moja. Wiódł nas do siebie taki bożek, którego nikt nie spostrzegwał. Dotyk jego skrzydełek czułem dawno, teraz już i ty odczuwasz ten urok wszechpotężny. Bożek naszego przeznaczenia złączył nas i odkrywa przed nami szerokie horoskopy. Idźmy, Luciu, w ten wszechświat! Tyś moja, więc pójdzies, iść musisz! Pragniemy tego wspólnie.

Lucia, drżąca, nie przeczyła. Cisza nieznaną a poważną zapełniła całą jej istotę, unosząc w przestworza dobre i melodyjne. Z ustami blisko ust Bodzia przemówiła cichutko:

— Więc babcia nam wywróżyła: zaczynamy żyć; przeszłość była tylko prologiem. Więc my we dwoje...

— Będziemy wreszcie szczęśliwi — dokończył Bodzio. — Tobie, ukochana, chcę ofiarować to, czegoś w życiu nie zaznała. Idziesz ze mną: czy tak?

— Na całe życie! — odrzekła Lucia ze szczerą, spokojną pewnością siebie.

Bohdan z uczuciem przedziwnej rzewności ogarnął ją ramionami. Rozpalone jego usta sparzyły jej szyję mocnym pocałunkiem. Przysunęli się do okna i pili razem upojenie serc własnych, pili nektar nocy wiosennej. Dobrze im było ze sobą i zacisznie. Szmer słów miłosnych potwierdzał tę przeuroczystą chwilę najistotniejszych i najtrwalszych zaślubin.

Pieszczota spojrzeń płomiennych wystarczyła im. Byli spleceni ze sobą duchem, serca ich pulsowały razem, myśl łączyła się w jedną smugę świetlistą.

Miłość spełniona

Czynili sobie szczerze wyznania początku swej miłości, rozwój tych uczuć analizowali wspólnie. Upojeni czarem, widzieli przed sobą łąki usiane kwiatami lotosu.

— Luciu — szepnęła Bohdan — patrz! Świta na niebie! Wstaje ranek.

— To jest nasz wschód — odszepnęła przytulona do narzeczonego, pełna ufności, że szczęście obecne nie jest złudą.

Różowe źrenice jutrzeńki spoczęły łagodnie na twarzach zakochanych i zabarwiły je kolorem delikatnym, jak pączki kwiatu jabłoni.

Świergot ptaków zadzwonił perłście, szepty poranne rozniosły się w parku, budząc wszystko, co jeszcze spało.

Jaskółka w chybkim locie frunęła do otwartego okna i zatrzepotała z kwileniem radosnym nad pochylonymi ku sobie głowami narzeczonych.

— To nasze pierwsze błogosławieństwo — rzekł Bohdan.

A ptaszyna śpiewała nad nimi hymn weselny. Po czym uniosła się w powietrze, lecąc wprost na łono jutrzeńki.

Bohdan i Lucia zamienili ze sobą słowa pożegnalne.

LII

Pan Maciej Michorowski po drażliwej rozmowie z Waldemarem, w której raz jeszcze powracał do nieszczęsnej sprawy małżeństwa ordynata, uczuł się zrozpaczony.

Starzec trząsł się konwulsyjnie. Suche ręce oderwał od fotelowego oparcia i drżące wyciągnął do Waldemara.

— Co będzie... Co będzie, na Boga?!

Ordynat utkwiał w nim spokojne oczy.

— Ze mną, dziadziu, czy z ordynacją?...

— Ach! — krzyknął pan Maciej.

Rozwarte jego palce skuliły się, ramiona opadły.

— Ten twój wieczny spokój! Ta ironia!... — wołał z drażliwym smutkiem.

Waldemar wziął go za rękę i przemówił łagodnie. Jakieś wesele drgało w jego głosie.

— Nie, dziadziu, to nie ironia, to tylko odróżnienie pytań. Bo widzisz: ja pozostanę już i nadal, tak jak dziś, bez zmiany.

Mówiąc to, zadzwonił.

— Proś młodego pana — rzekł do kamerdynera.

Starzec patrzył na niego nieprzytomnie, z obwisłą dolną wargą.

Wszedł Bohdan.

— Wzywałeś mnie, wuju?...

Waldemar serdecznie spojrział w poważną twarz kuzyna, wziął go za rękę i przyciągnął ku sobie:

Zwrócił się do starca.

— Oto jest mój następcą, przyszły ordynat Michorowski na Głębowiczach, obecny właściciel dóbr Biało-Czerkaskich. O ordynację, dziadziu, bądźmy więc spokojni.

W wielkiej ciszy, jaka zapadła po tych słowach niespodziewanych, rozległ się okrzyk Bohdana:

— Wuju?!...

Waldemar uściśnął młodzieńca i rzekł z uśmiechem dziwnie promiennym:

— No, chłopcze, nie miejże miny tak zdumionej. Do Biało-Czerkas pojedziesz nie jako administrator, ale jako właściciel. Biało-Czerkasy będą szkołą dla ciebie; dopiero tu rozpocznie się twa praca prawdziwa.

Bodzio przypadł do ramienia ordynata, ucałował je z uczuciem, z wybuchem szau.

Tchnął uczuciem szczęścia i porywem młodości.

Tęgo, co nań spadło, nie przewidywał w najśmielszych swych rojeniach.

Niespodzianka była zupełna i olbrzymia.

Ordynat odsunął go lekko od siebie, przyjrzał się jego twarzy rozjaśnionej.

— Bodziu, co tobie?!

— Drogi wuju! Twoja hojność jest bardzo cennym dopełnieniem mego szczęścia... innego, o którym jeszcze nie wiesz. Jestem narzeczonym Luci Elzonowskiej — rzekł młody człowiek z oczyma błyszczącymi radością.

Wrażenie było ogromne, na razie nieoczekiwane.

Pan Maciej powstał ciężko z fotela i drżący oparł dłonie o poręcz rzeźbioną. Oczy skierował na Bohdana, oczy starcze, może już ostatni raz do głębi wzruszone.

Waldemar nie zdziwił się samym faktem, ile jego nagłością. Uczuł wielki ciężar na duszy kruszący się w pył. Wyrzuty, które czynił sobie co do Luci, miały więc umilknąć na zawsze. Był już o nią spokojny.

Uściskawszy młodzieńca, rzekł serdecznie:

— Wierzę w szczęście wasze, które was szukało i na któreście zasłużyli. Ufam tobie, chłopcze, przekonałem się, że potrafisz chcieć. Czego pragniesz, zawsze to zdobędziesz. Przeciwności zwyciężasz. Pozostań takim i nadal.

Gdy pan Maciej całował czoło Bohdana, powierzając mu wnuczkę, Waldemar rzekł z zapalem.

— Przyznaj, dziadziu, że mam następcę godnego rodu Michorowskich.

W dniu zaręczyn młodej pary zamek głębowicki, głuchy i jakby ciemniejszy od zgonu narzeczonej Waldemara, zajaśniał dawnym przepychem i życiem. Wielka chorągiew na baszcie rozwinęła swe błękitne skrzydło. Igrał z nim wiatr majowy, pieściło słońce.

Bohdan szczupłemu gronu zebranej rodziny, sąsiadom, administracji i tłumowi służby miejscowej przedstawiony został jako przyszły ordynat głębowicki.

Ponieważ był ogólnie lubiany, więc wiadomość przyjęto serdecznie, chociaż ze zdumieniem. Ale na Waldemara spoglądano smutnie.

On zaś po dniu skończonym, przy zorzach wieczornych myśli swe tęskne z promiennej przeszłości, w której się nurzały, skierował na przyszłość.

Pozostała mu już tylko akcja czynów społecznych, z jej hasłem pójdzie dalej, ona mu będzie wskazówką przewodnią bytu.

Ordynat, stojąc na marmurowych schodach przystani, patrzył na szumiącą rzekę przetkaną zachodem słońca, patrzył na skłon nieba i na świetlne korony drzew zwierzynca, patrzył i myślą łowił minione Ikarie⁹⁹ swej szczęśliwości. Radość miał w duszy, że oto najdroższych obrazów swego życia nie zatarł, że utopia urocza, ideału pełna, pozostanie z nim na zawsze.

Zaślubił ją mocą uczuć swych i wiernym jej pozostanie, stopi się z nią, zjednoczy nierozdzielnie.

Źrenice ordynata uchwyciły na obłokach cudną wizję spływającą ku niemu. Wiotka, śliczna, sunęła niby ptak mistyczny, w przelocie muskając wierchy drzew, że pod dotknięciem jej stóp szemrały śpiewnie. Sfrunęła na białą pianę wód i szła cicho, urokiem natchniona, zda się anielska. Niosła do duszy ukochanego miłość nieskończoną, niezmiernie otchłanie tęsknot i marzący szept wdzięczności, i ukojenie, i otuchę na pracę życia.

Niosła mu wszystkie skarby, które on czcił i w sercu swym ukrywał, które wielbił stale i pieścił wyobraźnią wzmocnionego uczuciem ducha. Szła po fali rozświetlonej — jego wieszczka, bóstwo uświęcone w jego jestestwie, ta jedyna, jasna postać, która odleciała od niego... by trwać wiecznie. Duch jego był tam, z nią, i teraz, gdy ona idzie po szleszczących wodach, jest jakby odbiciem wnętrza jego ducha. Serce, nerwy witały ją jak swoją mieszkankę stałą, jak dziecko najdroższe, wzrok pochłaniał ją z uszczęśliwieniem, z religijną czcią.

Już jest blisko. Waldemar czuje ją przy sobie; jakiś delikatny wiew słów, nieziemski pocałunek, jej tchnienie.

Usta ordynata szepcą z zachwytem:

— Ty... moja!...

Patrzy na nią w ekstazie bezpamiętnej, złożony ogniskami zorzy.

Duch, Wizja

⁹⁹*Icaria* — wyspa na Morzu Egejskim należąca do Grecji. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mniskowna-ordynat-michorowski/>

Tekst opracowany na podstawie: Helena Mniskówna, Ordynat Michorowski, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Warszawa 1989.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Wolne Lektury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Urszula Małecka.

ISBN 978-83-288-7527-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.